MANACH
TATRZAŃSKI



ROCZNIK 1894/95.

ALMANACH TATRZAŃSKI

pod kierunkiem literackim

E. W-Ą N A.

ROCZNIK TATRZAŃSTWA

1894/95.

ILLUSTROWANY

(z planem terytoryum stacyi klimatycznej w Zakopanem i 9-ciu widokami).

WE LWOWIE.

NAKŁADEM Dra J. GĄŻKA.

CZCIONKAMI „DRUKARNI POLSKIEJ“.

1894.

SPIS RZECZY.

DO CZYTELNIKA.

Skoro »Pamiętnik« Towarzystwa Tatrzańskiego jest statyką Tatrzaństwa, to niechże dynamiką jego będzie »Almanach Tatrzański«; w ten sposób nietylko nie stanie tamtemu organowi w poprzek, ale go uzupełni i poprze we właściwym sobie kierunku. Z drugiej zaś strony, jeśli inny pokrewny, a również organ ruchu (Goniec Tatrzański) odzwierciedlać, wzmagać i uświadamiać będzie prądy tatrzańskie w życiu, literaturze i sztuce — w częstszych odstępach czasu, tygodniowych lub miesięcznych, — to Almanach jako rocznik musiałby bardziej syntetycznie spełniać to zadanie, sumując całoroczne wyniki tych prądów, kontrolując i wzmagając regulatywę onych.

Oczywiście pierwszy ten rocznik — jako pierwszy — nie może być zupełnym, ani doskonałym. W części informacyjnej podaliśmy tylko część (choć przeważną) instytucyj zakopańskich. W części literackiej i artystycznej — z powodu zwłoki w nadesłaniu kilku prac — ograniczyć musieliśmy się w ilości i jakości materyału.

Na przyszłość rozszerzymy zakres informacyi aż po Pieniny, a z drugiej strony pogłębimy kierunek literacki i artystyczny, nadając mu niekiedy więcej wyrazistości, odpowiednio do zadania Almanacha.

Zakopane, w lipcu 1894 r.

Redakcya.



Sala do zabaw i czytelnia.

1894.

1894 Styczeń

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Poniedz.	**Nowy Rok**	**Nowy Rok**
2	Wtorek	Makarego opata	Abla i Seta
3	Środa	Genowefy	Enocha
4	Czwartek	Tytusa biskupa	Izabela
5	Piątek	Telesfora męcz.	Szymona
6	Sobota	**Trzech Króli**	**Epifanii**
1. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 2.			Łuk. 2, 42—52.
7	Niedziela	G 1 **po 3 kr.** Wal. b. 🌕	**1 Ep.** Izydora
8	Poniedz.	Seweryna opata	Erharda
9	Wtorek	Marcyanny panny m.	Marcyny
10	Środa	Pawła pusteln.	Pawła pusteln.
11	Czwartek	Higiniusza	Matyldy
12	Piątek	Honoraty panny	Rajnolda
13	Sobota	Hilarego biskupa	Hilarego
2. Ewang. u Jana św. w rozdz. 2.			Jan 2, 1—11.
14	Niedziela	G 2 **po 3 kr. I. Jez.**	**2 Ep.** Feliksa
15	Poniedz.	Maura opata ☽	Maurycy
16	Wtorek	Marcela papieża	Marcela
17	Środa	Antoniego pusteln.	Antoniego pusteln.
18	Czwartek	Pryski panny	Pryski
19	Piątek	Ferdynanda	Sary
20	Sobota	Fabiana i Sebastyana	Fabiana i Sebastyana
3. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 20.			Mat. 20, 1—16.
21	Niedziela	G **Starozap.** Agn. 🌝	**Sept.** Agnieszki
22	Poniedz.	Wincentego m.	Wincentego
23	Wtorek	Zaślubienie NPM.	Emerencyi
24	Środa	Tymoteusza bisk.	Tymoteusza
25	Czwartek	Nawróc. św. Pawła	Nawrócenie Pawła
26	Piątek	Polikarpa	Polikarpa
27	Sobota	Jana Chryzostoma	Jana Chryzostoma
4. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 8.			Łuk. 8, 4—15.
28	Niedziela	G **Mięsopust.** ☾	**Sex.** Karola Wielkiego
29	Poniedz.	Franciszka Salez.	Walery
30	Wtorek	Martyny panny	Adelgundy
31	Środa	Piotra Nolaski	Wirgiliusa

Siczeń ma dni 31.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g. m.	Słońca Zachód g. m.
20	Ihnatyja	7 58	4 10
21	Julyanny m.	7 58	4 11
22	Anastazyi m.	7 58	4 12
23	10 mucz. w Kreti	7 58	4 13
24	Ewhenyi. *Wigilia*	7 58	4 14
25	**Rożd. Chrysta**	7 58	4 16
	Mat. 2.		
26	**Sobor P. Bohor.**	7 58	4 17
27	**Stefana m.** Hł. 6.	7 58	4 18
28	2000 mucz.	7 57	4 19
29	Śś. Młdańciw	7 55	4 20
30	Anysyi m.	7 54	4 22
31	Mełanyi	7 54	4 23
1	**Hènwar 1894**	7 54	4 24
	Marka 1.		
2	**N. pr. Boh.** Sylw.	7 53	4 26
3	Malachia pr.	7 52	4 27
4	Sobor 70 apost.	7 52	4 29
5	Fteopemta	7 52	4 30
6	**Bohojawł. Hosp.**	7 51	4 31
7	Sobor św. Joana	7 50	4 33
8	Hryhorhja pr.	7 49	4 34
	Mat. 4.		
9	**N 1 po Boh.** Hł. 1.	7 49	4 35
10	Hryhorya ep.	7 48	4 37
11	Teodozya pr.	7 47	4 39
12	Tatyanny m.	7 46	4 40
13	Ermyła i Str.	7 45	4 42
14	Śś. Oteć w Syn.	7 44	4 44
15	Pawła Ftew.	7 43	4 46
	Łuk. 18.		
16	**N 2 po Boh.** Hł. 2.	7 42	4 47
17	Antonya weł.	7 41	4 48
18	Aftanazya	7 40	4 49
19	Makarya prep.	7 39	4 50

Odmiany księżyca.

Nów dnia 7. o godzinie 4, min. 41 rano. Zamiecie śnieżne.

☽ Pierwsza kwadra dnia 15. o godz. 1, min. 42 rano. Mroźno i wietrzno.

Pełnia dnia 21. o godz. 4, min. 45 wieczór. Jasno i mroźno.

☾ Ostatnia kwadra dnia 28. o god. 6, min. 24 wiecz. Deszcz z śniegiem.

W Styczniu przybywa dnia o 1 godzinę.

Długość dnia w przecięciu 9 godzin.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 5. a przybliża się dnia 20.

Kalendarz żydowski.

18. Stycznia — 1. Schebat 5654.

Notatki.

1894 Luty

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Czwartek	Ignacego bisk.	Brygidy
2	Piątek	**N M. Gromnicz.**	Oczyszczenie PM.
3	Sobota	Błażeja biskupa	Błażeja
5. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 18.			Łuk. 15, 31—43.
4	Niedziela	G **Zapust.** Weroniki	**Quinq.** Weroniki
5	Poniedz.	Agaty panny ⊜	Agaty
6	Wtorek	Doroty panny	Doroty
7	Środa	*Popielec.* Romualda †	Ryszarda
8	Czwartek	Jana z Malty	Salomona
9	Piątek	Apolonii panny	Apolonii
10	Sobota	Scholastyki panny	Gabryela
6. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 4.			Mat. 4, 1—11.
11	Niedziela	G 1. **Wstępna.** Łuc.	**1 Quadr.** E.
12	Poniedz.	Eulalii p. m.	Eulalii
13	Wtorek	Katarzyny Ricci ☽	Kastora
14	Środa	*Such.* Walentego bisk. †	Walentego
15	Czwartek	Faustyna	Faustyna
16	Piątek	Julianny panny †	Julianny
17	Sobota	Konstancyi panny †	Konstancyi
7. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 17.			Mat. 17, 1—9.
18	Niedziela	A 2. **Sucha.** Flawiana	**2 Rem.** Sus.
19	Poniedz.	Konrada pustel.	Gabina
20	Wtorek	Nicefora m. ☺	Euchazego
21	Środa	Eleonory królowej	Eleonory
22	Czwartek	Piotra Katedry	Piotra Katedr.
23	Piątek	Romany panny	Romana
24	Sobota	Macieja apostoła	Macieja
8. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 11.			Mat. 11, 14—28.
25	Niedziela	G 3. **Głucha** Anast.	**3 Oculi** Wiktora
26	Poniedz.	Wiktora z Ar.	Gothilfa
27	Wtorek	Aleksandra ☾	Leandra
28	Środa	Leandra	Romana

Luteń ma dni 28.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g. m		Słońca Zachód g. m	
20	Eufymija w.	7	37	4	52
21	Maksyma ep.	7	35	4	54
22	Tymofteja	7	33	4	56
	Łuk. 18.				
23	**N 3 po Boh.** Hł. 3.	7	32	4	57
24	Xenyi prep.	7	31	4	59
25	Hryhorya	7	30	5	1
26	Xynofonta	7	28	5	3
27	Joana Chryz.	7	26	5	4
28	Jefrema	7	25	5	7
29	Ihnatyja ep.	7	23	5	9
	Łuk. 19.				
30	**N 4 Trech Sw.**	7	22	5	10
31	Kyra i Joan	7	20	5	11
1	**Fewral.** Tryfona	7	18	5	12
2	**Strytenje Hosp.**	7	17	5	13
3	Symeona i Anny	7	15	5	15
4	Izydora	7	13	5	16
5	Ahaftyi m.	7	12	5	18
	Łuk. 18.				
6	**N 5 o Myt. i F.**	7	10	5	20
7	Parftenija	7	8	5	22
8	Fteodora m.	7	6	5	23
9	Nykyfora m.	7	5	5	24
10	Charłampyja	7	3	5	26
11	Wasyła m.	7	2	5	28
12	Mełetya arch.	7	0	5	29
	Łuk 15.				
13	**N 6 o S. obłud.**	6	58	5	31
14	Kiryła	6	55	5	33
15	Onysyma ep.	6	54	5	34
16	Pamfyłyja m.	6	53	5	35

Odmiany księżyca.

Nów dnia 5. o godz. 11, min. 18 wieczór. Pogodnie i mroźno.

☽

Pierwsza kwadra dnia 13. o godz. 0, min. 16 wiecz. Deszcz i śnieg.

Pełnia dnia 20. o godz. 3. min. 49 rano. Wietrzno i śnieżno.

☾

Ostatnia kwadra dnia 27. o godz. 2, min. 1 wiecz. Powietrze łagodne.

W Lutym przybywa dnia o 1 godz. i 27 min.

Długość dnia w przecięciu 10 godzin i 10 min.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 1. a przybliża się dnia 17.

Kalendarz żydowski.

17. Lutego — 1. Adar.
20. Lutego 14. Adar Purim mały.

Notatki.

1894 Marzec

Dnie tygodni		Rrzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Czwartek	Albina bisk	Albina
2	Piątek	Symplicyusza	Symplicyusza
3	Sobota	Kunegundy	Kunegundy
9. Ewang. u Jana św. w rozdz. 6.			Joh. 6, 1—15.
4	Niedziela	G 4. **Środop.** Kazim.	**4 Lät.** Adryana
5	Poniedz.	Fryderyka opata	Fryderyka
6	Wtorek	Kolety panny	Fridolina
7	Środa	Tomasza z Akwinu ◐	Felicitasa
8	Czwartek	Jana Bożego	Filemona
9	Piątek	Cyr. i Metod. i Fran.	Prudencyusza
10	Sobota	40 męczenników	Aleksandra
10. Ewang. u Jana św. w rozdz. 8.			Jana 8, 46—59.
11	Niedziela	G 5. **Czarna.** Konst.	**5 Jud.** Rozyna
12	Poniedz.	Grzegorza Wielk.	Grzegorza
13	Wtorek	Rozyny i Rodryk	Ernesta
14	Środa	Matyldy panny ☽	Zacharyasza
15	Czwartek	Longina męcz.	Krzysztofa
16	Piątek	*7 boleści NMP.*	Henryka
17	Sobota	Gertrudy panny	Gertrudy
11. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 21.			Jana 21, 1—9.
18	Niedziela	G 6. **Kwiet.** Edw.	**6 Palm.** Anzelma
19	Poniedz.	Józefa Oblub.	Józefa
20	Wtorek	Joachima	Ruprechta
21	Środa	Benedykta opata ☺	Benedykta
22	Czwartek	*Wieczerza Pańska*	*W. Czwartek.* Kazim.
23	Piątek	*Wielki Piątek.* Wiktor.	**W. Piątek.** Eberh.
24	Sobota	*Wiel. Sobota.* Gabryela	*W. Sobota.* Gabryela
12. Ewang. u Marka św. w rozdz. 16.			Mat. 16, 1—7.
25	Niedziela	**G. Wielkanoc**	**Wielkanoc.**
26	Poniedz.	**Pon. Wielk.** Eman.	**Pon. Wielk.** Kleta
27	Wtorek	Ruperta	Huberta
28	Środa	Sykstusa papieża	Malchusa
29	Czwartek	Cyryla dyakona ☾	Eustachego
30	Piątek	Kwiryna	Gwido
31	Sobota	Balbiny	Amosa

Mareć ma dni 31.

	Grecko-katolickie	Słońca Wschód g.	m.	Słońca Zachód g.	m.
17	Fteodora	6	51	5	36
18	Lwa pap. rym.	6	49	5	38
19	Zadusz. Archyppa	6	47	5	40
	Marka 2.				
20	**N Miasop.** Hł. 7.	6	45	5	42
21	Tymofteja	6	42	5	44
22	Śś. muczen. w Ef.	6	40	5	45
23	Połykarpa	6	38	5	47
24	Obr. hoł. św. Joana	6	36	5	48
25	Tarasia arch.	6	33	5	50
26	Porfyrya	6	31	5	51
	Marka 8.				
27	**N Syrop.** Hł. 8.	6	30	5	53
28	Wasyłya ep.	6	28	5	54
1	**Mart**. Jewdokii	6	25	5	56
2	Fteodota	6	23	5	57
3	Ewtorpia	6	22	5	58
4	Harasyma	6	20	5	59
5	Konona m.	6	18	6	0
	Marka 9.				
6	**N 1 Post.** Hł. 1.	6	16	6	1
7	Wasyłya m.	6	13	6	3
8	Fteofyłakta	6	12	6	5
9	40 muczen.	6	9	6	6
10	Kodrata mucz.	6	7	6	7
11	Sofronya	6	5	6	9
12	Fteofana prep.	6	3	6	10
	Marka 10.				
13	**N 2 Post.** Hł. 2.	6	1	6	11
14	Wenedykta	5	59	6	13
15	Ahapya m.	5	56	6	15
16	Sawyna	5	54	6	16
17	Ałexya pr.	5	52	6	18
18	Kiryła	5	50	6	20
19	Chryzanfta	5	48	6	21

Odmiany księżyca.

Nów dnia 7. o godz. 3, min. 52 wieczór. Pogodnie.

Pierwsza kwadra dnia 14. o godz. 8, min. 1 wiecz. Deszcz ze śniegiem.

Pełnia dnia 21. o godz. 3, min. 44 wieczór. Powietrze łagodne.

Ostatnia kwadra dnia 29. o godz. 10, min. 1 rano. Mroźno i wietrzno.

W Marcu przybywa dnia o 1 godz. i 47 min.

Długość dnia w przecięciu 11 godzin.

Księżyc oddala się od ziemi d. 1. i 29. a przybliża się dnia 17.

Kalendarz żydowski.

9. Marca, 1 Weadar. 21. Marca, 13. Weadar. Post Estery. 22. Marca, 14. Weadar. Purim czyli Haman. 23. Marca, 15. Weadar. Szuszan Purim.

Notatki.

1894 Kwiecień

	Dnie tydodni	Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
13. Ewang u Jana św. w rozdz. 20.			Jana 20, 19—31.
1	Niedziela	G 1. **Biała.** Hug.	1 **Quas.** Th.
2	Poniedz.	Franciszka z Pauli	Dariusa
3	Wtorek	Ryszarda bisk.	Theodosia
4	Środa	Izydora bisk.	Ambrożego
5	Czwartek	Wincentego	Maksyma
6	Piątek	Celestyna pap. ⊜	Ireneusza
7	Sobota	Hermana	Hegesypa
14. Ewang. u Jana św. w rozdz. 10.			Jana 10, 11—16.
8	Niedziela	G 2. **po Wielk.**	2 **Miser.** Apolonii
9	Poniedz.	Maryi Egip.	Demetrya
10	Wtorek	Ezechiela pror.	Daniela
11	Środa	Leona papieża	Leona papieża
12	Czwartek	Juliusza papieża	Juliusza
13	Piątek	Justyna męcz. ☽	Justyna
14	Sobota	Waleryana męcz.	Tyburcyusza
15. Ewang. u Jana św. w rozdz. 16.			Jana 16, 16—22.
15	Niedziela	G 3. **po Wielk.**	3 **Jub.** Olimpii
16	Poniedz.	Lamberta	Charyzyusza
17	Wtorek	Rudolfa bisk.	Rudolfa
18	Środa	Apoloniusza męcz.	Flawiana
19	Czwartek	Emmy wdowy	Hermogenesa
20	Piątek	Agnieszki ☺	Sulpicyusza
21	Sobota	Anzelma bisk.	Adolaryusza
16. Ewang. u Jana św. w rozdz. 16.			Jana 16, 5—14.
22	Niedziela	G 4. **po Wielk.**	4 **Cant.** Sotera i Kaja
23	Poniedz.	Wojciecha bisk.	Grzegorza
24	Wtorek	Jerzego męcz	Albrechta
25	Środa	Marka Ewang.	Marka
26	Czwartek	Kleta i Marcelina	Kleta
27	Piątek	Peregryna wyzn.	Anastazego
28	Sobota	Witalisa męcz. ☾	Witalisa
17. Ewang. u Jana św. w rozdz. 16.			Jana 16, 23—30.
29	Niedziela	G 5 **po Wielk.**	5 **Rog.** Sybilli
30	Poniedz.	Katarz. S. *Dzień †*	Eutropiusza

Berezeń ma dni 30.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g. m.	Słońca Zachód g. m.
	Joana 12.		
20	**N 3 Post.** Hł. 3.	5 46	6 23
21	Jakowa	5 44	6 25
22	Wasyłyja	5 42	6 27
23	Nykona prep.	5 40	6 28
24	Zacharya prep.	5 39	6 29
25	Marka Eu.	5 37	6 30
26	Sobor Hawr.	5 35	6 31
	Joana 1.		
27	**N 4 Post.**	5 33	6 33
28	Iłaryona	5 31	6 34
29	Marka	5 29	6 35
30	Joana Łyst.	5 28	6 36
31	Ipatya ep.	5 27	6 38
1	**Apriłłya.** Maryi	5 24	6 39
2	Tyta prep.	5 22	6 41
	Joana 20.		
3	**N 5 Post.** Hł. 5.	5 20	6 42
4	Josyfa	5 18	6 44
5	Fteoduła m.	5 16	6 45
6	Ewtychyja ep.	5 15	6 46
7	Hrehorya prep.	5 14	6 47
8	Irydiona ap.	5 12	6 48
9	Jewpsyhia	5 10	6 49
	Marka 15.		
10	**N 6 Cwit.** Hł. 6.	5 8	6 51
11	Antypy	5 7	6 52
12	Wasyłyja prep.	5 3	6 54
13	Artemona	4 59	6 56
14	Czetwer wełyki	4 57	6 59
15	**Piatok wełyki**	4 56	7 1
16	Subota wełyka	4 54	7 2
	Joana 5.		
17	**Woskr. Hosp.**	4 52	7 3
18	**Poned. Woskr.**	4 51	7 4

Odmiany księżyca.

Nów dnia 6. o godz 6, min. 33 wieczór.
Burze z śnieżycą.

Pierwsza kwadra dnia 13. o godz. 2, min. 6 rano.
Posępno i wietrzno.

Pełnia dnia 20. o godz. 4, min. 35 rano.
Deszcz i zimno.

Ostatnia kwadra dnia 28. o godz. 4, min. 59 rano.
Dżdżysto.

W Kwietniu przybywa dnia o 1 godz. i 36 min.

Długość dnia w przecięciu 13 godzin.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 26. a przybliża się dnia 11.

Kalendarz żydowski.

21. Kwietnia, 15. Nisan. Początek Wielk. 22. Kwiet. 16. Nisan. Drugie święto. 27. Kwiet. 21. Nisan. Siódme święto. 28. Kwiet. 22. Nisan. Koniec Wielkanocy.

Notatki.

1894 Maj.

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Wtorek	Filipa i Jakóba) Dnie	Filipa i Jakóba
2	Środa	Zygmunta) krzyż.	Zygmunta
3	Czwartek	**Wniebowst. P.**	**Wniebowst. P.**
4	Piątek	Floryana męcz.	Floryana
5	Sobota	Piusa V. papieża 🌕	Gotharda
19. Ewan. u Jana św. w rozdz. 15. i 16.			Jana 15, 26—27; 16, 1—4.
6	Niedziela	G 6. **po Wielk.** Jana	**4 Exaudi.** D.
7	Poniedz.	Domiceli panny	Gotfryda
8	Wtorek	Stanisława biskupa	Stanisława
9	Środa	Grzegorza	Joba
10	Czwartek	Izydora oracza	Wiktoryna
11	Piątek	Beatryksy panny	Wojciecha
12	Sobota	Pankracego † ☽	Pankracego
20. Ewang. u Jana św. w rozdz. 14.			Jana 14, 23—31.
13	Niedziela	G **Ziel. Święta.**	**Ziel. Święta.**
14	Poniedz.	**Pon. Ziel. Św.** Bon.	**Pon. Ziel. Św.**
15	Wtorek	Zofii i 3 córek	Zofii
16	Środa	*Such.* Jana Nepom. †	Peregryna
17	Czwartek	Paschalisa wyzn.	Jodoka
18	Piątek	Feliksa spow. †	Liboryusza
19	Sobota	Piotra Celestyna † 🌕	Potencyana
21. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 28.			Mat. 28, 18—20.
20	Niedziela	G 1 **po św. Ś. Tr.**	**Tr.** Anastazego
21	Poniedz.	Heleny królowej	Heleny
22	Wtorek	Julii panny	Pudensa
23	Środa	Dezyderyusza	Dezyderyusza
24	Czwartek	**Boże Ciało.** Joanny	Joanny
25	Piątek	Urbana I. papieża	Urbana
26	Sobota	Filipa Nereusza	Beda
22. Ewang. u Łuk. św. w rozdz. 14.			Łuc. 14, 16—24.
27	Niedziela	G 2. **po Świąt.** ☾	**1 Trinit.** Łucyana
28	Poniedz.	Wilhelma	Wilhelma
29	Wtorek	Maksyma w.	Maksymiliana
30	Środa	Ferdynanda	Ferdynanda
31	Czwartek	Petroneli panny	Petroneli

Maj ma dni 31.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g.	m.	Zachód g.	m.
19	**Wtor. Woskr.**	4	49	7	6
20	Fteodora	4	47	7	8
21	Januaria	4	45	7	9
22	Fteodora Syk.	4	43	7	11
23	Hryhorya m.	4	42	7	13
	Joana 4.				
24	**N 1 po Woskr.**	4	40	7	14
25	Marka ewang.	4	38	7	15
26	Wasyłyja	4	37	7	17
27	Symeona ep.	4	35	7	19
28	Jasona arch.	4	33	7	20
29	9 muczen.	4	32	7	21
30	Jakowa apost.	4	31	7	22
	Joana 9.				
1	**Maja. N 2 po W.**	4	30	7	24
2	Aftanazja	4	29	7	25
3	Tymofteja	4	28	7	27
4	Pełahyi m.	4	27	7	28
5	Iryny mucz.	4	25	7	29
6	Jowa mnoh.	4	24	7	30
7	Znam. cz. kresta	4	23	7	32
	Joana 17.				
8	**N 3 po Woskr.**	4	22	7	33
9	Isaji prep.	4	21	7	33
10	Symeona	4	20	7	34
11	Mokija	4	19	7	35
12	Epyfanyja	4	18	7	36
13	Hłyhoryi mucz.	4	17	7	38
14	Izydora mucz.	4	16	7	39
	Joana 7.				
15	**N 4 po Woskr.**	4	15	7	40
16	Fteodora Ośw.	4	14	7	41
17	Andronika	4	14	7	42
18	Fteodota m.	4	13	7	43
19	Patrykia	4	12	7	44

Odmiany księżyca.

Nów dnia 5. o godz. 4, min. 15 wieczór. Pogodnie i ciepło.

☽ Pierwsza kwadra dnia 12. o godz. 7, min. 54 rano. Dżdżysto i wietrzno.

Pełnia dnia 19. o godz. 6, min. 56 wieczór. Deszcz.

☾ Ostatnia kwadra dnia 27. o godz. 9, m. 38 wiecz. Pogodnie.

W Maju przybywa dnia o 1 godz. i 15 min.

Długość dnia w przecięciu 15 godzin.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 24. a przybliża się dnia 8.

Kalendarz żydowski.

24. Maja, 18. Ijar. Szk. święto (Lag Beomer).

Notatki.

1894 Czerwiec

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Piątek	*Serce Jezus.* Nikodema	Nikodema
2	Sobota	Erazma biskupa	Marcelina
22. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 15.			Łuk. 15, 1—10.
3	Niedziela	G 3. **po Św.** Klotyldy	**2 Trin.** Erazma
4	Poniedz.	Flawiana bisk. 🌕	Karpacyusza
5	Wtorek	Florencyi panny	Bonifacego
6	Środa	Norberta bisk.	Benignusa
7	Czwartek	Roberta biskupa	Roberta
8	Piątek	Medarda biskupa	Medarda
9	Sobota	Felicyana	Pryma i Felicyana
23. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 5.			Łuk. 5, 1—11.
10	Niedziela	G 4. **po Św.** Małg. ☽	**3 Trin.** Onufrego
11	Poniedz.	Barnaby apost.	Barnaby
12	Wtorek	Onufrego wyzn.	Bazylidesa
13	Środa	Antoniego z Padwy	Tobiasza
14	Czwartek	Bazylego bisk.	Antonii
15	Piątek	Wita i Modesta	Wita
16	Sobota	Franciszka Regis	Justyny
24. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 5.			Mat. 5, 20—24.
17	Niedziela	G 5. **po Św.** Adolfa b.	**4 Trin.** Folmara
18	Poniedz.	Marka i Marc. 🌝	Marka
19	Wtorek	Gerwazego i Protazego	Sylweryusza
20	Środa	Sylweryusza	Sylasa
21	Czwartek	Alojzego Gonzagi	Gotharda
22	Piątek	Paulina biskupa	Achacyusza
23	Sobota	Zenona biskupa	Bazylego
25. Ewang. u Marka św. w rozdz. 8.			Mark. 8, 1—9.
24	Niedziela	G 6. **po Św.** Jana	**5 Trin.** Jana
25	Poniedz.	Prospera biskupa	Eulogiusza
26	Wtorek	Jana i Pawła ☾	Jeremiasza
27	Środa	Władysława króla	Filipiny
28	Czwartek	Leona II. papieża †	Leona i Jozuy
29	Piątek	**Piotra i Pawła**	Piotra i Pawła
30	Sobota	Wspomn. św. Pawła	Wspomn. św. Pawła

Czerweć ma dni 30.

	Grecko-katolickie	Słońca Wschód g.	m.	Słońca Zachód g.	m.
20	Ftałałeja	4	11	7	45
21	Konstantyna	4	10	7	46
	Joan 9.				
22	**N 5 po W.** Hł. 5.	4	9	7	47
23	Mychaiła	4	8	7	47
24	Symeona prep.	4	8	7	48
25	Hoł. św. Joana	4	8	7	49
26	**Woznes. Hosp.**	4	7	7	50
27	Fteraponta	4	7	7	50
28	Nykity prep.	4	6	7	51
	Joan 17.				
29	**N 6 SS. Ot.** Hł. 6.	4	6	7	52
30	Isaakija	4	6	7	53
31	Jeremia apost.	4	6	7	53
1	**Junyj.** Justyny	4	6	7	54
2	Nykifora	4	5	7	55
3	Łukyłyana m.	4	5	7	56
4	Subota zadusz.	4	5	7	56
	Joan 7.				
5	**Sosz. ś. Ducha**	4	5	7	57
6	**Pon. Sosz.** Andron.	4	5	7	57
7	Fteodota	4	5	7	58
8	Fteodora Str.	4	5	7	58
9	Kyryła arch.	4	5	7	58
10	Tymofteja ep.	4	5	7	58
11	Warftołomeja	4	5	7	58
	Mat. 10.				
12	**N 1 W. SS.** Hł. 8.	4	5	7	58
13	Akiłyny	4	6	7	58
14	Ełysseja prep.	4	7	7	58
15	Amosa prep.	4	7	7	58
16	Tychona	4	8	7	57
17	Manuyła m.	4	8	7	57
18	Łeontyja mucz.	4	9	7	57

Odmiany księżyca.

Nów dnia 4. o godz. 0, min. 30 rano. Pogodnie i ciepło.

Pierwsza kwadra dnia 10. o godz. 2, min. 47 wiecz. Powietrze niestałe.

Pełnia dnia 18. o godz. 8, min. 39 rano. Wietrzno i dżdżysto.

Ostatnia kwadra dnia 26. o god. 11, min. 36 rano. Dżdżysto i chłodno.

W Czerwcu przybywa dnia do 20. o min. 19, a potem ubywa o min. 5.

Długość dnia w przecięciu 16 godzin.

Księżyc przybliża się do ziemi dnia 5. a oddala się dnia 20.

Kalendarz żydowski.

10. Czerwca 6. Siwan. Zielone święta. 11. 7. Siwan. Drugi dzień Ziel. świąt.

Notatki.

1894 Lipiec

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
26. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 7.			Mat. 7, 15—21.
1	Niedziela	G 7. **po Św.** Teob.	**6 Trin.** Theobalda
2	Poniedz.	*Nawiedzenie NMP.*	Nawiedzenie NPM.
3	Wtorek	Heliodora 🌕	Kornela
4	Środa	Józefa Kalasantego	Izajasza
5	Czwartek	Filomeny panny	Charlotty
6	Piątek	Izajasza proroka	Goara
7	Sobota	Pulcheryi panny	Wilibalda
27. Ewang. u Łuk. św. w rozdz. 16.			Łuk. 16, 1—9.
8	Niedziela	G 8. **po Św.** Jana z D.	**7 Trin.** Kiliana
9	Poniedz.	Cyryla ☽	Alojza
10	Wtorek	Amalii panny	7 Braci
11	Środa	Pelagii męcz.	Piusa
12	Czwartek	Henryka	Henryka
13	Piątek	Małgorzaty panny	Małgorzaty
14	Sobota	Bonawentury	Bonawentury
28. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 19.			Łuk. 19, 41—47.
15	Niedziela	G 9. **po Świąt.**	**8 Trin.** A. T.
16	Poniedz.	*NMP. Szkaplerznej*	Ruty
17	Wtorek	Aleksego 🌑	Aleksego
18	Środa	Szymona z Lipnicy	Maternusa
19	Czwartek	Wincentego a Paulo	Rufina
20	Piątek	Czesława i Kasyana	Eliasza
21	Sobota	Praksedy panny	Pauliny
29. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 18.			Łuk. 18, 9—14.
22	Niedziela	G 10. **po Św.** M. Mag.	**9 Trin.** Magdaleny
23	Poniedz.	Apolinarego	Apolinarego
24	Wtorek	Krystyny	Krystyny
25	Środa	Jakóba apost. ☾	Jakóba apost.
26	Czwartek	Anny matki NPM.	Anny
27	Piątek	Natalii panny	Marty
28	Sobota	Marty panny	Pantaleona
30. Ewang. u Marka św. w rozdz. 7.			Mark. 7, 31—37.
29	Niedziela	A 11. **po Św.** Marty	**10 Trin.** Beatryksy
30	Poniedz.	Abdona i Senny	Abdona
31	Wtorek	Ignacego Lojoli	Ernestyny

Łypeć ma dni 31.

	Grecko-katolickie	Słońca Wschód g. m.		Słońca Zachód g. m.	
	Mat. 4.				
19	**N 2 Tił. Ch.** Hł. 1.	4	10	7	56
20	Meftodyja	4	11	7	56
21	Julyana mucz.	4	12	7	56
22	Jewsewyja	4	12	7	56
23	Ahrypiny	4	13	7	55
24	**Rożd. św. Joana**	4	14	7	54
25	Fewronyi	4	14	7	53
	Mat. 6.				
26	**N 3 po Sosz.** Hł. 2.	4	15	7	53
27	Samsona	4	16	7	53
28	Kyra i Joana †	4	16	7	52
29	**Petra i Pawła**	4	17	7	51
30	Sobor św. 12 apost.	4	18	7	50
1	**Jułyi.** Kosmy i D.	4	19	7	49
2	Położ. Ryzy Boh.	4	20	7	48
	Mat. 8.				
3	**N 4 po Sosz.** Hł. 3.	4	21	7	47
4	Andreja	4	22	7	46
5	Aftanazya	4	23	7	45
6	Syzona Wełyk.	4	24	7	44
7	Ftomy prep.	4	25	7	43
8	Prokopija m.	4	26	7	42
9	Pankratyja ep.	4	27	7	41
	Mat. 8.				
10	**N 5 po Sosz.** Hł. 4.	4	28	7	40
11	Jewłymyja	4	29	7	39
12	Prokta	4	30	7	38
13	Sobor św. Hawryiła	4	31	7	37
14	Akyty apost.	4	32	7	36
15	Kyryka	4	34	7	35
16	Aftynohena ep.	4	35	7	33
	Mat. 9.				
17	**N 6 po Sosz.** Hł. 5.	4	37	7	32
18	Jemyłyan	4	39	7	31
19	Makryny	4	40	7	30

Odmiany księżyca.

Nów dnia 3. o godz. 7, min. 19 rano. Wietrzno i dżdżysto.

☽

Pierwsza kwadra dnia 9. o god. 11, min. 48 wieczór. Pogodnie.

Pełnia dnia 17. o god. 11, min. 36 wieczór. Pogoda i wielkie upały.

☾

Ostatnia kwadra dnia 25. o godz. 10, min. 40 wiecz. Pogoda trwa dalej.

W Lipcu ubywa dnia o 57 minut.

Długość dnia w przecięciu 15 godzin i 26 min.

Księżyc przybliża się do ziemi dnia 3. i 31. a oddala dnia 17.

Kalendarz żydowski.

2. Lipca, 18. Tamuz. Post. Zdob. świątyni.

Notatki.

1894 Sierpień

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Środa	Piotra w okowach 🌑	Piotra w okowach
2	Czwartek	*NMP. Anielskiej*	Gustawa
3	Piątek	Znal. św. Szczepana	Augusta
4	Sobota	Dominika wyzn.	Dominika
31. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 10.			Łuk. 10, 23—37.
5	Niedziela	G 12. **po Św.** NP. S.	**11 Trin.** Oswalda
6	Poniedz.	*Przemien. Pańskie*	Sykstusa
7	Wtorek	Kajetana wyzn.	Donatusa
8	Środa	Cyryaka męcz. ☽	Cyryaka
9	Czwartek	Romana	Rolanda
10	Piątek	Wawrzyńca męcz.	Wawrzyńca
11	Sobota	Zuzanny panny	Hermana
32. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 17.			Łuk. 17, 11—19.
12	Niedziela	G 13. **po Św.** Klary	**12 Trin.** Klary
13	Poniedz.	Hipolita m.	Kassyana
14	Wtorek	Euzebiusza m. †	Euzebiusza
15	Środa	**Wniebowz. M.**	Wniebowzęcie NPM.
16	Czwartek	Rocha wyzn. 🌕	Rocha
17	Piątek	Anastazego	Bertrama
18	Sobota	Heleny cesarzowej	Agapita
33. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 6.			Mat. 6, 24—33.
19	Niedziela	G. 14. **po Św.** Lud.	**13 Trin.** Sebalda
20	Poniedz.	Stefana kr. węg.	Bernarda
21	Wtorek	Joanny	Adolfa
22	Środa	Filiberta opata	Tymoteusza
23	Czwartek	Filipa biskupa	Zacheusza
24	Piątek	Bartłomieja ☾	Bartłomieja
25	Sobota	Ludwika króla	Ludwika
34. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 7.			Łuk. 7, 11—16.
26	Niedziela	G 15. **po Św.** Zefiryny	**14 Trin.** Samuela
27	Poniedz.	Przenies. ś. Kazim.	Gebharda
28	Wtorek	Augustyna bisk.	Augustyna
29	Środa	Ścięcie św. Jana Ew.	Jana Ewang.
30	Czwartek	Róży z Limy 🌑	Benjamina
31	Piątek	Rajmunda wyzn.	Paulina

Serpeń ma dni 31.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g. m.	Słońca Zachód g. m.
20	Iłyi pror.	4 41	7 29
21	Symeona prep.	4 43	7 28
22	Maryi Mahdał.	4 45	7 26
23	Trofyma	4 46	7 25
	Mat. 17.		
24	**N 7 po Sosz.** Hł. 6	4 47	7 24
25	Uspenje ś. Anny	4 48	7 22
26	Jermołaja	4 50	7 20
27	Pantałejmona	4 52	7 18
28	Prochora i Nik.	4 53	7 15
29	Kałynyka	4 54	7 13
30	Jyły apost.	4 55	7 11
	Mat. 18.		
31	**N 8 po S.** Hł. 7	4 57	7 9
1	**Awhust** F.	4 59	7 8
2	Stefana mucz.	5 —	7 6
3	Izaakija	5 1	7 4
4	7 Otrok. w Efez.	5 3	7 3
5	Ewsyhnia	5 4	7 1
6	**Preobr. Hosp.**	5 5	6 59
	Mat. 19.		
7	**N 9 po Sosz.** Hł. 8.	5 6	6 58
8	Mafteja apost.	5 7	6 56
9	Ławrentya m.	5 9	6 54
10	Jewpła	5 11	6 52
11	Fotya mucz.	5 12	6 50
12	Maksyma prep	5 13	6 48
13	Mycheja prep.	5 15	6 46
	Mat. 21.		
14	**N 10 po Sosz.** Hł. 1	5 16	6 44
15	**Uspenje Bohor.**	5 17	6 42
16	Ner. Obr.	5 19	6 40
17	Myrona mucz.	5 21	6 39
18	Flora i Ławra	5 22	6 38
19	Andreja mucz.	5 23	6 37

Odmiany księżyca.

Nów dnia 1. o godz. 1, min. 37 wieczór. Dżdżysto.

Pierwsza kwadra dnia 8. o godz. 11, min. 38 rano. Pogodnie.

Pełnia dnia 16. o godz. 2, min. 50 wieczór. Powietrze niestałe.

Ostatnia kwadra dnia 24. o godz 7, min. 13 rano. Deszcz i wiatr.

Nów d. 30. o g. 9. min. 38 wieczór. Pogodnie.

W Sierpniu ubywa dnia o 1 godzinę i 33 min.

Długość dnia w przecięciu 14 godzin i 12 min.

Księżyc przybliża się do ziemi dnia 29, a oddala się dnia 13.

Kalendarz żydowski.

3. Sierpnia, 1. Abh.
12. Sierpnia 10. Abh. Post. Spalenie świątyni.

Notatki.

1894 Wrzesień

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Sobota	Idziego opata	Egidyusza
35. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 14.			Łuk. 14, 1—11.
2	Niedziela	G 16. **po Św.** A. st.	**15 Trin.** Abs.
3	Poniedz.	Bronisławy i Izabeli	Miłosława
4	Wtorek	Rozalii panny	Rozalii
5	Środa	Wawrzyńca bisk.	Herkulesa
6	Czwartek	Zacharyasza pr.	Magnusa
7	Piątek	Reginy panny ☽ †	Reginy panny
8	Sobota	**Narodz. NPM.**	Narodzenie NPM.
36. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 22.			Mat. 22, 34—46.
9	Niedziela	G 17 **po Św.** Im. NMP	**16 Trin.** Gorgoniusza
10	Poniedz.	Mikołaja z Tol.	Sotera
11	Wtorek	Jacka i Prota	Prota
12	Środa	Gwidona wyzn.	Syrusa
13	Czwartek	Tobiasza wyzn.	Amata
14	Piątek	*Podwyż. św. Krzyża* †	*Podwyż. św. Krzyża*
15	Sobota	Nikodema męcz. ⊛	Nikodema
37. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 9.			Mat. 9, 1—8.
16	Niedziela	G 18. **po Św.** Ludm.	**17 Trin.** Eufemii
17	Poniedz.	Lamberta bisk.	Lamberta
18	Wtorek	Tomasza z W.	Tytusa
19	Środa	*Such.* Januaryusza †	Sydonii
20	Czwartek	Eustachego	Faustyna
21	Piątek	Mateusza Ewang. †	Mateusza Ewang.
22	Sobota	Maurycego męcz. † ☾	Maurycego
38. Ewang. Mateusza św. w rozdz. 22.			Mat. 22, 1—14.
23	Niedziela	G 19. **po Św.** Tekli	**18 Trin.** Tekli
24	Poniedz.	Gerarda b.	Gerarda
25	Wtorek	Kleofasa męcz.	Kleofasa
26	Środa	Cypryana i Józefata	Cypryana
27	Czwartek	Kosmy i Damiana	Adolfa
28	Piątek	Wacława króla	Wacława króla
29	Sobota	**Michała Arch.** ⊜	Michała Archanioła
39. Ewang. u Jana św. w rozdz. 4.			Jana 4, 47—53
30	Niedziela	G 20. **po Św.** Hieron.	Hieronima

Weresień ma dni 30.

	Grecko-katolickie	Słońca Wschód g. m.	Słońca Zachód g. m.
20	Samuiła prep.	5 23	6 35
	Mat. 18.		
21	**N 11 po Sosz.** Hł. 2.	5 25	6 33
22	Ahaftonika	5 27	6 31
23	Łuppa mucz.	5 28	6 29
24	Jewtychja mucz.	5 29	6 27
25	Warftołomija	5 31	6 25
26	Adryjana mucz.	5 32	6 22
27	Pymona prep.	5 34	6 20
	Mat. 19.		
28	**N 12 po Sosz.** Hł. 3.	5 35	6 18
29	Usikl. bł. Joana	5 36	6 16
30	Ałeksandra	5 38	6 14
31	Poł. Poj. P. Boh.	5 40	6 12
1	**Septem.** Symeona	5 41	6 10
2	Mamanta	5 42	6 8
3	Anftyma mucz.	5 44	6 6
	Mat. 21.		
4	**N 13 po Sosz.** Hł. 4.	5 45	6 4
5	Zacharja	5 46	6 2
6	Wosp. cz. Mychaiła	5 48	5 59
7	Sozonta	5 49	5 57
8	**Rożd. Bohorod.**	5 50	5 56
9	Joakima	5 52	5 54
10	Mynodory mucz.	5 53	5 52
	Mat. 22.		
11	**N 14 po Sosz.** Hł. 5	5 54	5 49
12	Awtomona	5 56	5 47
13	Kornyła Sot.	5 57	5 46
14	**Wozn. cz. Kresta**	5 58	5 43
15	Nykity mucz.	6 0	5 41
16	Josafata	6 1	5 39
17	Sofii mucz.	6 3	5 37
	Mat. 22.		
18	**N 15 po Sosz.** Hł. 6.	6 4	5 35

Odmiany księżyca.

☽
Pierwsza kwadra dnia 7. o godz. 2, min. 36 rano. Dżdżysto i chłodno.

🌕
Pełnia dnia 15. o godz. 5, min. 55 rano. Deszcz.

☾
Ostatnia kwadra dnia 22. o god. 2, min. 5 wieczór. Powietrze niestałe.

🌑
Nów dnia 29. o godz. 7, min. 17 rano. Dżdżysto i wietrzno.

W Wrześniu ubywa dnia o 1 godzinę i 32 min.

Długość dnia w przecięciu 12 godzin i 32 min.

Księżyc przybliża się do ziemi dnia 26. a oddala się dnia 10.

Kalendarz żydowski.

2. Września 1 Elul.

Notatki.

*

1894 Październik

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Poniedz.	Remigiusza b.	Remigiusza
2	Wtorek	Leodegara	Leodegara
3	Środa	Kandyda męcz.	Kandyda
4	Czwartek	Franciszka Serafina	Franciszka Serafina
5	Piątek	Placyda męcz.	Fidesy
6	Sobota	Brunona wyzn. ☽	Fryderyki
40. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 18.			Mat. 18, 23—35.
7	Niedziela	G 21. **po Św.** *NMR.*	**20 Trin.** Amalia
8	Poniedz.	Brygidy wdowy	Pelagii
9	Wtorek	Wincentego Kadł.	Dyonizego
10	Środa	Franciszka Borgia	Gersona
11	Czwartek	Placydy męcz.	Burkharda
12	Piątek	Maksymiliana	Maksymiliana
13	Sobota	Edwarda króla	Edwarda
41. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 18.			Mat. 22, 15—21.
14	Niedziela	G 22. **po Św.** Kalik. 🌕	**21 Trin.** Kaliksta
15	Poniedz.	Jadwigi i Teresy	Jadwigi
16	Wtorek	Gawła	Gallusa
17	Środa	Florentyna	Florentego
18	Czwartek	Łukasza Ewang.	Łukasza Ewang.
19	Piątek	Piotra z Alkantary	Ferdynanda
20	Sobota	Felicyana biskupa	Wendelina
42. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 9.			Mat. 9, 18—26.
21	Niedziela	G 23. **po S.** *Pośw. K.* ☾	**22 Trin.** Urszuli
22	Poniedz.	Korduli panny	Korduli
23	Wtorek	Jana Kapistrana	Seweryna
24	Środa	Rafała Archanioła	Salomei
25	Czwartek	Jana Kantego	Wilhelminy
26	Piątek	Ewarysta papieża	Ewarysta
27	Sobota	Sabiny męcz.	Sabiny
43. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 8.			Mat. 8, 1—13.
28	Niedziela	G 24. **po Św.** Sz. i J. 🌑	**23 Trin.** Szym. i J.
29	Poniedz.	Narcyza bisk.	Narcyza
30	Wtorek	Klaudyusza	Klaudyusza
31	Środa	Wolfganga bisk. †	**Pam. Reformacyi**

Pazdernyk ma dni 31.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g. m.		Słońca Zachód g. m.	
19	Trofyma	6	5	5	33
20	Eustafia m.	6	6	5	30
21	Kodrata	6	8	5	28
22	Foki mucz.	6	9	5	26
23	Zacz. św. Joana	6	11	5	24
24	Ftekły mucz.	6	13	5	22
	Mat. 25.				
25	**N 16 po Sosz.** Hł. 7.	6	15	5	20
26	Joanna b.	6	16	5	18
27	Kałystrata	6	17	5	16
28	Charytona	6	18	5	14
29	Kyryaka	6	19	5	12
30	Hryhorya	6	11	5	10
1	**Oktowrij.** Pok. P. B.	6	22	5	8
	Mat. 15.				
2	**N 17 po Sosz.** Hł. 8.	6	23	5	6
3	Dyonysia	6	25	5	4
4	Jerofteja ep.	6	27	5	2
5	Charytyny m.	6	28	5	0
6	Ftomy apost	6	30	4	59
7	Serhya m.	6	31	4	57
8	Pełahyi m.	6	32	4	56
	Łuk. 5.				
9	**N 18 po Sosz.** Hł. 1	6	33	4	53
10	Jewłampia	6	35	4	51
11	Fyłypa apost.	6	36	4	48
12	Prowa mucz.	6	38	4	47
13	Karpa mucz.	6	40	4	46
14	Nazarya	6	41	4	44
15	Ewfymeja	6	43	4	42
	Łuk. 6.				
16	**N 19 po Sosz.** Hł 2.	6	45	4	40
17	Osyi pr.	6	47	4	38
18	Łuki apost.	6	50	4	37
19	Joiły prep.	6	51	4	35

Odmiany księżyca.

Pierwsza kwadra dnia 6. o god. 8, min. 34 wiecz. Pogodnie.

Pełnia dnia 14. o godz. 8, min. 14 wieczór. Pogoda trwa dalej.

Ostatnia kwadra dnia 21. o godz. 8, m. 29 wiecz. Dżdżysto.

Nów dnia 28. o godz. 7, min. 30 wieczór. Deszcz ze śniegiem.

W Październiku ubywa dnia o 1 godz. i 44 min.

Długość dnia w przecięciu 10 godzin i 48 min.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 8. a przybliża się dnia 22.

Kalendarz żydowski.

1. Paźdz. 1. Tiszri. *Nowy rok 5655.* 2, 2. Drugie święto N. roku 3, 3. Post Gedalia. 10, 10. Święto pojednania. 15, 15. Pierwsze święto Kuczek. 16, 16. Drugie święto Kuczek. 16. Paź. 21. Tiszri. Palmowe święto. 22. Paźdz. 22. Tiszri. Zgromadzenie czyli koniec Kuczek. 23. Paźdz. 23. Tiszri. Radość z prawa. 31. Paźdz. 1. Marcheswan.

Notatki.

1894 Listopad

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Czwartek	**Wszystk. Święt.**	Wszystkich Świętych
2	Piątek	*Dzień zaduszny*	*Dzień zaduszny*
3	Sobota	Huberta biskupa	Bogumiła
44. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 8.			Mat. 8, 23—27.
4	Niedziela	G 25. **po Św.** Karola	**24 Trin.** Emeryka
5	Poniedz.	Elżbiety ☽	Blandyny
6	Wtorek	Leonarda wyzn.	Erdmana
7	Środa	Engelberta	Malachiusa
8	Czwartek	4 Koronatów	Seweryna
9	Piątek	Teodora męcz.	Teodora
10	Sobota	Andrzeja z Awel.	Probusa
45. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 13.			Mat. 13, 24—30.
11	Niedziela	G 26. **po Św.** Op. NP.	**25 Trin.** Marcina
12	Poniedz.	Marcina papieża	Jonasza
13	Wtorek	Eugeniusza ○	Bricciusa
14	Środa	Serafina wyzn.	Lewina
15	Czwartek	Leopolda wyzn.	Leopolda
16	Piątek	Edmunda i Otmara	Otmara
17	Sobota	Salomei panny	Hugona
46. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 13.			Mat. 13, 31—35.
18	Niedziela	G 27. **po Św.** St. Kostki	**26 Trin.** Gelazyusza
19	Poniedz.	Elżbiety król.	Elżbiety
20	Wtorek	Feliksa ☾	Edmunda
21	Środa	Ofiarowanie NPM.	Ofiarowanie NPM.
22	Czwartek	Cecylii panny	Cecylii
23	Piątek	Klemensa pap.	Klemensa
24	Sobota	Jana od Krzyża	Emilii
47. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 24.			Mat. 24, 15—35.
25	Niedziela	G 28. **po Św.** Katarz.	**27 Trin.** Katarzyny
26	Poniedz.	Konrada m.	Konrada
27	Wtorek	Waleryana i Wirgil. ●	Gintera
28	Środa	Krescentego	Rufina
29	Czwartek	Saturnina	Waltera
30	Piątek	Andrzeja apost.	Andrzeja apost.

Łystopad ma dni 30.

Grecko-katolickie		Słońca Wschód g. m.		Zachód g. m.	
20	Artemija m.	6	52	4	35
21	Iłarjona	6	54	4	33
22	Awerkija	6	56	4	30
	Łuk. 7.				
23	**N 20 po Sosz.** Hł. 3	6	58	4	29
24	Arefty	7	00	4	28
25	Markijana	7	1	4	26
26	**Dymetryja**	7	3	4	25
27	Nestora mucz.	7	5	4	24
28	Terentija mucz.	7	6	4	22
29	Anastazyi mucz.	7	7	4	21
	Łuk. 8.				
30	**N 21 po Sosz.** Hł. 4.	7	9	4	20
31	Stachyja	7	10	4	18
1	**Nojemwryj.** K. i D	7	12	4	17
2	Akindyna mucz.	7	13	4	16
3	Akepsyny mucz.	7	15	4	15
4	Joanyka pr.	7	16	4	14
5	Hałaktyona	7	18	4	13
	Łuk. 16.				
6	**N 22. po N.** Hł. 5.	7	19	4	12
7	Jerona	7	20	4	11
8	**Mychaiła arch.**	7	22	4	10
9	Onysifora mucz.	7	24	4	10
10	Erasta ap.	7	25	4	9
11	Myny mucz.	7	26	4	8
12	Joana Mył.	7	27	4	8
	Łuk. 8.				
13	**N 26. po O.** Hł. 6	7	28	4	7
14	Fyłypa	7	29	4	5
15	Hurya i Samona	7	31	4	5
16	Mafteja ap.	7	32	4	4
17	Hryhorya ep.	7	33	4	4
18	Platona mucz.	7	34	4	3

Odmiany księżyca.

☽ Pierwsza kwadra dnia 5. o godz. 4, min. 49 wiecz. Pogodnie.

Pełnia dnia 13. o godz. 9, min. 23. rano. Śnieg z wiatrem.

☾ Ostatnia kwadra dnia 20. o godz. 3, min. 41 rano. Posępno i wietrzno.

Nów dnia 27. o godz. 10, min. 27 rano. Mroźno i wietrznoo.

W Listopadzie ubywa dnia o 1 godz. i 11 min.

Długość dnia w przecięciu 9 godzin i 17 min.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 4., a przybliża się dnia 16.

Kalendarz żydowski.

29. Listopada, 1. Kislew.

Notatki.

1894 Grudzień

Dnie tygodni		Rzymsko-katolickie	Ewangelickie
1	Sobota	Eligiusza biskupa	Longina
48. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 21.			Łuk. 21, 25—33.
2	Niedziela	G 1. **Adw.** Bibianny	**1 Adw.** Aurelii
3	Poniedz.	Franciszka Ksaw.	Kassyana
4	Wtorek	Barbary panny	Barbary
5	Środa	Sabby opata ☽	Abigaila
6	Czwartek	Mikołaja biskupa	Mikołaja
7	Piątek	Ambrożego †	Agatona
8	Sobota	**Np. Pocz. NPM.**	**Dzień pokuty**
49. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 11.			Mat. 11, 2—10.
9	Niedziela	G. 2. **Adw.** Leokadyi	**2 Adw.** Joachima
10	Poniedz.	NMP. Loretańskiej	Judyty
11	Wtorek	Damazego papieża	Damazego
12	Środa	Aleksandra żołn. ○	Otylii
13	Czwartek	Łucyi i Otylii	Łucyi
14	Piątek	Nikazego	Nikazego
15	Sobota	Fortunata	Ignacego
50. Ewang. u Jana św. w rozdz. 1.			Jana 1, 19—28.
16	Niedziela	G 3. **Adw.** Adelajdy	**3 Adw.** Adelaidy
17	Poniedz.	Łazarza bisk.	Łazarza
18	Wtorek	Gracyana męcz. ☾	Wunibalda
19	Środa	*Such.* Nemezyusza †	Abrahama
20	Czwartek	Teofila męcz.	Aminona
21	Piątek	Tomasza apostoła †	Tomasza apost.
22	Sobota	Zenona męcz. †	Beaty
51. Ewang. u Łukasza św. w rozdz. 3.			Łuk. 3, 1—6.
23	Niedziela	G 4. **Adw.** Wiktoryi	**4 Adw.** Dagoberta
24	Poniedz.	Adama i Ewy Wig. †	Adama i Ewy
25	Wtorek	**Boże Narodzenie**	**Boże Narodzenie**
26	Środa	**Szczepana męcz.**	**Szczepana męcz.**
27	Czwartek	Jana Ewangelisty ●	Jana Ewang.
28	Piątek	Młodzianków	Młodzianków
29	Sobota	Tomasza biskupa	Jonatana
52. Ewang. u Mateusza św. w rozdz. 2.			Łuk. 2, 33—40.
30	Niedziela	G **po Boż. Nar.** Daw.	Dawida
31	Poniedz.	Sylwestra P.	Gottloba

Hrudeń ma dni 31.

	Grecko-katolickie	Słońca Wschód g.	m.	Zachód g.	m.
19	Awdyja	7	35	4	2
	Łuk. 8.				
20	**N 24. po S.** Hł. 7.	7	37	4	1
21	**Wowed. Bohor.**	7	38	4	0
22	Fyłymona apost.	7	39	4	0
23	Amfyłokia	7	40	4	0
24	Ekateryny	7	41	4	0
25	Kłymenta	7	42	4	0
26	Ałyppa	7	44	4	0
	Łuk. 10.				
27	**N 25. po S.** Hł. 8.	7	45	3	59
28	Stefana M.	7	46	3	59
29	Paramona	7	47	3	59
30	Andreja apost.	7	48	3	59
1	**Dekemwr.** Nauma	7	49	3	59
2	Awakuma	7	50	3	59
3	Sofonija	7	51	3	59
	Łuk. 12.				
4	**N 26. po S.** Hł. 1.	7	52	4	0
5	Sawwy ośw.	7	53	4	0
6	**Nykołaja ep.**	7	54	4	1
7	Amwrozyja	7	54	4	1
8	Patapia	7	55	4	1
9	**Zaczat. P. Bohor.**	7	56	4	2
10	Myny i Ermoh.	7	57	4	2
	Łuk. 13.				
11	**N 27 po S.** Hł. 2.	7	57	4	3
12	Spirydyona	7	57	4	3
13	Ewstratyja	7	57	4	4
14	Ftyrsa mucz.	7	58	4	5
15	Ełewterya	7	58	4	6
16	Ahhea	7	58	4	7
17	Danyiła świasz.	7	58	4	7
	Łuk. 14.				
18	**N. 28 po S.** Hł. 3.	7	58	4	8
19	Wonyfatya	7	58	4	8

Odmiany księżyca.

Nów dnia 27. o godz. 3, min. 53 rano.
Zawierucha śnieżna.

Pierwsza kwadra dnia 5. o godz. 1, min. 49 wiecz.
Deszcz i śnieg.

Pełnia dnia 12. o godz. 9, min. 19 wieczór.
Powietrze mroźne.

Ostatnia kwadra dnia 19. o god. 0, min. 49 wiecz.
Deszcz ze śniegiem.

W Grudniu ubywa dnia o 16 minut.

Długość dnia w przecięciu 8 godzin i 30 min.

Księżyc oddala się od ziemi dnia 2. i 30., a przybliża się dnia 14.

Kalendarz żydowski.

23. Grudnia, 25. Kislew. Poświęcenie świątyni Chanuka. 28. Grudnia, 1. Tebet.

Notatki.

I.

CZĘŚĆ INFORMACYJNA.

SPIS

domów na obszarze stacyi klimatycznej w Zakopanem.

Nr. hipoteczny	Ulica Chramcówki:	Nr. orjentacyjny
	w kierunku do Kuźnic	
	strona lewa	
—	Profesor Rostafiński .	—
389	Józef Chramiec starszy	1
580	Józef Chramiec Guzik	3
857	Maciej Chramiec Francus	5
—	Dr. Chramiec	7
571	Jan Natupski.	9
353	Jan Hyc	11
—	Jan Stopka	13
—	Dr. Chramiec	15
137	Helena Modrzejewska	17
	strona prawa	
817	Dr. Chramiec	2
573	Maciej Samek	4
57	Maciej Raj	6
—	Jan Sierodzki	8
189	Józef Smaś	10
418	Wiktor Ciechomski	12
517	Józef Chramiec Francus	14
801	[illegible]chowski	16
—	Ziemler	18
758	Prof. Malinowski . .	20
805	Joteyko	22
813	Wilczyński	24
803	Chmielowski	26
742	Prof. Browicz	28
657, 658	Prof. Baranowski . .	32
850	Helena Berezowska .	34
689, 690	Dr. Piasecki	36
788	A. Szarasz	38
664	Mizerska-Plewkiewicz	40
825	Hr. Lasocka	42
855	St. Niedzielski	44

Nr. hipoteczny	Ulica Chałubińskiego	Nr. orjentacyjny
	w kierunku do Kuźnic	
	strona lewa	
848, 715	Langierowa	1, 3
860	Dr. Chrostowski . . .	5
282	Agnieszka Slimak . .	7
798	Beringer	9
384	Zimayer	11
831	Rygielhaupt	13
—	Muzeum Chałubińskiego.	15
121	Spadkobiercy ś. p. X. Stolarczyka . .	17
	strona prawa	
90	Helena Gnoińska . .	2
802	Stanisław Król	4
787	Wiktor Finger	6
830	Rygielhaupt	8
846	Herz	10
861	Jan Cukier Kozianiak	12
21	Chałubiński	14
	Ulica Nowotargska	
	strona lewa	
543	Romuald Kulig	1
103	Jan Czarniak	3
—	Beck	5
—	Szkoła	7
755	Stanisław Czarniak .	—
859	Józef Bachleda . . .	9
—	Bizańska	11
834	Maciej Gąsienica Wojciak	13
858	Jan Staszel	15
689, 814	Dr. Florkiewicz . . .	19, 17
324	Jędrzej Tatar	21
621	Jan Bachleda Galijan	23
160	Józef Płaza (Stara polana)	25

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
176	Jan Rybka	27
511	Józef Szczepaniak	29
—	Krupowski	—
590	Karolina Cieplińska	31
827	Jan Grajcar	33
837	Maniecki	35
—	Fr. Hyc (Spyrkówka)	
	strona prawa	
297	Hotel Kuliga	2
122	Spadkobiercy X. Stolarczyka	4
577	Beldegrün	10
17	Jan Czarniak	—
720, 100	Jan Bachleda Wias	12, 14
840	Jan Latko	16
—	Swiderska	—
810, 476 i 789	Knoblauch (Stara polana)	18
65	Jan Płaza	20
553	Jacek Płaza	22
499	Jan Marduła	24
176	Bronisława Kluś	26
473	Józef Szczepaniak	28
838	Jan Smaś	30
710	St. Barababasz	—
136, 823	Walery Elijasz	34, 36
368	Wachsberger	38
783	Berger	40
290	Lakner	44
820	Landsberg	
	Ulica Łukaszówka	
17	Jan Czarniak	—
680, 248 i 510	Jędrzej Gronikowski	—
685	Jan Curuś Bachleda	—
168, 757	Jakób Curuś Bachleda	—
	Ulica Przecznica w kierunku do Krupówek	
	strona lewa	
286	Józef Słowik	1
678	Jakób Budz	3
93, 642	Aniela Trzebuniowa	5, 7
862	Jędrzej Giewont Ku-	
92	jon	9
	Jan Cukier Kozianiak	11
766	Walenty Brzega	13
767	Józef Raj	15
85	Teresa Fedrowa	17
240	Justyna Fedrowa	19
119	Dr. Markiewicz	21
853	Jan Bachleda Taiber	23

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
80	Marya Obrochta	25
'822	Stefan Sękowski	27
	Strona prawa	
310	Jan Gąsienica Gronikowski Kujon	4
746	Wojciech Brzega	6
791	Michał Giewont Kujon	8
655	Wojciech Giewont	10
148	Maciej Cukier Kozianiak	12
287	Jakób Fedro	14
769	Jan Czarniak Pająk	16
268	Alfred Szczepański	18
90	Helena Gnoińska	—
	Ulica nad Bystrą kierunek z biegiem rzeki	
	strona lewa	
822	Stefan Sękowski	—
863	Rygielhaupt	—
383	Jan Jarosz	—
394	Jakób Trzebunia	—
284	Jan Czarniak	—
—	Jan Roj	—
	strona prawa	
768, 795	Grabowski	—
—	Jędrzej Trzebunia	—
—	Józef Dawidek	—
	Ulica Krupówki w kierunku do Kuźnic	
	strona lewa	
297	Hotel Kuliga	1
500, 728 i 782	Pawlica	3, 5, 9,
101, 723	dto.	11, 7
806	Stan. Staszczek Gąsienica	13
475	Jan Krzeptowski	15
270	Krzysiak	17
464	Bogdańska	19
613	Jan Bachleda Curuś	21
632, 378	M. Jarząbek	23, 25
305	Jędrzej Wala starszy	27
780	Ostrowska	29
697	Ferber	—
434	Mandel-Gorska	31
627, 677	Załewski	—
14	Hr. Zamoyski	33
96	Jan Kubin	35
599, 724	Jan Bachleda Galijan	37

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
779	Bronisław Szczepaniak	41
703, 97	Rojowa - Kubinowa	39, 43
171, 605	Pawłowski	45, 47
548	Jędrzej Krupowski Szczepaniak	49
763	Jan Obrachta	51
701	Jędrzej Krupowski	53
762	E. Obertyński	55
274	Jan Obrachta	57
410	Wojciech Obrachta	59
682	Malacina	61
228, 21	Jan Ślimak	63, 65
726	Uózef Gąsienica Wojciak	67
691	Michał Roj	69
145	Jędrzej Gąsienica Mięsacz	71
63	Rehefeld Gerta	73
815	Aniela Trzebunia	75
839	Jordanowa	77
808	A. Trzebunia	79
816	Janoszyna	83
821	Herz	81
27	Chałubiński	85

strona prawa

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
446	Jędrzej Tatar	2
—	Szkoła fachowa	4
—	Dwór Tatrzański	6
684	Jan Bachleda Grabarz	8
66	Maciej Bachleda Grabarz	10
99	Jędrzej Bachleda Grabarz	12
807	Józef Sieczka	14
477	Neuzil	—
754	Maniecki	16
327, 633	Bogdańska	18, 20
102, 142	M. Krzysiak	22, 24
756	Gronikowski	26
864, 481	Rygielhaupt	28, 30
461	B. Obrachta	34
851	Makrwald	36
557	Jędrzef Kubin	38
118	Jan Kubin Brzegowian	42
812	Dr. Chwistek	40
167	Jędrzej Ślimak	44
857	Józef Ślimak	46
94	Jan Gąsienica Mięsacz	48
847	Mizerska	50
478	Czubek	52
479, 818	Nemirycz	54, 56
—	Beringer	56 a

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
—	M. Cukier Kozianiak	58
800	Zborowska	60
56	Roj Wojciech	62
142	Turzycka	64

Ulica Kościeliska

w kierunku do Kościelisk

strona lewa

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
456	Józef Pęksa	—
386, 603	Maciej Jacina	—
581	W. Samek	—
583	Izak Statter	—
645	Rygielhaupt	—
440	Koppel Statter	—
6	Organistówka	—
700	Czubernat	—
120	Sieczka	—
626	Ludwina Gat	—
246	Guralowski	—
670	M. Gąsienica	—
162, 634	Tomasz Gąsienica	—
495	Jan Szostak	—
123	Wojciech Walczak	—
158	Józef Walczak	—
98	Dyrektor Walczak	—
301	Jakób Walczak	—
—	Kronhelm	—
325	W. Janik	—
147	P. Janik	—
704	J. Janik	—
496	Józef Janik	—
48	Jan Sobczak	—
298	Stan. Sobczak	—
347	Kaz. Sieczka	—
—	J. Sieczka	—
—	J. Bednarz Giewont	—
—	Józef Bednarz	—
676	W. Raj	—
719	Jan Tatarczuch	—
364	Jan Gut Szczerba (Skibówka)	—
308	Józef Walczak	—
—	Jan Chodak	—

strona prawa

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
468	Jędrzej Pęksa	2
733	Józef Pęksa	—
222, 403	Jędrzej Pęksa	4, 6
631, 752	Kitzler	8, 10
77, 419	Hr. Zamoyski	12, 14
—	Strażnica	—
—	Plebania	18
472	Anna Pęksa	20
289	Józef Sieczka	—
74, 552	Maciej Gąsienica	—

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
319	Józef Krzeptowski	22
164	Wiktorya Szostach	24
649, 550	Jędrzej Tatar	26, 28
163	Wojciech Walczak Nawieś	30
718	Wojciech Walczak Sobuś	34
744	Gnatowski	32
530	Józef Walczak	36
343	Woj. Janik Pawłowy	38
532	Sebestyan Ustupski	40
519	Siostry Sobczakówny	42
234	Jan Sobczak Cekus	44
611	Jan Janik	46
444	Jan Majerczyk	48
638	Marcin Janik	—
355	Józef Ciułacz	50
399	Stanisław Sobczak	54
721	Józef Sobczak	52
652	Mateja	58
302	Maciej Sieczka starszy	—
345	Jan Roj Buchowian	—
290	Maciej Roj Chudy	—
321	Maciej Roj Spyrkowski	—
154	Michał Roj	—
799	Józef Gąsienica Symosek	56
344	Maciej Jacina	60
149	Maciej Sieczka Kulawy	62
624	Jan Gąsienica Pitruś	64
345	Katarzyna Gąsienica	66
401	Szymon Tatar	68
669	Wojciech Bednarz	72
332	Katarzyna Bednarz	70
273	Jakób Bednarz	—
551	Maciej Bednarz	74
153	Siostry Krzysiowe	76
695	Szymon Krzyś	78
659	Siostry Brzegowe	80
135	Józef Wojciak	86
384	Stanisław Brzega	—
152	Stanisław Wojciak	—
—	Wojciech Walczak (Skibówka)	—
—	Jędrzej Tatar	90
—	Józef Tatar	82

Ulica Kościelna

strona lewa

6	Organistówka	—
161, 700	Czubernat	—

Nr. hipoteczny	strona prawa	Nr. orjentacyjny
503	Czubernat	—
647	Wojciech Głodczan	—
412, 751	Czubernat	—
443	Ferber	—

Ulica Gładka

—	Bukowska	—
785	Wojciech Samek Kubiorek	—
717	Jan Samek	—
661	Józef Gąsienica Gładczan	—
841	Jędrzej Gąsienica Krawiec	—
570	Jakób Gąienica Kloryk	—

Ulica Kasprusia

strona lewa

603	Mąciej Jacina	1
502	Mucha	3, 5
698	Jan Byrczyn Gąsienica	7
441, 741	Adolf Baldinger	9, 11
165	Mendel Beck	13
19	Sten. Krzystyniak	—
322	Grabskie	15
796	Swięch	17
641	Effenberger	19
707	Ludzmirski	23
124	Guziak	21
333	Jacek Gąsienica Zuzaniak	25
681	Józef Walczak	27
—	Józef Stoch	29
646	Jan Jarząbek Błunczak	31
729	Lewandowska	33
794	Jakób Krzeptowski Wawrytko (Żywczańskie)	—

strona prawa

386	Maciej Jacina	—
629	Dorota Janikowa	2
630	Bogdanowska	4
264	M. Obertyński	6
625	Józef Samek	12
650	Klemens Bachleda	10
443	Ferber	8
753	Samkowie	14
146	Józef Bukowski	16
—	Jan Gąsienica Kasprus Zuzaniak	—

Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny	Nr. hipoteczny		Nr. orjentacyjny
523	Teresa Soboniowa .	18	618	Anna Gąsienica Kręta	15
316	Józef Stoch	22			
865	Jędrzej Stoch	24	—	Józef Gąsienica . . .	5
686	Teresa Bratko	20	775	Jan Bystrzan	7
452	Jędrzej Kaspruś . . .	26	819	Karolina Makowska	21
331	Maciej Kaspruś . . .	28	811	Kleczyńska	19
637	Józef Sobczyk Zarycki	30	184	Michał Gąsienica . .	23
			662	Józef Gąsienica . . .	25
505	Jędrzej Sobczyk . . .	—	790	Wojciech Cieśla . . .	27
809	Józef Sobczyk	32		**strona prawa**	
589	Jan Bachleda Grabarz	34	866, 242	Jan Dawidek	2, 4
	Bystre i Koziniec		725	Anna Juhas Galica .	6
			849	Jędrzej Owczarzak .	8
	strona lewa		8	Jakób Gąsienica Juchas	10
311	Maciej Wojciak . . .	1	60	Ludwik Czubernat .	12
159	Franc. Garalowski . .	3	288, 375	Jędrzej Łuszczek starszy	14, 15
247	Jan Bystrzan Naręcki	9	736	Józef Łacek	18
12	Jan Gąsienica Mikołaj	11	7	Jędrzej Tatar	20
381	Jędrzej Gąsienica Łuszczek młodszy .	13	740	Józef Łacek	22
			835	Maciej Wojciak . . .	24
358	Józef Gąsienica z pod drogi	17	129	Jędrzej Gąsienica leśny	26

Taryfa dla woźniców.

Z Zakopanego do Chabówki lub napow.	parok.	7 zł. — ct. jednok.	4 zł. — ct.
„ „ Szczawnicy „ „	„	9 „ — „ „	5 „ 50 „
„ „ Szmeksu „ „	„	14 „ — „ „	8 „ — „
„ „ Popradu „ „	„	14 „ — „ „	8 „ — „
„ „ Krakowa „ „	„	15 „ — „ „	9 „ — „
„ „ Rostoki:			
a) napowrót tego samego dnia	„	6 „ — „ „	4 „ — „
b) „ drugiego dnia	„	9 „ — „ „	5 „ — „
Do Kościelisk: cały dzień	„	4 „ — „ „	2 „ 50 „
do południa lub od południa	„	2 „ — „ „	1 „ 50 „
Do Jaszczurówki, Kuźnic, Poronina, Małej Łąki (do wejścia) i Strążysk . . .	„	— „ 60 „ „	— „ 40 „
Do tych samych miejscowości z godziną czekania	„	1 „ — „ „	— „ 60 „
Na Bystre	„	— „ 40 „ „	— „ 25 „
Do Nowego Targu	„	3 „ 50 „ „	2 „ — „
Użycie wozu w inne miejscowości w obrębie stacyi przez pół dnia	„	2 „ — „ „	1 „ 50 „
Użycie wozu od 5. do 9. wieczorem . .	„	1 „ 50 „ „	— „ 90 „
Przewiezienie z jednego miejsca na drugie w obrębie stacyi (oprócz Kozińca i Bystrego)	„	— „ 25 „ „	— „ 15 „

Na wozie parokonnym są trzy miejsca do zajęcia a na wozie jednokonnym tylko dwa.

SPIS
przewodników upoważnionych przez Towarzystwo tatrzańskie do prowadzenia w Tatrach.

Pierwszorzędni:

Maciej Sieczka	lat 69	z Zakopanego	ul. Kościeliska
Szymon Tatar	„ 65	„	„ „
Jędrzej Wola syn	„ 51	„	„ Nowotargska
Wojciech Roj	„ 57	„	„ Kościeliska
Jan Gronikowski	„ 45	„	„ Łukaszówka
Bartłomiej Obrocha	„ 44	„	„ Krupówki
Szymon Tatar mł.	„ 47	„	„ Kościeliska
Wojciech Giewont	„ 47	„	„ Żywczańskie
Jan Gąsienica Haręcki	„ 56	„	„ Bystre
Wojciech Ślimak Kościelny	„ 55	„	„ Krupówki
Jędrzej Pęksa	„ 41	„	„ Kościeliska
Józef Pęksa	„ 37	„	„ „
Jan Kubin młodszy	„ 37	„	„ Krupówki
Klemens Bachleda	„ 47	„	„ Kasprusie
Walenty Brzega	„ 45	„	„ Przecznica
Jan Kubin starszy	„ 43	„	„ Krupówki
Jan Stopka	„ 47	„	„ Tatarzy
Wojciech Giewont Bednarz	„ 43	„	„ Kościeliska
Kazimierz Bednarz	„ 32	„	„ „
Jan Gąsienica Byrczga	„ —	„	„ Gładka

Drugorzędni:

Józef Gąsienica	lat 36	z Zakopanego	ul. Bystre
Tomasz Gąsienica	„ 36	„	„ Kościeliska
Jakób Gąsienica Giewont	„ 56	„	„ „
Maciej Roj	„ 48	„	„ „
Jan Bachleda	„ 38	„	„ Kasprusie
Józef Tatar	„ 33	„	„ Kościeliska
Jan Roj Michałków	„ 31	„	„ „
Michał Gąsienica Józków	„ 56	„	„ „

Trzeciorzędni:

Józef Sieczka	lat 29	z Zakopanego	ul. Kościeliska
Jan Samer Kubiorek	„ 36	„	„ Gładka
Michał Gąsienica Bartków	„ 33	„	„ Kościeliska
Wojciech Gąsienica Brzega	„ 44	„	„ „
Marcin Galica	„ 43	„	„ Poronin
Maciej Roj Bukowian	„ 35	„	„ Kościeliska
Maciej Gąsienica Józków	„ 39	„	„ „
Tomasz Gąsienica Głodczan	„ 30	„	„ Kościelna
Józef Gąsienica Głodczan	„ 33	„	„ Kościeliska
Maciej Samek	„ 35	„	„ Chramcówki
Jakób Gąsienica	„ 61	„	„ Kościeliska
Wojciech Czarniak	„ 41	„	„ Nowotargska
Stanisław Giewont	„ 21	„	„ Przecznica
Jan Krzeptowski	„ 38	„	„ Krzeptówka

Taryfa dla przewodników.

Za prowadzenie na najwyższe szczyty Tatr dziennie ze strawnem: pierwszorzędni 2 złr., drugorzędni 2 złr., trzeciorzędni 1 złr. 50 ct. Oprócz powyższej taksy należy dopłacić każdemu przewodnikowi 1 złr. za wyprowadzenie na Garłach, Łomnicę, Lodową i Wysoką.

Przy jednodniowych wycieczkach pierwszorzędni 1 złr. 50 ct. drugorzędni i trzeciorzędni 1 złr.

Do Morskiego Oka przez Zawrat pierwszorzędni 2 złr. drugorzędni 1 złr. 50 ct. Oprócz powyższych należytości należy się przewodnikom strawne.

Wyciąg kasowy

z ksiąg komisyi stacyi klimatycznej w Zakopanem.

rok	1886	dochód	2259	złr.	25	ct.	rozchód	2304	złr.	29	ct.	deficyt	45 złr. 03 ct.
„	1887	„	2235	„	90	„	„	2063	„	41	„	pozostało	172 „ 49 „
„	1888	„	1864	„	39	„	„	1679	„	46	„	„	184 „ 93 „
„	1889	„	2625	„	76	„	„	2212	„	25	„	„	413 „ 51 „
„	1890	„	3987	„	75	„	„	2884	„	70	„	„	1103 „ 05 „
„	1891	„	4885	„	15	„	„	4506	„	81	„	„	378 „ 34 „
„	1892	„	4249	„	04	„	„	4169	„	15	„	„	78 „ 89 „
„	1893	„	3893	„	55	„	„	3456	„	98	„	„	436 „ 57 „

Dochód.

Taksa od gości	3428	złr.	44	ct.
„ od przemysłowców	294	„	75	„
za wynajęcie jatki	35	„	—	„
Grzywny (kary)	14	„	50	„
różne datki	11	„	72	„
zwrot długu Czubernat	29	„	—	„
pozostałość z roku 1892	78	„	89	„
razem	3892	złr.	30	ct.

Rozchód.

Czynsz z mieszkania	250	złr.	—	ct.
Pensya i mieszkanie komisarza	235	„	—	„
„ lekarza	466	„	62	„
„ sekretarza	240	„	40	„
służba	554	„	50	„
prenumerata pism	162	„	50	„
wydatki kancelaryjne	157	„	91	„
oświetlenie stacyi	212	„	24	„
skrapianie ulic	34	„	05	„
naprawa mostków i ławek	76	„	40	„
numera domów na tablicz.	25	„	—	„
beczka do kropienia ulic	206	„	56	„
Do przeniesienia —	2621	„	18	„

Z przeniesienia	2621 złr.	18 ct.
czynsz za plac dla woźniców	10 „	— „
obsadzenie dróg drzewkami	70 „	— „
zwrot pobranej taksy	301 „	— „
subwencya aptece	100 „	— „
Wydziałowi krajowemu na utrzymanie dróg	300 „	— „
drobne wydatki	53 „	80 „
razem	3455 złr.	98 ct.

Zestawienie.

zameldowanych gości od początku powstania stacyi klimatycznej w Zakopanem aż do r. 1893.

w roku 1886 było gości	2152	w roku 1890 było gości	3019
„ „ 1887 „ „	2075	„ „ 1891 „ „	3139
„ „ 1888 „ „	1686	„ „ 1892 „ „	3253
„ „ 1889 „ „	2378	„ „ 1893 „ „	3457

W roku 1893

mężczyzn 1313, kobiet 961, dzieci 734, sług 351.

poddanych austryackich	2111	poddanych angielskich	3
„ rosyjskich	1107	„ włoskich	4
„ niemieckich	128	„ innych państw	5
„ francuskich	5		

Właścicieli dóbr	305	Literatów	29
Profesorów i nauczycieli	159	Właścicieli realności	28
Studentów	132	Dr filozofii	3
Urzędników rządowych	107	Dr prawa	8
Lekarzy	88	Techników	6
Przemysłowców	73	Architektów	9
Duchownych	62	Matematyków	1
Adwokatów	60	Artystów dram	13
Kupców	59	Nauczycieli muzyki	7
Kapitalistów	50	Malarzy artyst.	14
Urzędników pryw. instytucyi	51	Przełożonych pensyonatów	5
Inżynierów	45	Posłów do Sejmu i R. P.	4
Oficerów	39	Dentystów	3
Urzędników sądowych	36	Weterynarzy	1
Aptekarzy i chemików	16	Agronomów	4
Notaryuszów	20	Bankierów	2

Żeński Zakład wychowawczy
br. jenerałowej Zamoyskiej
w Kuźnicach.

Dziwnie skromnemi drogami chodzi miłość boska po ziemi. Ktoby pomyślał przed 30 laty, że w tym najdalszym, najubóższym zakątku ziemi naszej powstanie bogate pięknem rojowisko ludzkie, zasieją się i rozwiną dzieła, przynoszące chlubę i pożytek społeczeństwu, a dzieła, których brak na bujniejszych i bogatszych przestworach tej ziemi. Jeśli inne tutejsze szkoły, stowarzyszenia i instytucye powstałe, bądź dla zużytkowania piękna i darów natury, bądź dla pomocy miejscowej tylko ludności, nabierają z czasem szerszego znaczenia, — Zakład Kuźnicki, kierowany od początku tylko miłością dla tego Benjamina tatrzańskiego ziemicy naszej, jak się od razu tu wszczepił i rozwinął bujnie, tak też choć skromnie, bez rozgłosu, ale najdosadniej zsyntentyzował poczciwą myśl polską: wykształcić kobietę, jako podstawowy czynnik rodziny, bez względu na sferę towarzyską, do której należy, wykształcić jako zacną Polkę i rządną gospodynię domu, a więc etycznie, intelektualnie i ekonomicznie, czyli w przeciwieńswie do nierządu i braku zasad religijnych i obywatelskich, które przyprawiły o wypadek społeczeństwo nasze.

Początkowo w Kórniku założony pod wezwaniem »Matki Boskiej dobrej rady«, Zakład, po wydaleniu go z Kórnika przez rząd pruski w 1881 r., rozwijał się czas pewien w chwilowej siedzibie w Lubowni na Spiżu, następnie pod Lanckoroną w Kalwaryi, aż ostatecznie mimo korzystnych propozycyi uczynionych jenerałowej Z. przez rząd francuski celem instalowania zakładu tego we Francyi, został tu przeniesiony z chwilą,

kiedy hr. Władysław Zamojski przez uratowanie tego zakątka tatrzańskiego z rąk niemieckich, złożywszy ofiarę na ołtarzu pragnień obywatelskich kraju, umożliwił i ułatwił swej dostojnej matce i siostrze spokojny rozwój ich dzieła ofiarności.

Instytut składa się z trzech oddziałów. W I-szym, którego kurs trwa co najmniej rok jeden, a do którego przyjęte być mogą córki obywateli po skończeniu nauk domowych lub szkół żeńskich, nabywa się wiadomości teoretycznych i praktycznych w zarządzie gospodarstwa domowego i wiedzy poszczególnych tego gospodarstwa gałęzi; II-gi, trwający co najmniej trzy lata, służy dla wykształcenia ekonomek, klucznic i w ogóle wykonawczyń pracy domowej — przez dokładne rozpoznanie z techniką i procederem każdej gałęzi gospodarczej. Na I-szy kurs uczęszcza obecnie kilkanaście panien, na II-gi przeszło ośmdziesiąt dziewcząt wiejskich, mających jednostajny dość wdzięczny uniform, którego częścią składową jest biały czepeczek. Górale, polubiwszy ten zakład, z właściwą im dosadnością wysłowienia się, nazwali uczennice owego »czepculami« z powodu owych czepców. Hafty, robota szydełkami szycie białe i krawiectwo uzupełniają naukę techniczną w obu kursach. Humanistyczny plan nauk, jak języków, muzyki, dziejów ojczystych, literatury itd., oczywiście, o tyle ma się na uwadze, o ile jest potrzebny dla ogólnego kierunku, i o ile dla II-go oddziału dostępny, a dla pierwszego uzupełniający.

Trzeci Oddział, mający kilkanaście uczennic (tak panien jak dziewcząt wiejskich), zajmuje pośrednie stanowisko i poddany rygorowi, aplikowanemu w oddziale II-gim.

Obora wzorowa, inspekta, oranżerya, i szkółka ogrodowa, piekarnia, kuchnia, mleczarnia cetryfugalna, wylęgarnia jaj itp. urządzenia służą zarówno dla nauki praktycznej jak do wdrożenia systematyczności pracy.

Na samem kształceniu jednak Zakład nie poprzestaje, bo jednocześnie przestrzega i rozwija zasady dobrego wychowania, a tem umiejętnem sprzegnięciem trzech kierunków (gospodarczego, umysłowego i wychowawczego) różni się zarówno od zakładów czystonaukowych świeckich jak poniekąd i klasztornych, chociaż sam jest zakładem do pewnego stopnia zamkniętym, przeznaczonym wyłącznie tylko dla internistek.

Samo zewnętrzne położenie Zakładu wybornie symbolizuje charakter jego. Obszerny dwupiętrowy gmach, położony

u samego wyższego końca doliny zakopiańskiej, wśród pięknej okolicy, otoczony amfiteatralnie z trzech stron przedmurzem Tatr, białością swoją śnieżną wspaniale odbija od ciemno-szmaragdowego tła zalesionych na onym amfiteatrze regli. Zdala z jednej strony rozlega się odeń widok na dawniejszą hamernię żelaza oraz na obecnie w ruchu będące dwie fabryki papieru, z drugiej na dolinę Jaszczurówki, ten Gastein polski z jego zdrojowiskiem i hotelami, a z trzeciej na wspaniałą aleję, prowadzącą do Zakopanego — tego doborowego rojowiska ludzi ze wszystkich dzielnic kraju; a tak usilna praca postępowa, ideały uspołecznienia ludzkiego i zabawa lub odpoczynek po trudach życia w perspektywie się tylko ukazują przybytkowi nauki, nie mącąc jej ciszy i pogody umysłów młodocianych. Na kresach ziemi naszej stoi ten przybytek, toć wierną i czujną jest strażnicą obyczajności i pragnień narodowych, a dźwięczny chorał, płynący tak podniośle i często z piersi młodzieńczych »dobrej rady«, nie tylko odbija się echem o granitowe słupy granic, ale i znajduje oddźwięk w sercach ludzkich wszędzie, gdzie takowe uderzać zdołają po polsku.

ZAKŁAD
Dra Jędrzeja Chramca.

Wobec sprzyjających Zakopanemu warunków pierwszorzędnej stacyi klimatycznej, zrozumiałem było marzenie Dra Chałubińskiego nietylko spopularyzowania tej miejscowości i utrwalenia dogodnych schronisk vileggiatury lub miejsc kąpielowych czy drobnych gniazd asanacyjnych, lecz zarazem stworzenia wielkiego instytutu zamkniętego. Pragnął on Zakładu, któryby był w stanie spożytkować jak największą sumę onych warunków z jednej strony, a wymogów najnowszego lecznictwa dogodności życia i potrzeb towarzyskich z drugiej, słowem — Zakładu, który będąc na wielką skalę sanatorium, nie negowałby jednocześnie odpowiednich postulatów życia towarzyskiego i potrzeb schroniska, zarówno letniego jak zimowego dla warstw ludności, pragnącej mieć tatrzańskie Davos lub Rivierę.

Zadania tego podjął się uczeń znakomitego profesora — Dr. A. Chramiec. A zadanie wcale nie było łatwem. Krom zrozumienia onych warunków i potrzeb, a przy nich odpowiedniego przygotowania naukowego, krom zmysłu praktycznego i organizatorskiego, krom ducha przedsiębiorczości, tak rzadko u nas szczęśliwie kierowanej i zastosowanej, krom nareszcie przymiotów charakteru osobistego, niezbędnych do zharmonizowania różnorodnych sfer, stykających się w takiej instytucji — należało pamiętać o pewnych czynnikach moralnych — szerszej natury. Mamy tu na myśli to poczucie rozumne obowiązków względem społeczeństwa, to zamiłowanie dobra publicznego, tę miłość dla ludzi, bez których podobna instytucya stałaby się albo bezdusznem laboratorium nędzy ludzkiej, lub prostą spekulacyą pieniężną bez oddźwięku w sympatyi ludzkiej. A i to



Front Zakładu od zachodu.



Widok na ogród i deptak kryty.

jeszcze nie wystarczyłoby bez znajomości i umiłowania tego bliższego środowiska, w którem wypadało stawiać podwaliny i podtrzymywać życie instytucyi, a więc tej wspaniałej natury tatrzańskiej i tego rodzimego żywiołu ludowego, który nią zawładnął, a który miał użyczyć poparcia temu dziełu i sam w niem znajdować takowe.

Dr. Chramiec jest sam góralem, ze starożytnego rodu od wieków tu osiadłego na tej dzielnicy Zakopanego, która przybrała od niego dawne swe miano ojcowizny Chramcówek, a na której i Zakład stanął. Wszechnica Jagiellońska dała mu to, co mógł dać świat wiedzy spółczesnej; »Król Tatr« — pierwsze błyski natchnienia, a resztę zawdzięcza samemu sobie i temu właśnie środowisku miejscowemu, z którego wyrósł. A dobrze się stało, że to miejscowe dzieło ludzkie przypadło w udziale dziecku miejscowemu: to rzecz słuszna i godziwa, zwłaszcza jeśli mu danem było być streszczeniem i refleksem dobrych stron tego środowiska, które mu też snać ułatwiły sprzęgnięcie onych wszystkich warunków powyższych, niezbędnych dla życia takiej instytucyi. Że tak jest a nie inaczej, — dowód na samym Zakładzie, skoro jego powstania, wzrostu i powodzenia nagłego inaczej zrozumieć i wytłumaczyć niepodobna.

W roku 1886 Dr. Chramiec leczy w domu ojca parę osób; w następnym 1887 ma już niewielki własny zakład, w którym przebywa . . . . 47 osób

w 1888 liczba powiększa się w dwójnasób . . 95 »

w 1889 przekracza pierwszą setkę . . . . . 169 »

w 1890 sięga już . . . . 216 »

Dotychczasowy budynek nie może pomieścić coraz liczniejszego napływu wobec wzięcia i rozgłosu, jaki nabrał zakład i jego szczęśliwy a umiejętny kierownik. Okazała się nagląca potrzeba rozszerzenia i przebudowania całego kompleksu ubikacyj wewnątrz i na zewnątrz. Z niemałym trudem, pośpiechem i kosztem stanął nareszcie nowy gmach z jedną fasadą zwróconą ku alei Chramcówek, a drugą ku wnętrzu podwórza, nie na tyle jednak ukrytą, aby u szczytu onej nie widniały dwa lwy — godło siły, krzepkości i mocy, no i zapewne odwagi, której na żaden sposób odmówić nie mogli Dr. Chramcowi, nawet przeciwnicy jego (jeśli takowi byli!) a tem mniej zwolennicy. Ze wszech stron posypały się gratulacye i dowody uznania, a na poświęcenie Zakładu ostatecznie ukończonego zjechało

się z różnych stron kraju tyle ludzi, że do samej biesiady zasiadło 140 osób, oprócz drugiego stołu dla takiejże ilości klientów zakładu. Świat lekarski ostatecznie zamanifestował swoje placet dla instytucyi, wysyłając na wizytę i biesiadę aż sześćdziesięciu lekarzy, w gronie których widniały osobistości prof. Rydygiera, Dr. Cybulskiego, Dr. Rydla, Halbana, Dr. Ponikły i wielu innych, których wyliczać tu niepodobna. Ze sfer poselskich i reprezentacyi kraju szczególnie gorącego uznania nie skąpił ś. p. hr. Koziebrodzki, poseł i preses Towarzystwa Tatrzańskiego. Liczba klientów przebywających w Zakładzie owym 1891 roku sięgnęła cyfry 314 osób.

W kilka miesięcy potem zawitał do Europy gość azyatycki — cholera. Pod wrażeniem popłochu ludzie choć uciekali z miast w góry, szukając czystego od miazmatów powietrza, to jednak między nimi widocznie byli tacy, którzy woleli wstrzymać się od wody i leczenia hydroterapeutycznego, może w obawie, aby przecinki Dr. Kocha nie dostały się z Wisły do Bystrej. Tej może obawie przypisać należy okoliczność że liczba pacyentów w Zakładzie Dr. Chramca wynosiła o kilka jednostek mniej, a mianowicie, w 1892 roku 311 osób.

Z czasem wszakże uprzedzenie zwolna ustępować zaczęło przed przeświadczeniem, że górska woda bezwarunkowo jest zdrowa, a jeśli gdzie to w takim zakładzie ściśle prowadzony porządek życia dyetetyczny i hygieniczny z racyonalnem odżywianiem najdzielniejszy stawia opór wszelkim epidemiom. To też w 1893 roku liczba gości zakładowych sięgnęła cyfry 321 osób, nie licząc, oczywiście, eksternistów, t. j. mieszkających po za obrębem Zakładu, a stołujących się lub szukających tylko pomocy lekarskiej w Zakładzie.

Zakład, położony w północno-wschodniej stronie doliny Zakopańskiej, na terenie stosunkowo najzdrowszym *), jest gmachem olbrzymim, dwupiętrowym, w kształcie dwuramiennego krzyża, którego ramię dłuższe ciągnie się w kierunku od zachodu ku wschodowi, równolegle do gościńca nowotarskiego, z oknami i dwoma frontami na podwórze i park; ramię krótsze, poprzeczne ciągnie się od północy ku południowi z głównym frontem i otwartą werandą ku alei Chramcówek, a z tylnemi oknami

*) Patrz w artykule o stacyi klimatycznej: wskazówki z badań bakteriologicznych, oraz poniżej cyfry naszego tekstu.

na podwórze i park. Na dole i piętrach w obu ramionach idą przez środek w całej długości gmachu korytarze, mające z obu stron drzwi wewnętrzne do oddzielnych numerowanych izb i apartamentów, przeznaczonych na mieszkanie dla gości. Od głównego frontu wejście z werandy prowadzi do dużej sali koncertowej, ozdobionej portretami i biustami znakomitości, a zaopatrzonej w bibliotekę, fortepian itd.; służy też ona w sezonie letnim za bawialnię dla gości zakładowych, za salę balową na wieczorki czwartkowe, na koncerta itd.; a w zimie — na teatra amatorskie i wyjątkowe liczniejsze zgromadzenia.

Na dole jednego krańca ramienia krótszego były dawniej sale konsultacyjne, teraz — mieszkanie administratora; po drugiej stronie — gabinet dyrektora i elektryczny wraz z salą konsultacyjną. Apteka przyboczna, znajduje się o parę stopni niżej w przejściu z ramienia krótszego do dłuższego. Postępując korytarzem tego ostatniego pomiędzy dwoma szeregami drzwi, prowadzących do gościnnych izb mieszkalnych, spotykamy po środku obok abortów t. zw. komorę wodną, a przy końcu tegoż korytarza — salę gimnastyczną i o wiele większą salę jadalną. Z tej ostatniej ganek kryty, prowadzi z jednej strony do oddzielnego gmachu, zajętego przez kuchnię i kawiarnię, oraz do przyległej pralni, a z drugiej do olbrzymiej dolnej werandy czyli chodnika krytego, łączącego właściwy Zakład z dwupiętrową willą, zajętą na mieszkanie prywatne rodziny Dra Chramca, oraz ubikacye dla gości-eksternistów.

Wzmiankowana komora wodna, oprócz zadań gospodarczych, leczniczych i densinfekcyjnych ma doniosłość wielką ze względu na bezpieczeństwo Zakładu: olbrzymi rezerwoar jego dostarcza wody nie tylko dla abortów, potrzeb gospodarczych i dla łazienek zimowych, ale w razie wybuchnięcia ognia, jest w stanie zalać potokami wody cały Zakład w ciągu minut kilku lub kilkunastu, co przy licznej służbie, własnych przyrządach ratunkowych i dwóch strażach ogniowych (kuźnickiej i zakopańskiej), dostateczne daje zabezpieczenie od klęski ogniowej.

U samego podnóża Tatr, wobec tych niezmierzonych przestworów terenu, oblanego idealnie czystem powietrzem i przesyconego największą w całym kraju ilością ozonu, mówić o dogodnościach świeżego powietrza i miejscach dla ruchu fizycznego — potrzebnych dla kuracyi klimatycznej lub po każdym zabiegu hydroterapeutycznym — byłoby rzeczą zbyteczną. Dla

tych wszakże, którzy się nie chcą lub nie mogą wychylać po za obręb Zakładu, istnieje park zakładowy, a na niepogodę dżdżystą, śnieżną lub wietrzną urządzono powyżej wskazany chodnik ze wszech stron kryty, mający długości trzysta, a szerokości dwadzieścia stóp. Jedna ściana jego zwrócona ku południowi oszklona jest przez całą długość werandy oknami ruchomemi w ten sposób, że takowe wpuszczać mogą szybko dowolną ilość świeżego powietrza i słońca, lub zasłaniać chodnik od wiatru i wilgoci. Taka więc galerya służyć może dla setki osób na wygodną promenadę, a w razie danym dla zabaw lub zgromadzeń towarzyskich na wypadek gdyby wielka sala frontowa okazała się niewystarczającą. Dawniej przebywający w Zakładzie kapłani odprawiali Mszę świętą w jednej z sal górnych Zakładu. W przeszłym roku Dr. Chramiec własnym sumptem zbudował, ozdobił i wyposażył w aparata piękną kaplicę zbudowaną w stylu góralskim, która się wznosi o kilkanaście kroków od Zakładu w cieniu świerków i jodeł. Oprócz osobnego kapelana i inni przybywający księża odprawiają tu codzienną Mszę świętą

Oprócz parku, przylegającego do głównego gmachu zakładowego, istnieje drugi naprzeciw fasady tegoż gmachu. Tam wzniesiono rozległy budynek piątrowy — łazienki na sezon letni. (Zabiegi hydropatyczne podczas sezonu zimowego odbywają się wewnątrz gmachu głównego). Czem dla pielgrzyma muzułmańskiego w Mecce jest życiodajne źródło Zem-zem, tem dla prawowiernego wyznawcy hydroterapii w Zakładzie Dr. Chramca jest owa łazienka. Tam to trzy razy dziennie odbywają się tłumne pielgrzymki pacyentów zakładowych, dla odbycia główniejszych zabiegów wodoleczniczych w postaci różnych kąpieli, pełnych, połowicznych, nasiadowych, natryskowych itd., bądź w wodzie obojętnej, bądź mineralnej, a zwłaszcza borowinowej, znajdującej sporo zwolenników. Dla uzupełnienia analogii z ową mekkańską krynicą dodać należy, że jak tam, tak tu tembardziej, obie połowy rodzaju ludzkiego zetknąć się mogą tylko u podwoi gmachu; poczem we wnętrzu jego każda z nich ma oddzielny czas i miejsce dla własnego kultu Hygiei. Po pokrzepieniu się u źródła Zem-zem, (a miało ono podług legendy być tem samem, z którego Agar pokrzepiła była Izmaela, każdy pielgrzym wstępuje na wzgórze Safa, i rozpoczyna świętą przechadzkę zwaną Saa; a że takowa przypominać ma wę-

drówkę Agary, szukającej wody dla syna, pielgrzym więc stąpa razu powoli, śledzi czy szuka czegoś okiem, następnie biega zu i owdzie, i znów oglądając się po za siebie, kroczy poważnie tnaprzód.

Kto widział choć raz pacyentów hydropatycznych, wychodzących na spacer wnet po zabiegu, mimowolnie przypomni sobie ów obrazek z Mekki. Ile tu skwapliwości w wydostaniu się na szeroki przestwór świata, ile usiłowań w wywołaniu bądź szybkiej, bądź stopniowej, odpowiednio do sił i temperamentu reakcyi ciepła w organizmie, ile nareszcie chęci obowiązkowego, zaleconego przez lekarza, ruchu! A ta właśnie obowiązkowość w połączeniu z ową naturalną, zwłaszcza po zimnej kąpieli, potrzebą szukania w ruchu ciepła potrzebnego jest jednym z najpierwszych i najdzielniejszych warunków lecznictwa klimatycznego w ogóle, a hydroterapeutycznego w szczególności. Woda sama przez się bywa dzielnym czynnikiem terapeutycznym w chorobach akutycznych, ale w przewłocznych odgrywa rolę czynnika bardziej pobudzającego i podniecającego — tak potrzebnego dla natury ludzkiej w przeważnej mierze biernej i apatycznej. Spalenie i przemiana tkanek przez obfite wchłonięcie tlenu, zużycie ich mechaniczne przez ruch oraz wydalenie przez wypociny, przyspieszony oddech, energiczniejsze trawienie itd., przedewszystkiem prowadzi do szybkiej regeneracyi organizmu. A owe wyniki w pierwszym stopniu ułatwia przeważnie każdy zabieg hydropatyczny z wodą. Byłby on wszakże bezcelowy, a nawet szkodliwy, gdyby reakcya i przyspieszany oddech odbywały się w nieodpowiedniem ku temu środowisku atmosferycznem i wśród powietrza, zakażonego miazmatami. Owoż pod tym względem trudno, aby inny punkt klimatyczny w Europie mógł wytrzymać spółzawodnictwo z tatrzańskiem powietrzem Zakopanego. W okolicy dworu tatrzańskiego (kasyno), przypada 1.030 bakteryj na jeden metr sześcienny powietrza, a na Chramcówkach — 125 bakteryj. Gdy się zważy, że zawartość 6.000 bakteryj na metr sześcienny w miastach, uważana bywa za odpowiadającą wymogom zdrowotnym, to powietrze zakopańskie uważać należy za idealnie czyste. Stacye klimatyczne w Alpach i na Rivierze posiadały również te warunki, ale przez gęste uczęszczanie chorych w ciągu lat kilkudziesięciu, zostały już zakażone w takim stopniu, w jakim Zakopane i za sto lat nie będzie.

Oprócz czystości ma powietrze zakopańskie inną jeszcze właściwość — jest pobudzającem, to też będąc zbawiennem i dobroczynnem w przeważnej części chorób, dalej dla osłabionych lub rekonwalescentów, już staje się za ostrem, w porównaniu np. ze Szczawnicą lub Krynicą, dla ludzi w rozwiniętych stadyach suchot. Toć Dr. Chramiec obok pensyonistów zdrowych lub rekonwalescentów, mając u siebie pacyentów na wszelkie dolegliwości i choroby nerwowe, organów trawienia, oddechowych itp, w zasadzie nie przyjmuje zdeklarowanych suchotników do swego Zakładu W ogóle pobyt dla tych chorych jest niepożądany i nie zawsze korzystny tak w Zakopanem jak w ogóle pod wysokiemi Tatrami, a myśl zakładania dla nich sanatoryów w okolicach Szczawnicy lub Krynicy znajdzie niewątpliwie ogólny poklask.

Bywają wszakże sezony w Zakopanem, w których łagodność warunków klimatycznych nadawała się w najwyższym stopniu do metody środków leczenia już nie ćwiczącej a oszczędzającej płuca. Do takich sezonów należała zima z 1893 na 1894 rok. Gdy na Rivierach były zawieje śnieżne, ciepłota i stopień nasycenia wilgocią zmienny — tu przy mrozie od -5^0 do -15^0 C. w cieniu, promieniowanie słońca było tak silne, że przy wciąż jasnem pogodnem niebie termometr na słońcu stał od godz. 10-tej rano do 3-ciej po południu na $+15^0 - +23^0$; ciśnienie powietrza stale wynosiło około 670, a stopień przesycenia wilgocią tego rodzaju, że tak górale jak goście mogli bez zamoczenia nóg chodzić wciąż w kapcach (długiem po kolana obuwiu wyrabianem z sukna góralskiego). Toć wszyscy mieszkańcy i pacyenci Zakładu Dr. Chramca przez kilka godzin dziennie bądź siedzieli przy otwartych oknach w pokoju, bądź najbardziej osłabieni używali przechadzek ciągłych na wolnem powietrzu, lub spędzali czas grudniowy, styczniowy i lutowy w kostyumach wiosennych na werandach zakładowych.

W zakresie owych własnych potrzeb leczniczych, tudzież turystowskich i gospodarczych Zakład zawsze posiadał i posiada odpowiednie środki i przyrządy obserwacyjne. W bieżącym roku wszakże Dr. Chramiec zakłada u siebie formalne obserwatoryum meteorologiczne, gdzie badania pod kierunkiem samego dyrektora prowadzone będą nie tylko przygodnie, ale też stale i nieprzerwalnie wraz z dziennikiem naukowym, zgodnie z szematami Akademii Umiejętności i T. T. w Krakowie. Urządzenie to, pomnażając szereg tylu pomocniczych urządzeń samego Zakładu,

jeśli wzmoże dogodności jego gości i klientów, to w równej mierze odda nieocenione przysługi w ogóle Zakopanemu, całej krainie tatrzańskiej i wreszcie nauce, udzielając i spożytkowując obserwacye na tak ważnym w kraju naszym terenie, jakim jest pas tatrzański.

Że należyte odżywianie organizmu jest nieodzownym warunkiem kuracyi klimatycznej, w Zakładzie przeto zwrócono baczną uwagę na ustawiczny dobór pożywnych a świeżych artykułów żywności. Oprócz własnej mleczarni i ogrodu warzywnego, tak samo Zakopane jak sąsiednie wioski dostarczają codziennie w obfitości nabiał i jarzyny, nadające się do uprawy w pasie tatrzańskim; niedostającą ilość jak również jarzyny i legominy zatatrzańskie, sprowadzane bywają z Węgier, z Krakowskiego i z Podola wprost z wielkich dominiów gospodarczych; miód, owoce południowe dla konserwów, ryż, kakao, kawa, cukier, oraz wszelkie korzenie i bakalie, jak również wino, koniak itp., hurtownie dostarcza bądź Spółka handlowa w Zakopanem, bądź pierwsze firmy zagraniczne. A że Zakład na kilkaset osób rocznie spożytkowuje tych artykułów w wielkiej ilości, przeto może je mieć z pierwszej ręki. Ryby, jak pstrągi i łososie, dostarczają rzeki górskie, dziczyznę sprowadzać potrzeba z Karpatów. Mięso wołowe, cielęce, wieprzowina, baranie i drób ma się codziennie świeże, bo Zakład od dwóch lat posiada własną rzeźnię, w której się dzień w dzień bije bydło miejscowe i sprowadzane z dalszych okolic. W Zakładzie jada się trzy a względnie pięć razy na dzień. O godzinie 8—9 rano śniadanie, składające się z mleka ciepłego, parzonego (świeże wprost od krowy lub kwaśne dla niektórych, wyłącznie pacyentom podaje się do łóżka rano), lub kawy, herbaty albo kakao, a z przystawek: masło, miód, chleb Grahama (pszenny razowy) i bułka domowa. Wyjątkowo w pewnych razach odpowiednio do wzmożonej potrzeby silniejszego odżywienia, przy silnem trawieniu, otrzymują niektórzy jaja na miękko, szynkę, lub cielęcinę.

O godzinie wpół do 1-szej obiad, składający się z zupy, dwóch potraw mięsnych (albo ryby i mięsa) z jarzynami, kompotu, legominy i kawy czarnej. Wyjątkowo w miarę potrzeby pozwala się niektórym pić koniak, wino, piwo lub porter.

O godzinie wpół do 7 wieczorem kolacya, składająca się z jednej potrawy mięsnej i herbaty lub mleka kwaśnego. Większa część pacyentów otrzymuje nadto drugie śniadanie mię-

dzy 10-tą godziną a 11-tą, oraz podwieczorek o 4-tej godzinie popołudniu.

Tylko w wyjątkowych wypadkach i obłożnie chorym pozostawiono wolność jadania we własnem pomieszkaniu, natomiast wszyscy interniści obowiązani są jadać wspólnie w jednej sali, pod okiem dyrektora (i jego asystentów - lekarzy), obok którego bezpośrednio zasiada przy stole, najpóźniej przybyły do Zakładu. W ten sposób kwestya pierwszeństwa i ceremonii znika wobec kolei porządkowej przybywających, z których nadto każdy ma możność przez czas pewien być obserwowanym ustawicznie przez dyrektora i mieć ułatwioną dyrektywę hygieny i dyetetyki. Oprócz tego każdy pacyent odpowiednio do wręczonej mu książeczki kąpielowej, (w której ma przepisany sposób i ilość zabiegów leczniczych, postęp kuracyi, własną dyetę i hygieniczne zachowanie się), ma dwa razy tygodniowo wizytę lekarską dyrektora w tegoż gabinecie konsultacyjnym. Lekarze-asystenci dyrektora, których jest zwykle kilku w sezonie letnim, obowiązani są pomagać mu, wykonywać lub kontrolować wykonanie przepisanych przezeń zaleceń i zmian, ordynowanych dla pacyenta i chyba w nagłych wypadkach pod nieobecność dyrektora mogą lub muszą na własną odpowiedzialność czynić zarządzenia.

Jedni uważają tę dwurazową w tygodniu wizytę za niedostateczną, drudzy, przeciwnie, za wręcz zbyteczną. My się stanowczo przychylamy do zdania tych ostatnich, z pewnem, oczywiście, zastrzeżeniem. Choroby lub dolegliwości, leczone w zakładach klimatycznych i hydroterapeutycznych wogóle i w Zakładzie Dr. Chramca w szczególności, są nietylko przeważnie, ale prawie wyłącznie chroniczne, przewłoczne, nie zaś akutyczne. Wyjąwszy zdrowych całkowicie i przebywających w Zakładzie, po prostu dla spędzenia czasu lub dla świeżego powietrza — na 100 chorych 95—98% można śmiało liczyć tego rodzaju pacyentów. Owoż jak właściwością stanu przewłocznego jest powolny jego przebieg, jak chory potrzebuje dłuższego czasu do leczenia, tak też zmiany w jego stanie patologicznym lub regeneracya nie odbywają się nagle, niespodzianie i często, lecz powoli, i stopniowo, odpowiednio do zmian w organizmie wywoływanych działaniem nie gwałtownych leków, lecz czynników tak powolnie i statecznie działających jak hygieniczne i dyetyczne. Skoro lekarz zbadał indywidualność organizmu

i oddziaływanie na niego owych czynników, to już dalsze działanie jego powinno się ograniczać na ich regulowaniu, oraz na czuwaniu i ścisłem przestrzeganiu wykonania zleceń. Prawda, u wielu zdarzają się często przejawy nagłego, a nawet częstego pogorszenia się, ale rzadko kiedy są one symptomatem pewnego niebezpiecznego zwrotu, potrzebującego istotnej natychmiastowej pomocy lekarskiej, (w takich razach jest ona w pogotowiu: skoro się jest w Zakładzie, można wezwać w każdej chwili pomocy dyrektora lub jego asystentów, byle nie nadużywać wezwania fikcyjnego...) przeważnie są to oscylacye wskaźnika szalek puszczonych w ruch i układających się do równowagi, lub bujanie fal wylewu powracającej do dawniejszego łożyska rzeki. Znałem wypadki, że pacyent przez czas kilkumiesięcznego pobytu w Zakładzie wciąż doznawał pogorszenia i nareszcie w rozpaczy wrócił do domu, w stanie o wiele przykrzejszym, niż był z niego wyjechał, a dopiero po nowych kilku miesiącach zaczął odczuwać reakcyę i następstwa pobytu swego w Zakładzie i w końcu przyszedł do zdrowia. Naturalnie, znaleźli się przyjaciele, którzy to pogorszenie przypisywali pobytowi w Zakładzie lub brakowi tamże opieki lekarskiej, a powrót do zdrowia — powrotowi do domu. Kompetentni ludzie wiedzą — co o tem sądzić, wiedzą, ile lekarz potrzebuje mieć cierpliwości, ile użyć perswazyi, aby natchnąć pacyenta wytrwałością na raz obranej drodze leczenia, tudzież ufnością w przepisany mu tryb zachowania się i leczenia, oraz odwieźć od chęci ciągłych zmian w kuracyi. Niestety — przy mało rozpowszechnionej u publiki znajomości elementarnych podstaw organizmu ludzkiego — wielu jest takich, co jak dzieciom zdaje się, że byle przy westchnieniu zjawił się lekarz, wziął za tętno, zapisał proszek lub miksturę obojętną, a już nastąpi polepszenie i wyzdrowienie!

Nie przeczę, iż są organizmy, których stan psychiczny wymaga tego rodzaju ukojenia w ciągłej nad sobą opiece lub drobiazgowych albo symulacyjnych czy paliatywnych środkach ratunkowych; ale i to pewna, że pierwszym warunkiem każdego leczenia musi być ufność w obrany system, a klimatycznego — porządne i ścisłe zastosowanie się do trybu, przyjętego w Zakładzie z całą wytrwałością i punktualnością.

Pod tym względem Dyrektor wraz z całym personalem administracyjnym i służbowym, sam przestrzegając ustanowio-

nych przepisów, wymaga również odpowiedniego do nich zastosowania się od swych gości i pacyentów. Począwszy od godziny 6-tej i 7-mej rano, t. j. od chwili wstawania i brania zabiegów pierwszych, a skończywszy na wpół do 10 wieczorem, kiedy na sali zgromadzeń i zabaw gaszą światła i każdy udaje się ostatecznie do swego mieszkania — każda godzina czasu w ciągu dnia ma sobie przeznaczony właściwy jej program dla pacyenta i gościa, czy to na zabiegi lecznicze, czy na przechadzkę, odpoczynek, pobyt na świeżem powietrzu, lub w pokoju, na ogólnych zebraniach, jedzeniu itd. — ściśle podług zegara. Nawet zachowanie się po $9^1/_2$ wieczorem ma pewny tryb określony, ważniejsze wykroczenie przeciw któremu może sprowadzić uwagę dyrekcyi, lub w razie ostatecznym nawet opuszczenie Zakładu.

Czyni się to nie tylko dla tego, aby przez dowolność jednostek nie mącić ogólnej harmonii i przez sprowadzenie zamętu nie utrudniać prowadzenia tak wielkiego zakładu w należytym porządku i kierunku, ale również i przedewszystkiem przez wzgląd na dobro i pożytek każdego pacyenta. Jak bowiem w naturze nie ma dowolności, a cały jej rozwój opiera się na niezłomnych prawach, w czasie ściśle podług nich zakreślonym, tak też zwichnięta wbrew tej naturze równowaga w organizmie człowieka da się przywrócić tylko regularnem i porządnem funkcyonowaniem jego, a to zarówno fizycznych jak duchowych organów i sił jego. Boć i w tym ostatnim razie — jako rezultat życia zakładowego, zyskuje się czerstwość i spokój duszy, jasność umysłu, hart ducha i wyrabia się ów porządek, karność i harmonia, jakich często brak zdradza społeczeństwo nasze.

Kto nie chce, nie może lub nie potrzebuje poddać się rygorowi Zakładu, a pragnie w pewnej mierze korzystać z jego dogodności, może zamieszkać jako gość w jednej z willi należących do Zakładu i Dra Chramca.

Z drugiej wszakże strony niech nikt nie mniema, aby ów rygor krępował wolę z uszczerbkiem i zanikiem indywidualności lub przykrością dla jednostek. Gdy się raz wejdzie w ten tryb czynnego pełnego sił, zapału i życia porządku, nie czuje się jego rygoru, ma się wszystkie chwile dnia z jednej strony oderwane od trosk życia poprzedniego, a z drugiej pochłonięte do tyła zajęciem, dającem energię, siłę i wesołość ducha, że się w końcu pragnie jak zbawienia tego rygoru i tego porządku.

Dzięki tym wszystkim warunkom, urządzeniom i troskliwości — dwie trzecie pacyentów odzyskuje stanowczo zdrowie; $^1/_3$ część, korzystając z chwilowego pobytu odjeżdża z polepszonem zdrowiem, a o śmiertelności nie słychać wcale; na tyle setek osób, które przeszły w ciągu kilku lat przez Zakład, jedna tylko umarła, będąc przywieziona do Zakładu prawie umierająca.

Dla pragnących rozrywek i zabaw — jest ich tu poddostatkiem: wspólne zebrania, fortepian, gry towarzyskie, biblioteka, bilardy, kręgle, w sezonie letnim co czwartek zabawy i wieczorki z tańcami, w zimowym takież same przygodne, to znów rauty, koncerty, widowiska, wreszcie najponętniejsze — wycieczki w góry, w świat nieprzebrany cudów i czarów. Oczywiście jeśli mowa o zwykłych i częstych, ma się tu rozumieć wycieczki do najbliższych regli i dolin — jak Gubałówka, Nosal, Bystre, Jaszczurówka, Kuźnice, dolina Białego lub do Strążysk; — na dalsze, jak do Kościelisk lub ku turniom, a więc zajmującym cały dzień lub kilka dni czasu, a zbyt utrudzającym — już trzeba zgody dyrektora Zakładu, bo w takim razie przerywa się kuracya, a nie każdy ma dość sił, aby wytrzymać od razu trudy takiej wycieczki.

Zakład Dr. Chramca jest tak przestronny, posiada tyle różnorodnych warunków dogodności, że osoby stroniące od ruchu i gwaru, a potrzebujące zupełnej ciszy i spokoju znajdują tu również dogodne pomieszczenie przy jednoczesnej możności korzystania z urządzeń, jakie daje i ułatwia znaczniejsze zbiorowisko ludzkie i obfitość środków egzystencyi. Toć widzieliśmy niejednego uczonego lub literata, który tu przybywał dla odświeżenia sił swoich, a jednocześnie dla uniknięcia gwaru wielkomiejskiego i dokonania tu prac, potrzebujących ciszy i skupienia ducha.

Gdy się zestawi listę gości, przyjeżdżających w ogóle do Zakopanego z listą przybywających do Zakładu, widzimy stosunek 10 : 1; po potrąceniu służby i dzieci — liczba zakładowców wyniesie prawie szóstą część ogółu gości zakopańskich; czyli sądząc liczebnie, Zakład partycypowaćby powinien w szóstej części życia zakopańskiego. W rzeczywistości jednak udział ten jest znaczniejszy. Jeśli się zważy, że przy krociowym dochodzie Zakładu, samej Spółce handlowej zostawia on przeszło dziesięć tysięcy reńskich rocznie, a zostawia li tylko jako administracya, bez względu na wydatki lub zakupno dokonywane przez sa-

mych gości — to się nabiera jako tako wyobrażenia o dziesiątkach i setkach tysięcy obrotu, wywoływanego istnieniem Zakładu, z czego jeśli sumy przeważne rozlewają się rozlicznemi drobnemi strumieniami po kraju, to i kwoty dość poważne pozostają na miejscu, wśród ludności miejscowej, podnosząc jej produkcyjność i dobrobyt.

Ekonomicznemu odpowiada niekiedy w wyższym nawet stopniu wpływ towarzyski i naturalny. Czwartkowe zabawy wieczorne, gromadzące w sali Zakładu parę set par tańczących z doborowego towarzystwa Zakopanego, nie dają jeszcze wyobrażenia o stanowisku Zakładu. Gdy się wejdzie na szczyt Gubałówki i jednem wejrzeniem obejmie się całą dolinę Zakopańską, jak nad nią dominuje pierwszy majestatyczny profil Tatr, tak też w niej samej zarysowuje się w dużych konturach dominujący po nad innemi budowlami — wielki gmach Zakładu, tyle wybitnie a zgodnie z rzeczywistością odrzynający się na planie stacyi klimatycznej, grubemi cieniami swemi, od reszty tła białego. To statyka tej instytucyi. Dynamika jej zdradza się w chwili, gdy zstąpiwszy z tych wierchów i wszedłszy w dolinę, zbliżamy się ku takiej jej arteryi jaką jest ulica Chramcówek z przylegającemi do niej gościńcami. W pełni sezonu zdala słyszany i widzialny gwar i ruch jezdnych i pieszych wzmaga się coraz bardziej w miarę zbliżania się do głównego gmachu zakładowego. Na boisku (raczej polance), znajdującym się wśród świerków, z drugiej strony ulicy przy kilkunastu wózkach podhalskich tłoczą się jak na kiermaszu górale, gwarząc raźnie i wesoło ze sobą, a kiedy niekiedy spoglądając na przeciwległy fronton Zakładu, gotowi zawsze na skinienie gości, do ich pomocy lub obsługi. Na werandzie frontowej, w przyległym do niej ogródku i ulicy, często wśród dźwięków orkiestry roi się tłum gości miejscowych i zamiejscowych; zdala zmierzają w różnych kierunkach inni jezdni, piesi i konni na wycieczki, za sprawunkami do miasta, w odwiedziny, do znajomych — wśród gromady turystów, amazonek, ciężkich bryk, przywożących lub odwożących nowe gromady, lub towary i wiktuały do Zakładu. Wszędzie huk, gwar, życie, skupiające się na małej przestrzeni, bardziej niż przed giełdą miasta stołecznego. Widać, że tu najgorętsza pulsacya tego tętna, które zaczęło bić pod Tatrami od lat kilkunastu pod ręką znakomitego dyagnosty a ich wielbiciela.

A temu zewnętrznemu objawowi odpowiada sama istota i treść rozbudzonego tu życia. Nie masz instytucyi pod Tatrami, do którejby Dr. Chramiec swojej ręki nie przyłożył. Czy to Spółka handlowa, czy stowarzyszenie pomocy naukowej, Towarzystwo tatrzańskie, kasa zaliczkowa, straż ochotnicza ogniowa, szkoły zawodowe, wreszcie klimatyka, której dawniej był lekarzem a teraz został prezesem, wszędzie on był bądź inicyatorem, bądź jednym z pierwszych pracowników i przodowników. A równolegle z jego osobistą działalnością, szerzy się i wzrasta działalność i wpływ jego Zakładu. Ileż to ztąd wyszło i wychodzi nieraz na szerszy świat świeżych lub poruszonych myśli, ile podniety do czynów, ile poparcia w rozbudzeniu życia towarzyskiego, w podniesieniu ludu, w sprawach ekonomicznych, artystycznych, humanitarnych, obywatelskich, mających wartość i znaczenie nie tylko dla Zakopanego i Tatr, ale i na szerszej arenie kraju! Można śmiało powiedzieć, że jeśli Zakład ten rozmiarami i znaczeniem swojem, w kierunku zdrowotnym, zajął jako instytucya prywatna, tak zaszczytne, przodujące miejsce w kraju, to natomiast ubytek jego dałby się uczuć w tymże kraju nie tylko w owym kierunku zdrowotnym, ale w ogóle w życiu publicznem.

E—n.

Spółka handlowa.

Potrzeba skierowania handlu na tory poważne, odpowiednie naturalnym stosunkom między producentami a konsumentami i zachowania go od nadmiernego wyzysku jednostek była od dawna uczuwana w kraju naszym; a znalazła swój wyraz w powstaniu wielu poważnych firm w Kongresówce. Ale ruch ogólniejszy, obejmujący szersze warstwy ludności rozpoczął się u nas od niedawna i w Galicyi ujawnił się za przykładem Wielkopolski, jako następstwo organizacyi Kółek rolniczych, które po wsiach zakładać poczęły gospody i sklepiki dla ludności wiejskiej, mając nielicznych przedtem pionierów w spółkach spożywczych, które powstały w głównych miastach kraju. Sklepiki te wszakże i kramy obracające bardzo skromnemi funduszami i nielicznych mające odbiorców, otrzymują towar z drugiej i trzeciej ręki — prawie wyłącznie od prywatnych hurtowników, a niekiedy od takich spekulantów en gros, przeciw którym miały pierwotnie być zakładane.

Owoż zastąpić tych ostatnich skombinowaną akcją choćby drobnych ale licznych kapitałów, połączonych iześrodkowanych w jednej firmie obywatelskiej; podnieść zadanie onych sklepików i kramów do skali wielkiego handlu, któreby i je obdzielał towarami i jednocześnie odbyt miał bezpośredni u szerokich mas konsumentów — stało się zadaniem grona ludzi dobrej woli. Miejsce działania obrano najpierw w Tatrach i w jej stolicy duchowej — Zakopanem, a projekt rychło począł się realizować, gdy hr. Władysław Zamoyski po zakupnie dworskich obszarów Zakopańskich ustalił się tu na dobre, a Zakład Dr. Chramca rozwinął się na tyle, że mógł przystąpić jako jeden z członków mającego się założyć przedsiębiorstwa i najpoważniejszy onego konsument.

Projekt statutu opracował p. Kazimierz Langie, w cichej

swej i skromnej pracy, nie goniący za rozgłosem, a jeden z najpoważniejszych inicyatorów i najdzielniejszych i wytrwałych przodowników w pracy obywatelskiej. Podług projektu jego Kasa Oszczędności stanowiłaby integralną część operacyi stowarzyszenia, aby z jednej strony przyuczać ludność do tego zmysłu społecznego, którego nam brak, a z drugiej strony umożliwić szerokim a ubogim masom natychmiastową lokacyę kapitałów, nie w żadnym banku, lecz w instytucyi, tak życiowej, jak spółka spożywcza. Gdy hr. Wł. Zamoyski mimo, że inicyator i dusza zaprojektowanej instytucyi idąc za popędem swych skłonności unikania ile możności kierownictwa a pracowania jako szeregowiec — nie przyjął proponowanego mu prezesowstwa. a wybrany natomiast prezesem ś. p. Wł. hr. Koziebrodzki nie zgodził się na Kasę Oszczędności, musiano ograniczyć statut do zakresu komercyjnego. Wysokość jednego udziału określono na 100 zł. reńskich. Ukonstytuowała się Rada Nadzorcza z sześciu członków złożona. Zamianowano Dyrektora w osobie hr. Tyszkiewicza, oraz urzędników i subjektów i przystąpiono do zrealizowania projektu.

Z 22.000 zł. zebranych wynajęto dom przy ul. Kościeliskiej, sprowadzono towary i otworzono interes 12-go sierpnia 1892 r.

W ten sposób powstała »Spółka Handlowa«.

W wyborze towarów nie zakreślono sobie żadnej specyalności, a kierowano się potrzebami zarówno gości klimatycznych i turystów jak i ludności góralskiej, a więc obok niezbędnych artykułów żywności, jak mąka, jarzyny, leguminy, konserwy itd., sprowadzono artykuły korzenne, bławatne, galanteryjne i w końcu wyroby miejscowych szkół zawodowych, a zwłaszcza rzeźbiarzy.

Przy tem przyjęto w zasadę: sprzedawać po cenach targowych, a więc takich samych, jakie istnieją po innych handlach, ale natomiast dawać kupującemu towar doborowy najlepszej jakości.

W następnym 1893 r., po śmierci hr. Koziebrodzkiego, hr. Wł. Zomoyski musiał objąć przewodnictwo Rady Nadzorczej; Dyrektorem został p. E. Ciechomski, odpowiednio też został zorganizowany personal urzędników fachowych. Dywidenda od udziału wynosi 6% — dość stosunkowo wielka przez wzgląd na koszta założenia.

Natomiast mimo krótkiego bo dwuletnego czasu istnienia

»Spółka« potrafiła pozyskać ogólne uznanie i zaufanie zarówno u gości, jak górali, czego dowodem wysokość obrotu, wynoszącego 150.000 zł. reńskich. Natłok kupujących jest tak wielki, że Spółka musiała otworzyć już w 2-gim roku filię swoją na Krupówkach, a w kwietniu r. b. 1894 otwarła również filię w Nowym Targu, zaopatrując towarem pierwszej ręki zarówno tysiące jednostek publiczności, jako też domy i instytucye zbiorowe oraz sklepy wiejskich Kółek rolniczych.

W ten sposób statecznie, stanowczo a raźnie spełnia się i pogłębia zadanie, postawione zaledwo jako pragnienie przed paru laty, a spełnia się nadzieją pociągnięcia reszty kraju za przykładem, postawionym tak energicznie i stanowczo u granitowych podstaw tatrzańskich.

B.

KLIMATYKA.

W r. 1885 w listopadzie zatwierdziło Wys. c. k. Namiestnictwo pierwszy statut dla Zakopanego, jako uzdrojowiska. Prezesem honorowym był prof. Chałubiński, lekarzem Dr. Chramiec. W roku 1889 zmieniono statut; równocześnie ustąpił Dr. Chramiec z posady — a lekarzem wybrano Dr. Chwistka — prezesem Edwarda Ciechomskiego.

W r. 1883, wskutek ustawy o uzdrowiskach, uchwalonej na wniosek ś. p. hr. Koziebrodzkiego przez Sejm, utworzono nowy statut i nowy skład komisyi klimatycznej: Prezesem jej był ordynat Czarkowski-Golejowski, lekarzem Dr. Smorągiewicz, lecz i ten statut jeszcze poddano tego samego roku poprawce i określono ostatecznie stacyę klimatyczną tylko na część wsi Zakopanego. Obszar dworski z niej wyłączono, i unormowano pobieranie taksy tak od gości, jak i przedsiębiorców.

Chałubiński, rzec można, stworzył stacyę klimatyczną w Zakopanem; Zyblikiewicz i Koziebrodzki, Władysław Badeni i Edward Jędrzejowicz udostępnili przystęp przez pobudowanie dróg. To też nazwiska tych dobrodziejów i twórców, każdego w innym kierunku naszego uzdrowiska, wie i powtarza każdy miłujący ten zakątek ziemi. — Wielką pomoc w obronie interesów swoich w Sejmie ma Zakopane w większości posłów, a głównie u tych, którzy je zwiedzają:

Gości	miała	klimatyka:	w r.	1886	osób	1860
»	»	»	»	1887	»	2426
»	»	»	»	1888	»	2782
»	»	»	»	1889	»	2764
»	»	»	»	1890	»	3415
»	»	»	»	1891	»	3468
»	»	»	»	1792	»	3618
»	»	»	»	1893	»	3486

Próbny czas istnienia klimatyki, zda się już zdążał ku końcowi. Potrzeba było kilku lat doświadczeń, różnorodnych projektów, prac przedwstępnych, dla wzajemnego ułożenia się stosunków między wspólnemi żądaniami, prawami i obowiązkami gości, górali, gminy, władz krajowych i państwowych, i wielu innych czynników, aby stopniowo i powoli wypośrodkowały się coraz to odpowiedniejsze normy dla istnienia i działania klimatyki. W każdym razie z początkiem bieżącego roku weszła ona w nowy okres życia, nietylko pełen nowych nadziei i dobrych zapowiedzi na przyszłość, ale i czynów już dokonanych.

Po ustąpieniu starosty p. Czarkowskiego i następcy jego w prezesostwie klimatyki hr. Tyszkiewicza, który zniewolony sprawami osobistemi do wyjazdu do Krakowa, nie mógł stale przebywać w siedzibie klimatyki i jej przewodniczyć, komisya klimatyczna musiała przez kwartał pracować w interregnum. Dnia 14 stycznia podpisała ona projekt nowego statutu, podług którego obszar dworski w Zakopanem z obszaru stacyi klimatycznej wyłączono; liczbę członków komisyi zwiększono o jednego więcej delegata z rady gminnej; taksę klimatyczną od pojedynczej osoby oznaczono na 4 (cztery) złote reńskie, a od rodziny na 10 (dziesięć) złotych reńskich — na rok cały *) — i unormowano pobieranie taks od przemysłowców.

1-go kwietnia Wys. c. i k. Namiestnictwo mianowało Dra Andrzeja Chramca swoim delegatem, a więc i przewodniczącym komisyi klimatycznej, z ramienia zaś Wys. Wydziału Krajowego delegatem został p. Walery Eliasz.

Tak wzmożona komisya, wybrawszy p. Szworma zastępcą przewodniczącego, raźnie wzięła się do pracy i pod przewodnictwem a inicyatywą nowego prezesa na trzech posiedzeniach wiosennych, po szeregu wyczerpujących dyskusyj, powzięła szereg uchwał, przeważnie weszłych już w wykonanie, a więc: budżet na rok 1894 w preliminarzu dochodów i wydatków, na kwotę 5.100 złr.

Zawarto ugodę z »Harmonią« krakowską o wysłanie do Zakopanego 12 członków swej orkiestry na lipiec i sierpień.

W moc ugody (za kwotę 400 złr.) z Tow. Tatrz. wynajęto salę w dworcu Tatrzańskim na czytelnię z czasopismami.

*) Przedtem każdy z sezonów — letni i zimowy, miał oddzielną opłatę.

Na gruncie Antałówki, ofiarowanym uprzejmie przez hr. Wł. Zamoyskiego**) urządzono park z altaną dla muzyki i mleczarnię dla gości, oraz placem na lawtennis, kr oket, kręgielnię i inne zabawy.

Lekarzem stacyi zamianowano Dra Stanisława Eliasza, a sekretarzem onej pana Stanisława Grabskiego.

Rozpoczęto budowę przeszło dwudziestu studzien przy domach mieszkalnych i zarządzono utrzymanie czystości w miejscach ustępowych, przesypywanie tychże torfem suchym i ciągłą kontrolę odpowiedniej służby dla właściwego wysuszania i wywozu treści ustępowej.

Dnia 12-go czerwca ces. i k. Namiestnistwo zatwierdziło nowy statut.

**) Na czas pewien — gratis; zarząd dóbr. hr. Z. pobiera tylko 1 (jeden) złr. czynszu, tytułem zastrzeżenia i utrzymania praw własności dominialnej.

SZKOŁA KORONKARSKA.

Prof. Chałubiński, niezmordowany w wynajdywaniu wszystkiego, coby Zakopane podniosło a wprowadziło oświatę i dobrobyt do góralskich chat i rodzin, wpłynął na znaną ze szlachetnych uczuć i ofiarności Helenę Chłapowską Modrzejowską, aby ta przyczyniła się do utworzenia w Zakopanem szkoły koronkarstwa. — Znakomita artystka uskuteczniła też prośbę swego przyjaciela i zakładowi ofiarowała 1200 złr. (jednorazowo na utworzenie szkoły i zrobiła szkic regulaminu dla przyszłej nauki koronkarstwa.

Na tym kamieniu węgielnym utworzył Wydział Krajowy rozporządzeniem z dnia 21 września 1892 r. L. 46813 Krajową szkołę koronkarstwa w Zakopanem, którą niebawem rzeczywiście (w r.1883) otwarto, oddając kierownictwo tejże pani Józefie Stelcerównie ze Lwowa (Neużilowej).

Jak szkoła fachowa pod kierunkiem Neużila — tak szkoła koronkarstwa, prowadzona przez nową kierowniczkę, rozwinęła się szybko, nadspodziewanie i przeszła oczekiwania swoich twórców i opiekunów.

Ludność cała z Podhala zainteresowała się nową szkołą bardzo żywo — a w trzy lata po utworzeniu szkoły zapisało się do niej aż 90 uczennic.

Ale bo też kierowniczka szkoły nie tylko koronek uczy w szkole — ale stworzyła ona ze swej instytucyi dom wychowawczy dla Podhalskich dzieci — ochronkę, w której — obok fachowej pracy, uczą się dziewczęta obyczajności, czystości, porządku, przyzwoitego zachowania — słowem tego, co Zakopane zmieniło w przeciągu lat 11, zupełnie ze skromnej wioski góral-

skiej, w czystą i schludną osadę, gdzie byłe uczennice szkoły, dziś już w większej części, gospodynie i matki wpajane zasady przez swą nauczycielkę koronkarską w czyn wprowadzają.

Uczennice szkoły tak z przywiązania, jak i zawsze pewne dalszej i skutecznej pomocy urtzymują łączność ze swoją kierowniczką nawet po opuszczeniu szkoły.

Wyroby swoje z domu za jej pośrednictwem sprzedają, a w ciężkim czasie przednowku otrzymują zaliczki z prywatnej kieszeni swej dobrodziejki, która nie mając na to funduszu — wielkie czyni poświęcenie prowadząc rozległe rachunki — często obciążające bardzo jej własne dochody a to w celu, aby biednym swoim małym uczennicom w potrzebie zaradzić.

Fakt ten zwraca na siebie uwagę miłośników Podhala i jak słyszymy, kiełkuje już myśl utworzenia towarzystwa przemysłowo-koronkarskiego, które ma ująć w statut wszystkie koronkarki ze szkoły wyzwolone, otworzyć sklep z ich wyrobami, a tem samem odjąć ciężar Neużilowej, ani z jej zajęciem, ani stanowiskiem niezgodny, a przecież zbyt ważny, aby go pozostawić odłogiem. — Myśl w czyn wprowadzona będzie ostatecznie dowodem, że trudy i starania około utworzenia szkoły koronkarskiej w Zakopanem nie będą na darmo podjęte, a patrzący na rzecz z bliska mamy to przekonanie, że nowe owo towarzystwo zniewoli wszystkich skupujących za granicą koronki zaopatrywać się tutejszemi wyrobami, nieustępującemi niczem najprzedniejszym zagranicznym tego rodzaju towarom.

W r. 1893 mianował Wydział krajowy przewodniczącą komitetu szkoły Maryę hr. Zamoyską i w fakcie tym widzimy nową rękojmię, dalszego rozwoju szkoły.

Obecna protektorka szkoły niewątpliwie wywrze decydujący wpływ na całą naukę w szkole a wprawiona w szlachetnej pracy pełnej poświęcenia i patryotyzmu w Zakładzie swej matki Jenerałowej, wskaże jeszcze nowe drogi i kierunki szkole, nie pozwoli się jej zasklepić w jednym dziale, lecz użyje zaufania Wydziału krajowego dla swych projektów i rozszerzy ją prawdopodobnie do tych granic, do jakich popchnie ją jej szlachetna a zacna myśl, a materyał uczennic dozwoli.

SZKOŁA
dla przemysłu drzewnego
W ZAKOPANEM.

Najpiękniejszem dziełem Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem jest bez zaprzeczenia szkoła dla przemysłu drzewnego, która utworzoną została za staraniem a nawet znacznym kosztem tegoż towarzystwa. W 1875 r. 10 lipca, poświęcił nową szkołę X. Stolarczyk — umieszczoną wówczas w skromnej chacie chłopskiej przy ulicy Kościeliskiej, a kilku uczniów pod kierunkiem nauczyciela — górala — Macieja Marduły rozpoczęło naukę w jednej izbie zaopatrzonej w najpotrzebniejsze przyrządy rzeźbiarskie. — Trzy lata wlokła swój żywot bardzo skromny nowa szkółka, lecz Towarzystwo Tatrzańskie nie dało jej upaść, bo niezmordowany w pieczy około jej rozwoju Mieczysław hr. Rey prezes Towarzystwa, wykołatał tak u Wydziału Krajowego jak i u rządu większą subwencyę — co najważniejsza zdobył dla niej nauczyciela w osobie Franciszka Neužila, który też obok chętnej pomocy Władz krajowych i państwowych stał się głównym twórcą szkoły w tym zakresie i znaczeniu, jak ją dziś widzimy. —

10-go grudnia 1878 r. przybył do Zakopanego Neužil, jako następca domorosłego nauczyciela rzeźbiarza Marduły. Przeniósł on zaraz szkołę do lokalu wówczas jedynego najlepszego — do sieni dużego karczemnego murowanego budynku — w Kuźnicach — gdzie obok w malutkim pokoiczku sam zamieszkał i dzielił się wszystkiem ze szkołą. — Bióro jego i stół — były zarazem stołami dla uczniów uczących się rysować i wyroby

uczniów zapełniały szafę jego na rzeczy, a uczniowie znów mieli w swoim kierowniku, nie tylko nauczyciela, lecz opiekuna, wychowawcę — a starsi nawet przyjaciela. Neužil obcując z uczniami swymi ciągle — wybierał zdolniejszych, i wypraszał dla nich w Wiedniu i Lwowie stypendya — posełał do wyższych szkół po za granice kraju dla lepszego wykształcenia, a potem robił z nich kierowników warsztatów — nauczycieli a dla miejscowości dobrych rękodzielników.

Przez przywiązanie się do miejscowości i przez zżycie się z góralami, zdobył także Neužil zaufanie do szkoły u miejscowej ludności, tak, że ta wkrótce się zapełniła a nawet przepełniła, co też ułatwiło zdobycie lepszego lokalu i nowe siły nauczycielskie (w 1880 r. Antoni Seletzki, nauczyciel stolarstwa; a w 1881 r. Jan Galleth, rzeźbiarz; w 1882 r. Michał Król, tokarz). Szkołę wzięło pod wyłączną swoją opiekę i etat Ministeryum oświaty w 1882 r. a ze wzrostem jej tworzyło co raz więcej działów w nauce, i przysełało odpowiednich nauczycieli. — Towarzystwo widząc nadspodziewany rozwój swojej pupilki, wybudowało znacznym kosztem dom piętrowy obok swego dworca i oddało do użytku rządowi dla szkoły (8-go lutego 1883 r). — Poświęcenia dopełnił, również jak przed ośmiu laty przy ulicy Kościeliskiej X. Stolarczyk — lecz już nie tylko samymi Zakopianami otoczony, jak wówczas — ale w światłem gronie pierwszych osobistości w kraju — jak marszałka Zyblikiewicza, posła do Rady Państwa Wierzbickiego, hr. Krasińskiej, br. Budwińskiego, Prof. Chałubińskiego, Prof. Baranowskiego i innych.

Szkołą od tej chwili zainteresował się już kraj cały, a zaufanie, jakie sobie zdobyła u wszystkich — sprowadziło jej uczniów wkrótce tak licznych, że i piętrowy dom zdawał się za mały — i siły nauczycielskie za niedostatecznie liczne.

Powołano więc w 1883 r. Władysława Langiego do rysunków, a Winc. Regeca do nauki czytania i pisania — znów w r. 1884 Franciszka Souczek rzeźbiarza — w 1885 r. Franciszka Kallaya i Gustawa Fingera do rysunków, jak niemniej do nauki ciesielki: Jędrzeja Goralowskiego i Franciszka Zajdla; — w r. 1888, Jędrzeja Ustupskiego i Alojzego Bunscha, dla stolarstwa, rzeźbiarstwa — a w 1892 r. Błażeja Paszkiewicza jako asystenta dla rysunków i Wład. Grundbeka w 1893 dla nauki przygotowawczej.

Lokale szkoły powiększono przez wydzierżawienie dwu większych domów, przy ul. Krupówki i zaopatrzono w doborowe warsztaty, maszyny i wszelkie przyrządy do rozlicznych gałęzi nauki w szkole potrzebne.

Najlepiej świadczy o rozwoju szkoły naszej — wzrastająca liczba wpisujących się uczniów z każdym rokiem, i to nie tylko z Podhala ale i z dalekich dzielnic kraju i Polski.

W r. 1875 czterech tylko uczniów uczęszczało do szkoły; do roku 1878 liczba uczniów pozostawała wciąż niezmienioną, aż wreszcie w 1879 zapisało się już u Neużila uczniów 16-stu.

1879/80	20	1880/81	29
1881/82	28	1882/83	40
1883/84	55	1884/85	70
1885/86	83	1886/87	87
1887/88	79	1888/89	88
1889/90	90	1890/91	95
2891/92	103	1892/93	108

Nie licząc hospitantów.

Szkoła wyrobami swemi zasłynęła nie tylko w okolicy, ale niepoślednie miejsce zajęła także na wystawach krajowych, a nawet zdobyła sobie zaszczytne uznanie na jubileuszowej wystawie austryjackiego muzeum dla sztuki i przemysłu w Wiedniu (1889).

Rozgłośnem swem znaczeniem spowodowała liczne krytyki znawców, w których szłuszność w tym miejscu nie wchodzimy, lecz zaznaczyć musimy, że i te tylko na jej dobro i rozwój wpłynęły.

II.

CZĘŚĆ NAUKOWO-LITERACKA.

JAN ZACHARYASIEWICZ.

PRZY MORSKIEM OKU

NOWELA.



I.

Przecież te dwie kobiety nie są siostry rodzone? Jedna wysmukła o twarzy gładkiej nieco podmalowanej, z resztkami minionej piękności sprawia wrażenie dobrze zakonserwowanej damy wielkoświatowej. Druga niskiego wzrostu, wcale nieładna, z twarzą pomarszczoną troskami. Włos na skroniach biały, a ręce szorstkie od pracy. Pierwsza ma bluzkę jedwabną i rękawy wysoko wystające, druga ubrana w kaftanik z materyi wełnianej, gładko skrojonej. A jednak są to siostry rodzone.

— Jesteś niepoprawna, moja Anetko, mówi starsza i brzydka, tyle pieniędzy poszło na te fantazye, a teraz jeszcze ci coś po głowie lata. Zkądże wziąć na to?

— Moja droga Dosiu, odpowiada Anetka, ty tego nigdy nie zrozumiesz. Jeżeli się ma córkę na wydaniu, to trzeba ją światu okazać. A przecież lepiej panna wygląda na balkonie pierwszorzędnego hotelu, przy tabldocie, w loży teatru, lub na wyścigach konnych, a wreszcie przy tomboli dobroczynnej w stolicy, niżeli w nizkich izdebkach odrapanego folwarku. Tam mogą za nią być miliony — a tu wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi. Wiedzą ile długów zapisane w hipotece, a ile niezapisanych żydowskich.

Pani Dorota załamała ręce, aż palce jeden po drugim trzaskać zaczęły.

— Zapomniałaś, Anetko, rzekła po chwili, że to was zgubiło. Nieboszczka matka — świeć jej Panie — podzieliła nas na dwie kategorye. Tyś była od salonu i parady, ja od kuchni i gospodarstwa. Tyś się uczyła grać i spiewać, ja musiałam masło robić i być przy podoju. Tyś miała zrobić wielki los na większym świecie, ja miałam wyjść za hreczkosieja i być skrzętną gospodynią. I cóż się stało?

Pani Aneta zawiesiła swoje podłużne niebieskie oczy w po-

wietrzu, jakby tam na jaki obrazek patrzyła. Siostra jej rozpruła kilka oczek pończoszki, które się źle zawiązały.

— Pojechałaś z matką do wód morskich, prawiła dalej pani Dorota, a ja zostałam na folwarku, aby z pola zbierać, sprzedawać i wam pieniądze posełać. W Ostendzie poznałaś twego przyszłego męża. Przypominam sobie, coś mi o nim pisała. Zachwycałaś się jego pańską postawą, czarnym wąsikiem i świetną koligacyą. Mama była pewną, że jest bogaty, bo świetnie mieszkał i wiele pieniędzy wydawał. Z tem wszystkiem nie ubliżam jego pamięci — świeć mu Panie! Ale tego nie zaprzeczysz, że był lekkoduch, a mająteczek mały miał na schyłku. Nie było za co do morza jeździć, a kąpiel w Wisłoce wcale byłaby dobrą dla niego. Nie zły był zresztą człowiek, miał dobre serce, ale majątek puścił swój i twój — na chorobę matki i na pogrzeb musiałam z mojej cząstki wyliczyć.

Pani Aneta wstała i z szelestem przeszła po pokoju.

— Rozrywasz dawne blizny, rzekła z wyrzutem do siostry, chyba na to, aby mnie bolały, bo ciebie może to nie boli... A zresztą jakżeś ty wyszła nie odstępując gospodarstwa i kuchni? Nie wyszłaś za mąż, nawet hreczkosiej nie pokusił się o ciebie, zostałaś starą panną!

Zaiskrzyły się szare oczy pani Doroty.

— Zostałam starą panną z własnej woli, odparła gniewnie, — bom nie chciała być oszukaną. Nietylko hreczkosieje, ale nawet wcale pokaźni panicze kołatali do mego serca. Wiedziałam jednak, że każdemu z nich nie chodziło o mnie, ale o mój folwark. Po ślubie byłabym sprzętem niepotrzebnym. A inny szlachetniejszy człowiek nie zbliżył się do mnie, może dlatego, że nie byłam — ładną. Mówiono mi nawet, że pewien zacny człowiek, tylko dlatego o moją rękę nie chciał się starać, bo by go posądzono, że stara się tylko o posag. Trzeba się było z losem pogodzić, i w nieustannej pracy szukać ukojenia.

Pani Aneta z rozrzewnieniem patrzała na siostrę.

— Biednaś ty, moja Dosiu, rzekła po chwili, nie każda z nas może tak mężnie znosić swój los. Ubóstwiam twoją cnotę, ale sama niemogłabym być taką. Inne mamy poglądy, inne przeznaczenie. Byłam krótko — bardzo krótko szczęśliwą, a dzisiaj jedyną moją myślą — wydać Leoncię dobrze za mąż i umrzeć.

Wyjęła chustkę batystową i przyłożyła do oczu. Zaczęła

płakać. Pani Dorota zerwała się z krzesła, wzięła ją w objęcia i przycisnęła do piersi.

— To twoje czułe serce zgubiło cię, mówiła ściskając i całując siostrę, czujesz za nadto wiele, za miliony, jak mówi nasz Adam. Ja tak tkliwego serca nie mam, tylko jak obaczę biednego żebraka, nędzną sierotę, lub babulkę ledwie dyszącą to mi się serce ściska. Daję co mam nie licząc, bo wiem, że przez to nie zubożeję, a innym łzy osuszę!... Ty co innego, ty jesteś jak mimoza, która się lęka dotknięcia. Ty czujesz boleść tam, gdzie żadne oko ludzkie nic nie widzi, biedna Anetko.

I ściskała ją dalej i tuliła do siebie, jak rozkapryszone dziecko.

— Cóż ja temu winna, szlochała pani Aneta, że mam tak tkliwe serce? Dziś, jak widzisz, nie spię po całych nocach i o tem tylko myślę, aby moja Leoncia, ta młoda egzotyczna roślinka, znalazła godną siebie podporę, póki ja oczu nie zamknę.

I zaczęła znowu rzewnie płakać. Pani Dorota nie mogła sobie już dać rady. Uściski i pieszczoty już nic nie pomogły. Pani Aneta płakała konwulsyjnie.

— Bój się Boga, Anetko, wołała ze łzami pani Dorota, bo mi serce rozdzierasz. Czyż to ja taka zła, czy ci czego odmawiam? Przecież jestem twoją siostrą i życie chetnie za ciebie bym dała! Ty tylko jedna zostałaś mi z całej naszej rodziny!...

— Jeżeli tak jest jak mówisz, łkała pani Aneta, jeżeli mnie kochasz... dlaczegoż sprzeciwiasz się naszemu wyjazdowi za granicę?

— Chciałaś powiedzieć — dlaczego nie chcę dać na tę podróż pieniędzy?

Pani Aneta zasłoniła twarz chustką i płakała dalej.

— A, dać pieniędzy niechcę dlatego, że szkoda ich tak marnie wyrzucać. A to, co za te pieniądze tam kupić możesz, to będzie licha warte!

— Zostaw to doświadczonej matce, odpowiedziała z płaczem pani Aneta, a nie odbieraj mnie sposobności znalezienia szczęścia dla mojej jedynaczki.

— Czyż koniecznie chcesz Leoncię wozić po wystawach za granicę? Czyż Leoncia zasłużyła na to, aby ją nieznanemu kupcowi sprzedawać? Przysłowie gospodarskie mówi: konia z wadą ukrytą sprzedawaj jak najdalej, ale kupuj go jak najbliżej. Każdy tutaj wie, że to co mam będzie kiedyś Leonii.

Według tego niech sobie wybierze, a co za granicą kupicie, to będzie pewnie licha warte.

— Wiem, siostrunciu, że jesteś dobra i zacna, niech ci to Bóg wynagrodzi. Ale powiedz mi, kto tu zobaczy Leoncię i kto byłby dla niej stosowny? Czy pan Walenty z Chwastów, który się po jarmarkach upija i na kredyt cienkiego węgrzyna u Arona bierze?... Czy pan Tomasz z Kartoflanki, który oprócz rodziców ma trzy ciotki rezydentki, a sam w jałowiczych butach chodzi?.. Czy January z Burakowic, który ma sześciu braci i trzy siostry niezamężne na jednym folwareczku?... Nie, Leoncia ma wychowanie wielko-światowe. Mówi po francuzku jak paryżanka, a w mojej obecności mówiła po angielsku z rodowitym anglikiem, który wprawdzie jej nie zawsze zrozumiał, ale dlatego jak się okazało, że był głuchy. Jej szyk i maniery zwracają uwagę wszystkich — ona może wielki los zrobić!

— Co mówisz, kobieto! tak mówiły nieraz nasze matki, babki i prababki i potraciły fortuny! Karawana nigdy nie idzie tym szlakiem, na którym widać kości pomarłych z głodu, pragnienia ludzi i wielbłądów! Czas już mieć rozum.

— Spuść się na mnie, mam doświadczenie, a nie odbieraj mi ostatniej nadziei szczęścia dla mojej Leonci!

I zaczęła znowu rzewnie płakać pani Aneta. Pani Dorota rzuciła pończochę i gorączkowo przebiegła pokój wszerz i wzdłuż.

— Karanie boże, — wołała łamiąc ręce. Ty wydzierasz mi serce z piersi! Nikt na mnie nie płakał i płakać nie powinien! Powiedziałam ci co myślę — a teraz powiedz mi.. ile ci dać pieniędzy na tę podróż? Czy wystarczy tysiąc?

Pani Aneta nie odpowiedziała, tylko płacząc zaprzeczyła ruchem głowy.

— Dwa tysiące!

Pani Aneta odsłoniła oczy i zaczęła łzy ocierać.

— Cóż i dwa tysiące nie wystarczą ci moja biedna Aneto? pytała dalej Dorota biorąc siostrę w objęcia: wieleż ci jeszcze setek dołożyć?

— Choćby pięć jeszcze, szeptała wśród łkania pani Aneta.

— Zgoda, bo mi serce rozdzierasz!

Pani Aneta zarzuciła teraz obie ręce na szyję siostry.

— Jesteś naszym aniołem opiekuńczym, wołała ze wzruszeniem, — jakież to szczęście, żeś za mąż nie poszła, bo któżby

się biedną Leoncią opiekował. Niech ci to Bóg stokrotnie wynagrodzi!... Pobiegnę, aby Leonii zanieść tę wesołą nowinę.

Wybiegła z pokoju.

Pani Dorota patrzała na nią z rozrzewnieniem.

— Poczciwa Anetka, jak ona Leoncię kocha! A ja... nie mam nikogo, kogobym kochać miała!... Muszę ją kochać taką, jaką jest. Dla mego serca i to wystarczy.

Szybko otarła łzy, które się jej cisnęły do oczu, bo w dalszych pokojach słyszała szelest sukni jedwabnej.

Do pokoju wpadły matka i Leoncia.

Leoncia mogła mieć dwudziestą wiosnę, była podobna wysmukłym wzrostem do matki, miała jasne włosy, ciemne oczy i rysy twarzy klasyczne. Na pięknem czole zarysowało się kilka nieznacznych zmarszczków, jako ślady poważniejszych myśli. Extazy matki co do uzyskanych na podróż pieniędzy nie zdawała się podzielać, ale z uprzejmym uśmiechem zbliżyła się do ciotki i ucałowała jej szorstką rękę.

— Ciocia taka łaskawa, — rzekła z miłem wejrzeniem — nie wiem czy się kiedy będę mogła za to odwdzięczyć. Teraz mogę tylko przyrzec, że będę się starała wzbogacić mój umysł tem co zagranica ma najlepszego.

— Widzisz ją jaka senzatka, zawołała matka, ona nie da się złapać na muchę.

Pani Dorota otworzyła ramiona, a matka i córka rzuciły się jej w objęcia. Wycałowała je obydwie i spłakała się.

— Niech Bóg czuwa nad wami, zawołała wśród łez, a ja będę tutaj modlić się za was.

II.

Na dworcu kolei w Krakowie czekali podróżni na pociąg do Berlina. W sali pierwszej klasy siedziała dama w eleganckim ubiorze podróżnym i przez lornetkę o długiej rączce przypatrywała się ruchowi na peronie. Przy drugim stole przerzucała, podobna do starszej, blondynka, niedbale jakąś ilustracyę. Na stole stała elegancka zastawa herbaciana z przekąską. Blondynka miała suknię szarą, obszytą szkocką wstążką. Po lewej stronie widać było bukiecik z pączków żółtej róży przypięty do sukni. Na jasnych włosach unosił się mały okrągły kapelusik, ubrany w czarne kokardki.

— Dowiedz się Leonciu, zagadnęła starsza, co się dzieje z naszemi rzeczami.

Leonia wstała i poważnym krokiem wyszła, aby spełnić rozkaz matki.

Przechodząc przez restauracyę spotkała młodego mężczyznę, który nagle się zatrzymał, aby ją przepuścić i długo za nią patrzał.

Młody mężczyzna był elegancko ubrany, podług ostatniej mody. Na ciemnym żakiecie miał lekki paletocik, koloru żółtopiaskowego, a w ręku trzymał krótką trzcinę ze srebrną rękojeścią. Twarz miał sympatyczną, czarny wąsik po szwedzku do góry wykręcony. Gdy Leonia wracała, ustąpił jej znowu z drogi i znowu za nią patrzał.

Przed wejściem do pierwszej klasy, zatrzymał Leonię jakiś podeszły jegomość w długim raglanie.

— A cóż tu pani porabia? zapytał.

Leonia powitała uprzejmie dobrego znajomego.

— Jedziemy za granicę z mamą, odpowiedziała. Mama jest w pierwszej klasie, jeżeli pan chce z nią pomówić, to proszę ze mną.

Weszli do sali. Za nimi weszli i inni podróżni, którzy właśnie przybyli. Za podróżnemi wszedł także młody mężczyzna w piaskowym paletocie.

Jegomość w raglanie powitał panią Anetę i rozpoczął dłuższą rozmowę. Pytał o panią Dorotę, o urodzaj w Jaszczurowie... a Leoncię zapytał, czy ciocia Dorota dała jej znaczną sumkę *pour les petits menu.*

Pani Aneta odpowiedziała szeroko na pytanie jegomości w raglanie, mówiła o wyśmienitych urodzajach w Jaszczurowie i o spodziewanej tegorocznej intracie, której cyfra była wysoka, a co do sumki na drobne wydatki dla Leonci to, Leonci o to bardzo nie chodzi, bo ona wie, że cały Jaszczurów ze swemi zbiorami i z ciotką do niej należeć będzie. Jegomość w raglanie potwierdzał to wszystko i z uśmiechem dobrodusznym pytał Leoncię, czy już ma kogo, ktoby po pracą znużonej ciotce rentowne gospodarstwo Jaszczurowa dalej mógł prowadzić. Leonia odpowiedziała, że kandydatów do tej słodkiej pracy możnaby znaleść na kopy, ale że dotąd jeszcze nikogo nie upatrzyła.

— To właśnie jest nieszczęście, odpowiedziała pani Aneta,

że Leoncia jest bardzo trudną — *tres dificile*, że chce kochać i być kochaną, a ma wielką skłonność do podejrzeń, że komuś tylko o złotodajny Jaszczurów chodzi. Na mnie więc cięży obowiązek uzupełnienia jej, i baczyć na to, aby to nie był kto bądź.

Jegomość w raglanie przyznał szłuszność matce i córce i pytał dalej o cele podróży.

— Zabawimy się tydzień lub dwa w Berlinie, potem pojedziemy do Kolonii, Renem popłyniemy do Koblencyi, a z Koblencyi, jeżeli zdrowie pozwoli, przez Szwajcaryę do południowej Francyi. Chcemy się oprzeć o Biarritz, jeżeli nam co lepszego w drodze się nie zachce.

Pani Aneta mówiła dosyć głośno, że inni podróżni słyszeć mogli. Na jej twarzy jaśniało zadowolenie, że na obecnych sprawiła pewne wrażenie. Każdy spojrzał na szczęśliwe, które tak piękną podróż odbyć mogły. Słuchał także młody mężczyzna w paletocie piaskowym i podnosił coraz wyżej i tak najeżone wąsiki.

— Który hotel w Berlinie zaleca nam pan? zapytała pani Aneta.

— *Hotel Centrale*, odpowiedział jegomość, jest najwygodniejszy i miewa codziennie w swoich salach królewskich znakomite koncerta, w którym jego goście biorą udział bezpłatnie, podczas gdy publiczność słono płacić musi.

W tej chwili przyszedł odźwierny z oznajmieniem, że pociąg się zbliża.

Goście zaczęli się ruszać. Pani Aneta wyszła w towarzystwie jegomości w raglanie, a za nią pospieszyła Leoncia. W drodze napotkała znowu młodego mężczyznę w paletocie piaskowym, który się jej grzecznie ustąpił, za co mu lekkim ukłonem i uśmiechem podziękowała.

Dzwonek na peronie ozwał się po raz drugi, sala wypróżniła się zupełnie. Został tylko młody mężczyzna w piaskowym paletocie i przez okno przypatrywał się jak pociąg gotował się do odjazdu.

Wreszcie ozwał się dzwonek po raz trzeci, pociąg jak olbrzymia gadzina zaczął się ruszać i powoli wysunął się z pod szklannego dachu.

Mężczyzna w piaskowym paletocie chciał właśnie odejść

od okna, gdy nagle uczuł na ramieniu rękę niewidzianego dotąd towarzysza.

— Kogóż żegnasz, panie Alfredzie, zawołał głos dobrze mu znany, czy żegnasz jaką baletnicę warszawską?

Pan Alfred obrócił się i ujrzał młodego mecenasa, dobrego znajomego.

— Tym razem żegnam nieznajomą blondynkę, z nieocenioną mamą, odpowiedział mężczyzna o szwedzkich wąsach, która przed jakimś sąsiadem wyspowiadała się głośno, że jedzie do Biarritz, a jej siostra tymczasem gospodaruje w Jaszczurowie.

— A!... Pani Dorota z Jaszczurowa, poczciwa stara panna, która sama śmietanę zbiera i robi masło, aby jej kochana siostrzyczka mogła swoją córeczkę obwozić na różne wystawy za granicę.

— A czy im wystarczy na to?

— Matka Leonii już wszystko swoje przepuściła, szukając znajomości zagranicznych, ale Jaszczurów, którego właścicielką jest jej siostra, zapewnie dla niej się dostanie.

— Czy jest to znaczniejsza kondycya?

— Trzysta morgów dobrej ziemi bez długów.

— Zapewnie ciocia odda to siostrzenicy?

— Naturalnie. Bliższych sukcesorów nie ma, a obie siostry kochają się jak przykładne rodzeństwo.

Pan Alfred wziął młodego mecenasa pod ramię i obaj wyszli z dworca

III.

Jakkolwiek to było lato, w stolicy Niemiec panował ruch nie lada. Hotele były zapełnione, na ulicy roiły się tłumy, rozmaite widowiska odbywały się codziennie. W »Hotelu Centrale« dawano codziennie koncerta, na których zgromadzała się wyborowa publiczność. Goście hotelowi mieli wstęp wolny na te koncerta. Królewskie sale hotelu były ozdobione egzotycznemi roślinami, pomiędzy któremi stały okrągłe marmurowe stoliki

Przy jednym z tych stolików zwykła siadywać pani Aneta, przypatrując się przez lornetkę z długą rączką rozmaitym narodowościom. Przy niej siedziała Leonia najczęściej z książeczką

w ręku, w której notowała sobie to, co przed południem ciekawego w stolicy widziała.

W kilka dni po ich przybyciu zaczął się w sali pojawiać młody mężczyzna o szwedzkich wąsach. Siadywał w pobliżu nich i pilnie im się przypatrywał.

Pewnego dnia upuściła pani Aneta lornetkę na ziemię, i zawezwała Leonię, aby ją podniosła. Młody mężczyzna o szwedzkich wąsach poskoczył od sąsiedniego stolika i wyręczył Leonię.

— Za tę drobną przysługę, — ozwał się do pani Anety, pozwolę się przedstawić. Jestem Alfred Rogala Ilski z Księstwa. Od dwóch dni widuję tu panie i miło mi jest za granicą słyszeć język ojczysty.

— To nie było szlachetnie, odpowiedziała pani Aneta, tak długo nas podsłuchiwać, a nie przyznać się do wspólnej przynależności narodowej.

— Byłbym to pierwszego dnia uczynił, odparł pan Alfred, gdybym był spostrzegł, że popełniam niedyskrecyę. Ale tej nie dano mi popełnić, bo rozmowa pań odbywała się w granicach dla mnie nieprzystępnych.

— Znam Ilskich z Podola, zauważyła pani Aneta.

— To moi dalsi krewni.

— A Benedykt Ilski z Królestwa?

— To mój stryj, po którym kiedyś mam coś odziedziczyć, ale tak prędko tego nie pragnę, niech żyje lata Matuzalowe.

— A pan gdzie mieszkasz?

— Gospodaruję w Księstwie.

— Czy pan gdzie dalej jedzie?

— Prawdopodobnie będę musiał jechać aż do Biarritz, gdzie moja ciotka chora leży. Nie wiem jednak, czy się gdzie z nią w drodze nie spotkam.

— My także tam dążymy... Którędy pan jedzie?

— Na Kolonię, potem Renem, bo ciotka taką drogą wracać zamyśla, jeżeli do sił przyjdzie.

Pani Aneta spojrzała na Leonię, ale Leonia czytała właśnie coś w swoich notatkach.

— W takim razie może jedną rutą pojedziemy, rzekła po chwili pani Aneta.

— Bardzo się z tego cieszę, ozwał się pan Alfred, może w podróży wydarzy mi się sposobność wyświadczyć paniom

jaką drobną przysługę... byle tylko moja ciotka temu nie przeszkodziła.

— W jaki sposób?

— Może umrzeć — a wtedy jedyny jej spadkobierca musiałby przy jej zwłokach do kraju wracać.

Leonia spojrzała teraz na mówiącego, którego twarz była uśmiechnięta. Przypominała sobie, że go gdzieś widziała, ale słodki uśmiech jego przy spodziewanych zwłokach ciotki nie dobrze ją usposobił. I spostrzegł to pan Alfred.

— Już to taki porządek na świecie, dodał szybko, że jedni umierają, a inni zmuszeni są ustawą z ich spadkobierstwa korzystać.

— Ale na ten przymus ustawy, pan się wcale nie gniewa? zapytała Leonia czytając dalej w swoich notatkach.

— Któżby się gniewał, jeżeli ładna wioska, bez długów spadnie na niego. Gniewamy się tylko, gdy jakaś cegła z gzemsu spadnie, ale nie gniewamy się, jeżeli to samo stanie się z trzechpiętrową kamienicą.

I zaśmiał się z własnego dowcipu.

— Już to jest taka nasza ludzka natura, dorzuciła pani Aneta, bo i na cóż zda się nieboszczykom nasz smutek ciągły? Po nabożeństwie żałobnem za naszych dobrodziejów, ocieramy łzy i — zasiadamy do obiadu.

— A obiad zazwyczaj jest tem wykwintniejszy, odpowiedział pan Alfred, im większe dobrodziejstwa wyświadczył nam nieboszczyk.

Uśmiech cyniczny podniósł wąs szwedzki do góry. Leonia patrzała na swój notatnik.

— Przecież nikt całe życie nie będzie płakać za tymi, których majątek się dziedziczy, dodała pani Aneta.

Orkiestra koncertowa zaczęła właśnie grać węgierskie rapsodye Liszta. Leonia odwróciła głowę, aby słuchać z uwagą.

Nastąpiła dłuższa pauza. Pan Alfred podciągnął swoje szwedzkie wąsy do góry i z ukosa popatrzał na Leonię. Pani Aneta przez lornetkę przypatrywała się gościom.

Gdy orkiestra grać przestała, zapytała pani Aneta:

— Jak się panu Liszt podoba?

— Liszta uwielbiam jako skończonego artystę, odpowiedział pan Alfred, umie on pojedynczą melodyę tak bogato zastosować, że trzeba całą uwagę wytężyć, aby wśród morza

harmonijnych tonów odnaleść jej wątek, który jak nić czerwona ciągnie się nieustannie. Ale to rozdrobnienie melodyi na nieuchwytne atomy, nie bardzo dobrze do mnie przemawia, bo w końcu nie wiem, co jest melodyą, a co jej podkładem. Wagner lepiej mi się podoba, bo on prawie melodyi unika, a ilustruje tylko tekst dzieła.

Pani Aneta spojrzała na Leonię, która z uwagą tych słów słuchała.

— Trafnie pan powiedziałeś, zagadnęła po chwili, bo metoda jest nieuchwytną, a słowa uwydatnione muzyką można lepiej zrozumieć.

— Pani zapewne z tem się nie zgadza? ozwał się pan Alfred zwrócony do Leonii.

— Dlaczego pan tak sądzisz? zapytała Leonia.

— Pani zapewno lubi to co mgliste, nieuchwytne, niedojrzane. Jestto właściwość młodej, bujnej, marzącej wyobraźni.

— Z czego pan to wnosi?

— Ztąd, że w zaraniu młodości goni wyobraźnia za czemś idealnem, czego uchwycić, ani dojrzeć nie można.

— Wyobraźnią naszą, odpowiedziała Leonia, wybiegamy tylko wtedy po za granice rzeczywistości, gdy nam ta rzeczywistość tego odmawia, czego właśnie pragniemy.

— Ciekawem byłoby dla mnie, czego pani od rzeczywistości wymaga.

— To już jest moją tajemnicą.

— W dalszym ciągu wspólnej podróży, zakończyła pani Aneta, może się coś o tej tajemnicy dowiemy.

Koncert się skończył, pani Aneta powstała.

— A więc do widzenia się, panie Ilski, rzekła pani Aneta z ukłonem, bardzo miło nam było poznać pana. Spodziewam się, że się wkrótce znowu zobaczymy.

— Może na przedstawieniach »Panopticum«. Proszę sobie wyobrazić, że przedstawia się tam człowiek, który na głowę bierze bryłę kamienia, ważącą ze dwa cetnary, a drugi wielkiem młotem rozbija ten kamień na dwoje!

— I głowa mu nie pęknie? zapytała pani Aneta.

— Wcale nie, zdrów jak ryba!

— Dowidzenia się.

IV.

Pani Aneta widocznie rada była nowemu towarzyszowi podróży, który teraz przez całe dni z niemi chodził. W hotelu uchodził on za »grafa« i tak go służba nazywała. Sypał za to jej bogate datki przy każdej sposobności, osobliwie, gdy razem z panią Anetą i Leonią obiad jadał. Również, gdy zwiedzali razem różne osobliwości stolicy, nieszczędził datków dla odźwiernych i cyceronów, a czynił to tak, że pani Aneta widziała. W rozmowie uderzał w tony wyższej sfery, a jeżeli jakie zdarzenie ze swego życia opowiadał, to zawsze był przy tem jakiś hrabia, albo przynajmniej baron. Gdy pani Aneta z Leonią zatrzymały się przy wystawie konfekcyi, i tę lub ową suknię, lub mantylę chwaliły, pan Alfred opowiedział zaraz obszernie, że podobne toalety widział na wieczorze u księcia S. lub na obiedzie u księcia R. Te dwa książęce domy Wielkiego Księstwa powtarzały się często w jego opowiadaniach, a tych, którzy używali tytułu hrabiów, nazywał zdrobniale imionami chrzestnemi. Słowem — występował jak człowiek żyjący na większym świecie, spokrewniony i zaprzyjaźniony z pierwszemi rodami.

Pani Anecie wielce to pochlebiało i z każdym dniem przyjaźniej patrzyła na pana Alfreda. Leonia nie bardzo się nowym towarzyszem zachwycała. Raził ją często widoczną blagą, a niekiedy źle ukrytym cynizmem, charakteryzującym człowieka wcześnie przeżytego. Jako towarzysz zaś i cicerone był nieoceniony. Wiedział, gdzie i jak się chodzi do muzeów i teatrów, wiedział, co kosztują bilety, a z dorożkarzami zuchwałymi dawał sobie zawsze radę. Była to wielka wygoda dla kobiet, był on dla nich żywym Bedeckerem, a zanim tydzień przeminął, tak się do niego przyzwyczaiły, jakby był ich najbliższym krewnym. Tym sposobem zawiązała się między niemi pewna poufałość, która ułatwiała ich wzajemny stosunek, z czego nie zaniedbał pan Alfred przy każdej sposobności korzystać.

Gdy raz po dłuższej przechadzce w zwierzyńcu, do hotelu wrócili, odźwierny oddał panu Alfredowi telegram. Odczytawszy spiesznie telegram, zawołał z wyrazem przestrachu na twarzy:

— Czyż to być może, aby los dla mnie miał być tak

okrutny? To szatan mógł wymyśleć, aby mnie wśród rajskich rozkoszy wzywać do łoża umierającej ciotki?

— Jakto? — umiera? zapytała nagle pani Aneta.

— Jeszcze nie umiera, odpowiedział pan Alfred, ale jest w trakcie na drugi świat. Telegrafują, że mocno chora, że mnie chce widzieć jak najprędzej.

— W takim razie pan odjedzie, rzekła Leonia z małą chmurką na czole.

— Powinienem odjechać natychmiast.. obowiązek, a zresztą i wdzięczność tak każe, — ale wśród tak wyjątkowych okoliczności nie wiem, czy się zdobędę na to.

Pani Aneta spojrzała na Leonię, która zdawała się być z tego telegramu niezadowoloną.

— My pana nie zatrzymujemy, ozwała się po chwili pani Aneta, choć przyznam się, że ta niespodziewana nowina miesza nam nieco nasze szyki.

Leonia spojrzała chmurnie na matkę.

— Ułożyłyśmy sobie z Leonią, mówiła dalej pani, Aneta, że zawadziwszy o znaczniejsze miasta w podróży, będziemy je zwiedzać w towarzystwie przygodnego naszego cicerona.

Pan Alfred schwycił się za czoło i zamyślił.

— Chodzi tu o moją własną przyjemność, rzekł po chwili jeżeli tak skromnie nazwać można to błogie uczucie, jakiego doznaję w towarzystwie moich rodaczek. Sprobuję jednak, czy się nie da pogodzić wdzięczność spadkobiercy z osobistą jego przyjemnością. Zatrzymam się do rana, pięć razy będę telegrafował przez noc, dowiadując się o przebiegu choroby, a jeżeli pogorszenia nie będzie, to mogę mój wyjazd odłożyć.

— To będzie bardzo dobrze, pan wypełnisz swój obowiązek, a my na tem może skorzystamy.

— Więc żegnam do jutra rana, rzekł pan Alfred podając rękę pani Anecie.

— Mam nadzieję, odpowiedziała pani Aneta, że odpowiedzi na telegramy nie będą dla nas tak okrutne.

I z całą serdecznością uściskała mu rękę. Leonia uczyniła to samo, a pod wpływem konającej ciotki, uścisk jej był może także gorętszy.

Gdy obydwie kobiety w swoim pokoju były, rzekła pani Aneta po dłuższem milczeniu:

— Bardzo dobrze wychowany młody człowiek. Czuć w nim lepsze towarzystwo, w którem się obraca. Usłużny dla nas, jak rzadko to się dzisiaj u młodych ludzi wydarza. Zdaje się być także dobrze skoligacony... Czy ty, Leonciu, tego nie uważasz?

— I owszem, odpowiedziała Leonia, przyjemnie jest mieć kogoś koło siebie, który nam usłużyć może Jest przyjemny towarzysz.

— Ale on coś często na ciebie patrzy?

Leonia zarumieniła się.

— Cóż w tem dziwnego? zapytała.

— Nic dziwnego, jak nie mniej w porządku był twój rumieniec, gdym o niego zapytała.

— Jak też mama na takie drobnostki uważa! zawołała, śmiejąc się Leonia.

— Z takich drobnostek składa się zazwyczaj nasze życie.

Pokojowa weszła teraz do pokoju, aby nakryć stolik do herbaty.

Przez otwarte drzwi słychać było głos pana Alfreda, który nakazywał posłańcowi, aby się spieszył z telegramem.

V.

Podczas gdy pani Aneta w Centralnym hotelu niemieckiej stolicy herbatę z wyszukaną przekąską popijała, a Leonia do swego notatnika coś wpisywała, zajechała przed dworek Jaszczurowa skromna bryczka, na której siedział młody mężczyzna w płóciennym płaszczu.

Pani Dorota pomagała właśnie służącej z maselnicy masło wyjmować, gdy jej zapowiedziano gościa. Zarzuciła chusteczkę na ramiona i wyszła.

Młody mężczyzna, który na nią już w saloniku czekał, mógł liczyć około lat trzydziestu. Miał czarny tużurek starannie zapięty, na głowie ciemne włosy dosyć niedbale rozrzucone, twarz sympatyczną, rzadkim zarostem ocienioną, i ciemne oczy rozumnie patrzące. Ujrzawszy przed sobą nie młodą już gosposię ze śladami nabiałowego gospodarstwa na rękawach, nie był pewny, czy przed sobą widzi dziedziczkę Jaszczurowa, czy też jej pomocnicę.

Upłynęła dobra chwila; oboje w milczeniu patrzali na siebie. Nagle krzyknęła pani Dorota:

— Toż to Władek mojej kochanej Stasi!.. Tak jest, podobny do fotografii przysłanej mi przed dziesięciu laty. Czy tak?

— Tak jest, odpowiedział młody człowiek, całując ją w rękę, jestem ów Władek, któregoś pani trzymała na rękach będąc w Zagonach u mojej matki.

Pani Dorota, bez względu na resztki śmietany, którą sobie rękawy udekorowała, rzuciła się na gościa, wzięła go w objęcia i serdecznie uściskała. Po chwili jakoby zawstydzona odstąpiła dwa kroki i rzekła:

— Nie — to już nie Władek, tylko pan Władysław w całem znaczeniu tego słowa mężczyzna... ale daruj starej przyjaciółce matki, że w pierwszej chwili potraktowała cię jak Władka... bo ty, panie Władysławie, nie wiesz jaka między nami, to jest mną a twoją matką była umowa.

Pan Władysław poczuł przy tych słowach rumieniec na twarzy, bo już od matki dowiedział się coś o tej umowie.

— Prawdziwie, zawołał, całując panią Dorotę kilkakroć w rękę, czuję się bardzo szczęśliwym, że życzliwość dla mojej matki przenosi pani na jej syna.

— A wiesz pan, jaka między nami była umowa? pytała pani Dorota, ocierając łzy fartuszkiem.

Pan Władysław zarumienił się po raz drugi, ale nic nie odpowiedział.

— Oto, mówiła dalej pani Dorota, będąc razem na jednej pensyi, jako serdeczne przyjaciółki, zawarłyśmy z sobą umowę, że nasze dzieci razem pożenimy.

Pan Władysław stał teraz czerwony jak alkiermasz.

— Ale cóż z tego — nie wyszłam za mąż, więc niemam żadnych dzieci. Nie mogę dotrzymać umowy!

Usta pana Władysława zadrgały, jakby chciał coś powiedzieć. Ogarnęła go nieśmiałość, spuścił oczy i milczał.

— O, dotrzymałabym umowy niezawodnie... gdybym miała dorosłą córkę, zarazbym ją tobie oddała. Podobnym jesteś do matki, panie Władysławie, więc jesteś zacny i poczciwy. Mam tylko siostrzenicę, ale...

Pani Dorota machnęła ręką. Obróciła się szybko, jakby czegoś na stole szukała.

— Panna jest w gruncie zacna i dobra, a nawet nie

szpetna, mówiła szukając między papierami, ale cóż z tego?.. Matce się w głowie przewróciło. Ciągle za granicą siedzi wszystko już stracili. Uroiła sobie, że córkę wyda za jakiego księcia, albo hrabiego. Ot, teraz musiałam im dać na podróż, aż do Hiszpanii. Żal mi tylko Leonci, bo to panna ładna, utalentowana i zacna. Moje perswazye nic nie pomogły!

— Czy panna Leonia wyjechała z matką za granicę? zapytał pan Władysław, a oczy jego ożywiły się.

— Już dwa tygodnie jak siedzą w Berlinie. Pisze mi Aneta, że ktoś tam kręci się koło Leonci.

Pan Władysław nieznacznie przybladł, chmurka zawisła na jego czole. Pani Dorota zaczęła teraz znowu po stole między papierami przerzucać

— Miałam tu gdzieś fotografię Leonci, chciałam ci ją pokazać.

— Pannę Leonię widziałem we Lwowie na wyścigach. Pokazywano mi ją, ale nie miałem szczęścia z nią mówić.

— Rozumna, bardzo rozumna panna! Ale matka ma głowę przewróconą Tak ją wychowano, tak samo wydano za mąż, a dobrawszy sobie podobnego męża, nie mieli oboje nic pilniejszego, jak cały majątek na przejażdżki i zagraniczne konesanse stracić! Ciekawam, kogo teraz dla panny bez posagu na męża złapie!... Ale siadajże, panie Władysławie, rozgadałam się, bo to mnie boli, a o posiłku dla ciebie zapomniałam. Zapewne dobrej kawy z dobrą śmietanką nie odrzucisz, a potem co Bóg da i czem chata bogata.

Pani Dorota wybiegła z pokoju. Pan Władysław posunął ręką po włosach, jakby coś nie miłego chciał z czoła ztrącić i kilka razy przeszedł się po saloniku. Na twarzy jego malowało się jakieś niezadowolenie. Spodziewał się kogoś więcej tutaj obaczyć, a tymczasem nietylko, że nie obaczył, ale nawet dowiedział się gorszych rzeczy. Przywiodła go tutaj pewna ukryta myśl, czyli mrzonka, pewne pragnienie duszy, którego nawet przed sobą samym jeszcze nie wypowiedział. I w tym kwiatowym zawiązku spotkał go już zawód, a zawód tem boleśniejszy, że połączony z własnym wyrzutem. Czemuż nie przyjechał kilka tygodni wcześniej? Teraz, może już być za późno!

Za późno — te słowa są straszne, gorsze od samej klęski!

Szczęściem, że pani Dorota nie dała mu dłużej nad tem rozmyślać. Przyszła z serwetą, nakryła mały stolik, a za nią przyniosła służąca filiżanki i łyżeczki.

— Wypijemy tutaj kawuncię, rzekła rozpromieniona gosposia, bo w stołowym pokoju jest dużo rupiecia, na które gość nie rad patrzy. A teraz powiedz mi, co matka porabia i jak tam się u was dzieje. Od lat dziesięciu nic nie wiem. Nic dziwnego! Matka kręci się przy gospodarstwie cały dzień jak kołowrotek, ja także. Nie mam nawet czasu do zwierciadła się popatrzeć, bo jestem sama jak palec. Przed tygodniem dopiero spostrzegłam, że posiwiałam jak gołąb. Siadaj tu na fotelu.

Pan Władysław usiadł i rad był, że opowiadaniem może myśli swoje niemiłe przerwać.

Zaczął więc opowiadać o dziejach rodzinnego domu.

Historya tego domu była prosta i zwyczajna. Wioska niewielka, dwór stary, urodzaje często chybiały, podatki coraz większe, dzieci kilkoro i sporo długów. Ojca zagryzły kłopoty, a sama matka gospodaruje jak może. Dwie siostry nie wyszły jeszcze za mąż, a młodszy brat nie miał ochoty do nauk, w domu pomaga matce.

— Jako najstarszy, mówił dalej pan Władysław, nie chciałem być ciężarem w domu. Postarałem się o kawałek własnego chleba, aby siostrom i młodszemu bratu więcej zostało z rodzinnego majątku. Ukończyłem szkoły, uzyskałem nawet doktorat filozofii, a teraz jestem profesorem przy gimnazyum w stolicy. Przy tem zamierzam się starać o docenturę na uniwersytecie.

Pani Dorota słuchała go z uwagą. Patrzała na niego z uwielbieniem, a od czasu do czasu, pojawiły się łzy w jej oczach. Gdy skończył uściskała go i pocałowała w głowę.

— Zacny jesteś i poczciwy mój panie Władysławie, a takich ludzi nie wypuszcza Bóg ze swej opieki.

Małgorzata przyniosła teraz kawę i garnuszki ze śmietanką.

Z macierzyńską miłością nalała pani Dorota kawę do filiżanki wyzłacanej, uwieńczywszy dzieło swoje kożuszkiem na pół cala grubym.

W tej chwili zdawało się jej, że to syn ukochany, że nie jest bezdzietną.

VI.

Lipcowe słońce świeci na niebie. W przystani wielkiej rzeki panuje ruch niezwykły. Setki podróżnych czekają na brzegu. i patrzą na szeroko rozlane wody. Na falach wody snują się liczne łodzie, tam w dali rysują się niewyraźnie mgliste brzegi, ubarwione grupami zielonych drzew, z poza których wyglądają białe rozkoszne wille. Na lewo wznosi się grupa dachów, ponad które wybiegają ku niebu wieże i krzyże kościołów. Ponad wszystkie góruje okazała świątynia, której szczyty w ostrej sylwetce odcinają się od lazuru nieba. To Kolonia — to tum koloński.

Między podróżnemi, którzy czekają w przystani, wyróżniają się dwie kobiety. Starsza w sukni opatrzonej kwiatami, ma zarzutkę popielatą. Młodsza w sukni żółto-brunatnej, trzyma na ramieniu białą pelerynkę z kaszmiru. Młodsza patrzy wzruszona na wody Renu, nad któremi unoszą się kłęby dymu ze statków parowych. Starsza niespokojnem okiem patrzy na drogę ku miastu, po której toczą się dorożki z pakunkami na kozłach, każdą dorożkę prowadzi oczyma, aż do przystani, a nie znalazłszy czego szuka, z rosnącym niepokojem patrzy znowu ku miastu.

— Leonciu, odzywa się gniewnie do młodszej, ty masz lepsze oczy, czy to nie pan Alfred tam jedzie.

Leoncia zwróciła się ku miastu.

— To jakiś bankier z kasą Wertheima, odpowiedziała i zaśmiała się.

Kufer na koźle był rzeczywiście podobny do żelaznej skrzyni.

— Jak widzę za mało cię obchodzi pan Alfred, ozwała się pani Aneta z chmurką na czole, a ja ci powiadam, że z tego może coś być. Nie trzeba szczęścia odpychać gdy się samo do nas garnie.

— Gdzież mama to szczęście widzi, zapytała Leonia zwracając oczy na wody Renu.

— Rozumie się nie w tym mglistym pejsarzu, na który patrzysz, nie w tych majakach, które tam po fali przebiegają, tylko w porządnym epuzerze, którego przypadek do ciebie przybliżył.

— Wczoraj mówiła mama, że to pan Bóg do nas go zesłał.

— To na jedno wyjdzie, dosyć że jest, a mnie się zdaje, żeś z tego powinna korzystać. Kto nie korzysta z okazyi, ten nie raz do śmierci robi sobie wyrzuty.

— A cóż mam uczynić?

— Przecież uczyć cię nie będę. Wiesz dobrze jak z młodym mężczyzną rozmawiać trzeba, jak się na niego trzeba patrzeć, kiedy trzeba się domyśleć tego, czego on nie wypowiada, a kiedy udać, że się nie słyszy, jeżeli powie.

— Ach mamo, na to potrzeba spokoju i dłuższych rozmyślań. W takim zgiełku, gdzie na tyle rzeczy patrzeć trzeba i je podziwiać, mąci się w głowie i jest się w nieustannej gorączce... Zresztą pana Alfreda znam dopiero od tygodnia. Jest miły towarzysz, w podróży pomaga nam w tem i w owem. Cóż więcej?

— Przecież co raz więcej zbliża się do ciebie.

— Nic w tem dziwnego, on młody i ja młoda.

— Wyróżnia cię przy każdej sposobności, widać, że jest tobą zajęty. Czy to nie on tam jedzie w dorożce? Ach, ta ciotka! nie miała kiedy chorować i umierać.

Leonia nie spojrzała na dorożkę, tylko na fale Renu i zamyśliła się. Zdawało się, ściga oczyma, jakiś daleki obraz, którego dojrzeć nie może. Tymczasem nadjechała dorożka z pastorem.

— Rozdarłabym kogo z niecierpliwości, mówiła dalej pani Aneta, patrząc ku miastu, tak nas zostawił w zawieszeniu.

— Może już go nigdy nie zobaczysz! Wielka szkoda!

Leonia zwróciła oczy na matkę. Oczy miała rozmarzone, malowało się w nich jakieś nieukojone pragnienie.

— Cóż ja temu winna, jeżeli nie przyjedzie. Zapewne tak bardzo mu się nie podobałam.

— Młoda i nieszpetna panna, podoba się każdemu, jeżeli tylko chce.

Leonia spuściła oczy i zamyśliła się. W głowie jej szumiało od wrażeń z podróży, w wielkich miastach widziała tyle ciekawych rzeczy, do których wiązało się także wspomnienie towarzysza, tyle zaszło drobnych wydarzeń, po których wspomnienie zostało!... Nie mogła jeszcze tego wszystkiego uporządkować, nie mogła jeszcze odróżnić wrażeń od własnych

uczuć!... A miły towarzysz podróży zostawił je właśnie — jak powiedziała pani Aneta, w bardzo niemiłem zawieszeniu. Telegramy, które miał otrzymywać o przebiegu choroby ciotki pozwalały mu odkładać zostanie się z niemi od godziny do godziny. Ostatnie pozwoliły mu towarzyszyć aż do Kolonii. Teraz po zwiedzeniu tumu i po zakupnie kilku flaszek wody kolońskiej, odszedł na telegraf, aby z odpowiedzi telegraficznej dowiedzieć się, czy może dalej z niemi podróż nad Renem odbywać. Na każdy wypadek miał przybyć do przystani, aby im oznajmić, czy z niemi popłynie, czy tutaj je pożegna.

Ta niepewność działała na nerwy kobiet. Statek parowy czekał u przystani buchając niecierpliwie kłębami dymu. Część podróżnych już udała się na pokład, tragarze znosili kufry, dzwonek i świstawki odzywały się po kolei.

Pana Alfreda nie widać! Z każdą sekundą rosło niebezpieczeństwo, że go już nie ujrzą! Przebyte razem dni, drobne wydarzenia, rozmowy w długich wieczorach — wszystko to cisnęło się teraz do pamięci i stroiło się w jasne barwy. To co o sobie sam mówił, stawało się teraz prawdopodobnem, a nawet rzeczywistą prawdą. Dalekie domysły przybierały barwę rzeczywistości. Pani Aneta wierzyła teraz, że gdyby się o Leoncię oświadczał byłby świetną partyą. Ma przecież jaki taki majątek, koligacye świetne, jest sam *comme il faut*, miał rozległe wiadomości, wychowanie i maniery wyższego świata.

Dodawszy do tego ciotkę konającą, jej wioskę bez długów... Czegoż więcej potrzeba? A gdyby w ostatecznym razie to wszystko było illuzyą... od czegoż ciocia Dorota i Jaszczurów?

Takie myśli biegały teraz po głowie pani Anety. *Qui ne risque ne gagne, rien!* Można wielki los wygrać! A jeśli się nie zjawi?

Pani Aneta zacisnęła usta, bo tu kończyły się jej marzenia dni ostatnich.

A. Leonia? W głowie Leonii szumiało ciągle. Fale Renu, rozkosze żeglugi na tych falach, spodziewane urocze widoki... a z drugiej strony wieżyce tumu kolońskiego, droga z miasta do przystani i coraz słabiej jadące po niej dorożki i rosnące z każdą chwilą prawdopodobieństwo, że towarzysza podróży już nie ujrzy — wszystko to wprawiło jej nerwy w jakiś stan gorączkowy. Słowa matki dolały oliwy do ognia...

Gdyby teraz pana Alfreda ujrzała, uścisnęłaby dłoń jego serdeczniej i goręcej niż dotąd.

Teraz ostatni tragarz zbliżył się do niej. Wziął z ich rąk podróżne torebki, parasolki i jakieś drobne sprawunki, odzywając się krótko, aby szły za nim, bo statek odpłynie. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na drogę do miasta, weszła pani Aneta na mostek. Za nią ze szpuszczoną głową poszła Leonia.

Z pokładu statku wyszły na wyższy pomost. Statek zaczął się z wolna obracać. Ozwały się koła, srebrzysta piana wybiegła daleko na wodę...

Na drodze z miasta ujrzała pani Aneta przez lornetkę cwałem pędzące konie. Obaczył je prędzej gołem okiem sternik. Skręcił kołowrot z tyłu wstecz, a statek zbliżył się poraz ostatni do brzegu. Konie dopadły do przystani, wysunięto mostek — i pan Alfred z okazałym kufrem i pudłem na kapelusz wszedł uśmiechnięty na pokład.

Pani Aneta krzyknęła z radości i o mało co nie rzuciła mu się na szyję. Leonia zarumieniła się i z niezwykłą serdecznością uściskała dłoń jego.

— W ostatniej chwili otrzymałem telegram, który mi pozwala paniom jeszcze towarzyszyć do wieczora. Moja ciotka o tyle jest jeszcze przy siłach, że w towarzystwie lekarza wyjeżdża do Paryża, aby tam zasięgnąć rady specyalistów. Wzywa mnie, abym tam natychmiast przybył. W Koblencyi więc pożegnam panie. Dotąd możemy podziwiać razem urocze brzegi Renu, a pannie Leonii mogę nawet opowiedzieć o różnych psotach nadobnej czarownicy »Loreli«, która podróżnych na Renie swemi wdziękami tak czarować umiała, że się w odmęt rzucali.

Przy tych słowach spojrzał w oczy Leonii, która je natychmiast na pomost spuściła. Po jej twarzy przebiegł nieznaczny rumieniec.

VII.

Z powagą rozpoczął teraz statek bieg swój. Zwolna ale bez ustanku posuwał się przez fale, które mu drogę zagradzały. Uczucie niewysłowionej rozkoszy ogarnęło wszystkich, którzy podróż po raz pierwszy odbywali. Cichy jednostajny ruch, bez turkotu i hałasu przypominał mimowoli lot ptaka, któren z rozpostartemi skrzydłami sunie po modrem sklepieniu nieba.

W dali w niewyraźnej mgle rysowały się przyszłe urocze obrazy. Z bijącem sercem patrzali na nią podróżni, ciesząc się nadzieją, że się do nich zbliżają i je w całej ich krasie oglądać będą. Stosownie do tych pragnień ugrupowali się podróżni po różnych miejscach. Nerwowi zamknęli się w salonie, aby przez małą szybę z wolna oglądać to, co ujrzane naraz, mogłoby ich nerwy zanadto podrażnić. Inni pozasiadali na dolnym pomoście, aby tylko widzieć to co mają przed sobą. Śmiali i niespokojni zostali na górnym, zkąd można było patrzeć na około i czuć przyjemne muskanie wiatru, jaki sam bieg statku wytwarzał.

Pani Aneta, lękając się zawrotu głowy została w salonie. Leonię wysłała na górny pomost, aby tam do woli pięknym widokiem nasycić się mogła. Pan Alfred towarzyszył Leonci.

Oboje usiedli na ławce, z której na oba brzegi był widok wspaniały.

Na Leonię sprawił ten widok dziwne wrażenie. Czuła, że się jej serce rozszerza rozkosznie, że tę rozkosz chciałaby z kimś podzielić i przed nim wysnuć to wszystko, co się teraz dziwnie w jej duszy mota.

Pan Alfred zwracał jej uwagę na te i owe piękności malownicze, mówił z przejęciem, jakby był artystą. Wypowiadał swoje wrażenia, które Leonia z nim podzielała, a on podzielał znowu wszystko to, co oczarowana widokami Leonia wypowiedzieć mogła.

Powoli nawiązywała się między niemi nić sympatyczna, jednako patrzali, jednako widzieli. Po niejakim czasie, gdy statek coraz dalej w górę rzeki zmierzał, a brzegi Renu z pewną romantyczną grozą, coraz wyżej ku niebu rosły, wziął pan Alfred Leonię za rękę, i jakby ją chciał przy kołysaniu się statku na ławce utrzymać. Leonia domyślając się takiego zamiaru nie wzbroniła ręki.

— Czy wierzysz pani, zapytał, w dzisiejsze objawy nadprzyrodzone, naprzykład w sugiestyę?

Leonia uwolniła rękę z jego dłoni.

— Obawiam się, rzekła z uśmiechem, abyś pan nie kazał mi to mówić co sam sobie życzysz.

— Czyż to sprawiłoby pani nieprzyjemność?

— Przynajmniej nie byłoby to moją własną wolą.

— O tej woli tak są dziwne dzisiaj pojęcia, że ostatecznie

nie wiemy, czy ona jest wypływem naszej duszy, czy też urabia się pod wrażeniem tego co nas otacza. Ja naprzykład...

— Proszę dalej mówić.

— Naprzykład, w tej chwili chcę i pragnę czegoś, co uważam za jedyne szczęście moje.

— A w innem otoczeniu, w innem towarzystwie zapragniesz pan innego szczęścia.

— Oblewasz mnie pani zimną wodą.

— To z pod kół statka wypryska piana.

Pan Alfred zamilkł i z ukosa spojrzał na Leonię. Leonia zrozumiała to milczenie.

— Czy pan jesteś tak wrażliwy na te zimne krople wody?

— Jeżeli pochodzą z młodych ust, które żar rozniecać mają.

Lekki rumieniec przebiegł po twarzy Leonci.

— Czy znasz pani legendę o czarownicy »Lorelai«, która tam wyżej na skalistych brzegach tej wody ma królować?

— Słyszałam coś o niej. Legendy takie powtarzają się. U nas nazywa się Świtezianka.

— Dlaczegoż w tych legendach jest zawsze jedna i ta sama myśl, że piękna i czarująca kobieta, czarem wdzięków swoich, nielitościwie zabija mężczyznę?

— Najlepiej nie patrzeć na te niebezpieczne wdzięki.

— A jeżeli kto w ich sidła już ugrzązł?

Pan Alfred wziął Leonię za rękę i wycisnął na niej pocałunek. Zarumieniona cofnęła rękę.

— Patrz pani na ten siwy obłoczek, mówił dalej pan Alfred, który majaczy tam na krawędzi nieba... Tam przemieszkiwać ma owa nadreńska czarownica, a zanim jej śpiew zdradliwy usłyszę, niech pierwej usta pani wypowiedzą wyrok na mnie.

— Jaki wyrok?

Pan Alfred ujął namiętnie jej rękę.

— Czy będę mógł tę rękę jako zakład wiecznej przyjaźni w mojej dłoni zatrzymać na zawsze?

Ciemny rumieniec okrył twarz Leonci. Cofnęła rękę i szybko wstała z ławki.

— Mama w salonie sama tak długo siedzi, muszę iść do niej. Przepraszam pana.

I szybko jak widmo zniknęła z pomostu.

Pan Alfred wiedział co to znaczy. Chciała z jego oświadczeniem pójść do matki. Tam nastąpi narada co z niem zrobić.

Pan Alfred nieobawiał się tej narady, bo wiedział dobrze, że matka mu sprzyja. Leonia stanowczej rekuzy mu nie dała, a to dawało mu nadzieję, że matka wyrok jej przechyli na jego stronę.

Tak sobie myślał pan Alfred i w dobrym humorze zaczął się przechadzać po górnym pomoście. Wietrzyk od górnego Renu muskał mu czoło i szeptał mu do ucha, różne dobre rzeczy. Był pewny, że prędzej czy później piękna turystka przyjmie jego oświadczenie.

A co potem?

Potem? Któżby teraz o tem myślał. Przecież u nas nie jest w zwyczaju, aby przed ślubem o czemś podobnem myśleć. Ubliżałoby to nawet pierwszym zachwytom miłości, a samą miłość zniżyłoby do prostego rachunku.

Podczas gdy pan Alfred w rojeniach swoich po górnym pomoście się przechadzał, w dolnym salonie toczyła się rozmowa prawie dramatyczna.

— Więc oświadczył się, mówiła pani Aneta rozpromieniona, trzeba go jakiś czas w niepewności zostawić. To zaostrza sentyment u mężczyzny. Mężczyzna w tym względzie jest podobny do osła, który się cofa, gdy go naprzód ciągniemy, a biegnie naprzód, gdy go w tył chcemy cofać.

— Ależ tu idzie o to, odpowiadała żywo Leonia, jak mu na to odpowiedzieć. Tak mało znamy go...

— Już ja go dobrze poznałam. Wiem kto go rodzi i jakie są jego koligacje. Ma wioskę, wprawdzie nie bez długów, ale któż dzisiaj jest bez długów.

— Zkądże mama wie o tem?

— Gdy córka buja po eterach niebieskich, to obowiązkiem matki jest dobrze rachować.

Tu wyjęła zwinięty papier, rozłożyła i przesunęła po pod oczy Leonii.

— Telegram! krzyknęła Leonia

— Tak jest. Telegrafowałam do mojej znajomej w Poznaniu.

— Dla Boga! Cóż mama uczyniła!

— Uczyniłam to, co było moim obowiązkiem.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

Leonia była cała czerwona, oczy szkliły się w gorączce.

— Dzisiaj małżeństwa powinny się szybko zawierać, mówiła pani Aneta, bo inaczej wszystko się rozerwie. Minęły te czasy, w których para miłosna kochała się przez długie lata,

zanim do stóp ołtarza zdążyła. Dzisiaj szkoda czasu na taką zabawkę.

— Ależ tak nagle.. nie mogę nawet przekonać się, czy kocham, albo czy on rzeczywiście mnie kocha?

— Zresztą, możesz mu przyrzec — a jeśliby się coś w dalszym trakcie lepszego znalazło — to przyrzeczenie jeszcze ciebie nie obowiązuje. Tysiące panien zrywają przyrzeczenia, narzeczeni nawet rozstają się, a nikt im tego tak bardzo za złe nie bierze.

Twarz Leonii poczerwieniała jak rozpalone żelazo.

— Jeżeli tak... to już wolę od razu przyrzec i zaręczyć się z panem Alfredem, niżeli miałabym znowu na rozkaz mamy robić słodkie oczy do francuzkiego markiza, jak to zeszłego roku w Ostendzie było.

. . . .

W godzinę później siedzieli wszyscy troje w dolnym salonie przy herbacie. Pan Alfred trzymał drobną rączkę Leonii i od czasu do czasu całował. Twarz Leonii pałała, oczy, na których były ślady łez iskrzyły się gorączkowo. Pani Aneta miała minę dyplomatyczną.

— Nie wiem, rzekła po dłuższem milczeniu, czy nie zawcześnie uległam waszej prośbie... Pan w Koblencyi nas opuścisz!

— Aby spieszyć do ciotki umierającej w Paryżu, odpowiedział pan Alfred, chciałbym jednak wprzódy utwierdzić tę pierwszą chwilę mojego szczęścia, aby ona wraz z mojem szczęściem w niepamięć nie poszła.

Rzekłszy to zdjął z palca złoty pierścień z pysznym turkusem.

— To pierścień zaręczynowy mojej matki, mówił dalej zwrócony do Leonii, czy pozwoli go pani włożyć na palec?

Leonia zawachała się, jakiś przestrach ogarnął ją.

— Przyjmij moje kochanie, rzekła pani Aneta, bo tak nasz starodawny zwyczaj każe.

I zdjęła z palca Leonii jej ulubiony pierścień ze szmaragdem. Leonia nie wiedziała prawie, co się z nią w tej chwili dzieje. Czuła tylko na swoim palcu inny pierścień.

— Jesteście zaręczeni, mówiła dalej pani Aneta.

Pan Alfred ucałował rękę, matki i córki.

— Pozwoli pani, rzekł po chwili, że zwyczajem europejskim, przeszlę o tem wiadomość moim krewnym i przyjaciołom?

Pani Aneta skinęła głową. a rozgorączkowana Leonia patrzała zamyślona w powietrze, jakby coś ujrzeć chciała, czego tam dla innych oczów nie było.

— Koblencya! zawołał sternik na pokładzie.

VIII.

Od tego czasu minął miesiąc. Pani Aneta uznała za stósowne skrócić metę swojej podróży dzisiaj już bezcelowej. Dopiąwszy celu postanowiła wrócić do kraju, na co się Leonia zgodziła. Chciała także i siostrze swojej, pani Dorocie, zrobić pewną przyjemność. Pani Dorota nieraz mawiała o tem, że włócząc się za granicą, nie znamy skarbów, które kraj nasz posiada. Otóż korzystając z resztek dni ciepłych i pozostałych pieniędzy, ułożyła sobie pani Aneta przed widzeniem się z siostrą, zwiedzić po drodze swojskie Tatry i »Morskie Oko«. Leonia przyjęła ten projekt z zapałem.

Jakoż w kilka dni potem ujrzała Leonia z bijącem sercem rysujące się na niebie polskiem grzbiet Tatrów. W Szwajcaryi widziała wyższe i dziwaczniejsze olbrzymy skał, ale na widok Tatr uderzyło jej serce żywiej, bo to własne góry nasze.

Pierwsze dni w Zakopanem przepędziła w gorączce. Z rozrzewnieniem patrzała na liczne grona rodaczek przybyłych tu z trzech dzielnic ziemi ojczystej, aby podziwiać ukochane Tatry swoje. Razem z niemi zrobiła kilka wycieczek mniejszych, które głęboko wryły się w jej pamięci. Zdawało się jej, że tu i ludzie inni, niebo inne i orły inne krążące w obłokach. Wszystko to było bliżej jej serca, niż owe wszystkie dziwy zagraniczne, bo było swoje. Cieszyła się jak dziecko z obiecanej wyprawy w liczniejszem towarzystwie do »Morskiego Oka«, która za dni kilka nastąpić miała.

Przed tem zapowiedziano w sali dworca tatrzańskiego odczyt »O naszych skarbach« na korzyść budującego się kościoła.

Zapowiedź ta ucieszyła wielce Leonią. Myślała nieraz o takich skarbach, ale jeszcze więcej usłyszeć chciała Myślała także o nieznanym prelegencie, który o nich miał mówić. Miał już z góry jej sympatyą, bo jak widać czuł razem z nią i razem o tych skarbach myślał. Do tych myśli mieszała się jeszcze myśl inna. Pani Aneta zawezwała listownie pana Alfreda,

aby tutaj do nich przyjechał. Chciała się pokaźnym narzeczonym swej córki przed swemi rodaczkami pochwalić.

Tymczasem nadszedł dzień odczytu. Sala dworca tatrzańskiego nie mogła wszystkich słuchaczy pomieścić. Stali w przedsionku, stali pod otwartemi oknami, aby choć nieco usłyszeć.

Pani Aneta postarała się o miejsca pierwszorzędne. Miała na sobie suknię lugduńską, podczas gdy Leonia odziana była w jakąś pajęczą tkaninę koloru blado-sinego. We włosach miała kilka skromnych szarotek.

Śród głuchego milczenia wszedł prelegent na wzniesienie, na którem stał stolik suknem nakryty.

Był to młody człowiek o twarzy sympatycznej. Ciemne, niedbale rozrzucone włosy, zdradzały poważnego pracownika. Lekki uśmiech na ustach, ocienionych ciemnym zarostem, okazywał pewność siebie i stanowczość. Zgromadzenie powitało go oklaskiem. Spojrzał z wdzięcznością po całej sali, ale jak się zdaje nikogo z obecnych nie widział, zajęty tem o czem miał mówić.

I zaczął mówić.

Głos jego był dźwięczny, twarz ożywiała się w miarę, gdy temat swój rozwijał, oczy połyskiwały często blaskiem brylantowym.

Mówił o Tatrach, o Morskiem Oku, o Gople, o Szczerbcu Bolesława Chrobrego, o Wiedniu i Grunwaldzie i innych wielkich wspomnieniach historycznych.

Zgromadzenie słuchało go w milczeniu, przerywanem od czasu do czasu szmerem zadowolenia i współczucia z prelegentem.

Leonia słuchała go z twarzą ożywioną. Pochłaniała każde słowo, widziała każdy gest białej ręki, jaki tym słowom towarzyszył. Sympatya jej rosła dla niego coraz więcej. im z większym zapałem mówił o skarbach i wspomnieniach dziejowych.

Wreszcie skończył. Posypały się oklaski, a tu i owdzie kwiaty. Leonia wyjęła ze swego bukiecika, którego miała na piersi pączek żółtej róży i rzuciła tak zręcznie, że upadł przed nim na stolik. Prelegent podjął go z lekkim uśmiechem, skłonił się zgromadzeniu, chociaż nie wiedział od kogo pochodził.

O tym świetnym odczycie mówiono nazajutrz dzień cały, młody prelegent był Jowiszem dnia tego.

Po południu tego dnia, gdy pani Aneta z Leonią na ganku góralskiego domku poobiedną kawę piły, zbliżył się do ganku nieśmiało młody człowiek i z niskim ukłonem przedstawił się paniom, jak twierdził na rozkaz pani Doroty.

Był to wczorajszy prelegent.

Zrazu zdziwiła się pani Aneta taką niespodzianką, a Leonia radośnie powitała gościa.

Zdziwienie pani Anety znikało powoli, gdy gość opowiedział, że był niedawno w Jaszczurowie, odwiedzając na życzenie matki dawną serdeczną jej przyjaciółkę. W Jaszczurowie dowiedział się o nich, że wyjechały do wód morskich, a teraz przychodzi, ażeby się od nich o pani Dorocie coś dowiedzieć, i o tem matce donieść.

Pani Aneta przypomniała sobie matkę zacnego prelegenta i wypytywała go o różne domowe sprawy. Leonia przypomniała sobie także, że będąc młodą dziewczynką widziała jego fotografię u cioci Doroty, przesłaną przez matkę.

Od razu zawiązała się poufna rozmowa. Pochlebiało to pani Anecie, że bohater dnia siedzi u niej na ganku, widziany przez wszystkich. Zatrzymała go więc tak długo jak mogła. Pomagała jej w tem Leonia, która z wielkiem ożywieniem rozmawiała z młodym profesorem. Rumieniła się tylko od czasu do czasu, gdy spojrzała na klapy surduta, w której tkwił pączek żółtej róży, który mu wczoraj na stół rzuciła. Nie śmiała jednak do tego się przyznać.

— Czy pan będziesz należał do naszej wyprawy do Morskiego Oka, zapytała pani Aneta.

— I owszem, odpowiedział pan Władysław, mam to postanowienie.

— Gdyby tylko pan Alfred mógł na czas zdążyć, rzekła pani Aneta zwrócona do Leonii.

Pan Władysław spojrzał na Leonię, po której twarzy przebiegł teraz lekki rumieniec.

— Mówiłam o narzeczonym mojej córki, uzupełniała pani Aneta, który ma z Księstwa w tych dniach tutaj przybyć.

Pan Władysław przygryzł usta i nieco przybladł.

— Już chłodno na ganku, rzekł po chwili, muszę panie pożegnać

— Dowidzenia się.

Pan Władysław skłonił się nizko i odszedł.

— Bardzo miły człowiek, zauważyła Aneta.

— Ciocia Dorota coś raz mi o nim mówiła, dorzuciła Leonia.

— Z jego matką były obydwie na pensyi razem i przysięgły sobie, że swoje dzieci razem pożenią. Szkoda, że ciocia za mąż nie wyszła.

— Rzeczywiście, że szkoda, tak młody człowiek.

— Ale ty nie miałabyś Jaszczurowa.

Leonia zarumieniła się, usta jej zadrgały, jakby coś powiedzieć chciała — ale umilkła.

IX.

Z pierwszym brzaskiem dnia zaczęły się gromadzić przed dworcem tatrzańskim grupy turystów i turystek polskich. Niektórzy z mężczyzn przywdziali strój góralski. Zawiesili na ramieniu serdak, a na drugim czuchę. Opierając się na zgrabnie rzeźbionej ciupadze, podawali ramię młodym towarzyszkom, przebranym także za góralki w jaskrawe kolory. Przeróżne inne więcej europejskie kostyumy urozmaicały pochód. Przewodnicy wysunęli się naprzód, inni zaś górale nieśli prowiant i cieplejsze odzienia turystów. Malowniczy rozwinął się łańcuch snujący się pod górę; zwijał się i wyginał na krętych ścieżkach, a często urywał się i znikał, aby znowu z po za szarej ściany skalistej na widok wystąpić. Wesołe śpiewy rozlegały się echem od brył skalistych i płynęły gdzieś w dal na omgloną u stóp dolinę. Kiedy niekiedy zatrzepotał skalny orzeł długiemi skrzydłami i pomknął w górę, a zbudzony w zacisznej norze świstak usiadł na dwie łapki i z trwogą wychylił głowę czy mu nie grozi niebezpieczeństwo. Pierwszy z nich wysunąwszy się na brzeg skały dawał hasło pozostałemu w tyle obozowi.

Pani Aneta w kostyumie angielskiej turystki, wsparta na długim kiju postępowała odważnie naprzód. Za nią po prawej stronie w szarej bluzce, w czerwonej góralskiej spodniczce szła Leonia w towarzystwie pana Władysława, który niósł na ręku jej szal hiszpański.

Pan Władysław wskazywał jej najpiękniejsze widoki, wymieniał nazwy miejscowości i objaśniał, jakie legendy i podania do nich się wiążą. Leonia słuchała go z pewną gorączką,

mówiła o widokach Szwajcaryi, przekładając pierwsze nad ostatnie. Rozmowa pogłębiała się coraz więcej, wchodziła nieraz w sferę uczuć, które przez oko budzą się w głębiach duszy.

Leonia zauważyła, że jej towarzysz tutaj często rozmowę przerywał, zwracając nagle do innego tematu. Na jego czole zawisła wtedy jakaś chmurka, a usta zaciskały się, jakby doznawał jakiegoś nieprzyjemnego uczucia.

Na polanach odpoczywano. Malowniczo grupowało się towarzystwo w około olbrzymich saganów kwaśnego mleka, które z szałasów usłużne góralki wynosiły. Butelki z winem i różne przekąski zaczęły krążyć. Nie brak było i przekąsek duchowych. Wesołe koncepta i dowcipy krążyły w całej drużynie. Czyste jak kryształ powietrze, aromaty ziół tatrzańskich i podrażniający ozon przyspieszały tętna, rozgrzewały krew i budziły jakieś życie dotąd nieznane.

Po kilku takich wypoczynkach z posiłkiem przy różnych stawach, zdążano już nad wieczorem do celu podróży.

Ujrzano Morskie Oko.

Okrzykiem powitano tę drogocenną perłę gór tatrzańskich, a ci, którzy po raz pierwszy tu przybyli, zatopili się w głębokiem milczeniu. Ciemno-modra szyba stawu zaludniła się teraz tem wszystkiem co o nim słyszeli. Widziano cienie śmiałych opryszków i cienie zaklętych rycerzy Bolesława.

Rozłożono ognie, aby na noc ciepły posiłek przygotować. Kosodrzewina pryskała, z doliny wynurzała się coraz większa ciemność i powoli sunęła się po skałach i przepaściach na góry. A na niebie wybłyskiwały gwiazdy jedna po drugiej, i powoli zasiał się niemi cały strop niebieski.

Pani Aneta rozłożona na kobiercu, zabawiała jakąś niemłodą towarzyszkę opowiadaniem o górach i morzach zagranicznych. Leonia siedziała opodal oparta o wystającą skałę i rozmawiała z panem Władysławem, który stał poniżej.

Wiele, bardzo wiele przez całą drogę rozmawiali ze sobą. Poruszyli wiele tematów, a we wszystkiem byli jakoś zgodni ze sobą.

Gdy na ognisko nowego paliwa dorzucono, buchnęły iskry wysoko i oświeciły twarz pana Władysława. Leonia spostrzegła na tej twarzy jakiś smutek niezwykły.

— Czy zgodzi się pan ze mną, zagadnęła patrząc w ognisko, że zbyt przyjemne uczucia napawają nas jakimś smutkiem, którego powodu ani celu odgadnąć nie możemy.

Pan Władysław spojrzał przed siebie i milczał chwilę.

— Nieświadomość tego co nam grozi, odrzekł niby do myśli swoich, zastępuje często jakieś niedobre przeczucie, ale smutek świadomy swego źródła wpija się w duszę głęboko i gorszy jest od najgorszych przeczuć.

— Pozwoli pan siebie zapytać, czy to co widzę na twarzy pana należy do pierwszego czy do drugiego?

Pan Władysław spojrzał ze wzruszeniem na Leonię.

— Jeżeli pani dojrzałaś jakiś cień smutku na mojej twarzy, to przyznaję się szczerze, że należy on do tego drugiego rodzaju.

— Czy winni temu ludzie?

— Uchowaj Boże — sam jestem winien.

— O cóż pan siebie oskarżasz?

— O coś czego w sobie niedostrzegłem.

— Czy można zapytać coś pan teraz dostrzegł?

— Widzę, że jestem ułomnym człowiekiem, może ułomniejszym od innych. Uczułem w sobie zawiść.

— Zawiść?

— Zawiść i zazdrość do tych, których nawet nie znam, a którzy są szczęśliwsi odemnie.

Nastąpiła pauza. Leonia patrzała w pryskające iskry, a pan Władysław usiłował wydobywaniem cygara i zapałek sprawić sobie jakieś zajęcie.

— Czy widzisz pani, zagadnął, jak te kłęby dymu w dziwne kształty wiją się i rozwijają... jak ta szklanna tafla Morskiego Oka połyskuje się w fantastycznych światłach, jakby przez pryzmat przepuszczonych... jak te skały, urwiska, które podania zaludniają...

— Mówiłeś pan o zawiści, przerwała Leonia, przyznaję się, że niespodziewałam się jej u pana odkryć.

— Ułomna ludzka natura — ale poznać ją znaczy, w połowie zwyciężyć.

— Czy takie zwycięztwa są łatwe?

— Zależy od tego jak nas los wychował. Kto w życiu musiał walczyć i zdobywać, ten ma siłę zwycięztwa.

— Czasami może i lepiej jest — nie zwyciężyć.

*

— Może przyjemniej, ale nigdy lepiej. Cezar, gdy stał nad Rubikonem z rylcem w ręku mógł wiele marzyć, myśleć i pisać, ale rzuciwszy go do wody przeszedł Rubikon.

Tutaj ozwały się głosy nawołujące do wieczerzy. Wszyscy ruszyli się z miejsc swoich i ugrupowali w około improwizowanej zastawy biesiadniczej.

Leonia siadła przy matce. Przez cały czas wieczerzy była zamyślona. Pan Władysław przyłączył się do innej grupy i z nią rozmawiał. Zdawał się nawet być wesołym.

. . . .

Gdy nazajutrz pani Aneta do swego domku wróciła, zastała tam gościa spodziewanego.

Pan Alfred przyjechał. Przywiózł cukry i kwiaty i wiele innych łakoci. Był w złotym humorze, opowiadał o ciotce, która jeszcze nie umarła, a testament już zrobiła, mówił o jesiennych wyścigach konnych, które się w Wiedniu przygotowują, a na które najznakomitsi hipofile z całej Europy się zjadą. Proponował paniom, aby się tam z nim udały, gdyż to będzie widowisko jakich mało.

Leonia przyjęła narzeczonego uprzejmie, mówiła z nim o różnych potocznych rzeczach i o wrażeniach, jakie na niej sprawiły swojskie góry tatrzańskie. Na jej czole pojawiała się od czasu do czasu chmurka zamyślenia, osobliwie, gdy o wieczornej biesiadzie przy Morskiem Oku mówiła.

Po wieczornej herbacie zaczęła rozmowa urywać się coraz więcej, co znużeniu po podróży przypisywano. Pan Alfred pożegnał się do jutra.

Nazajutrz rano otrzymała pani Aneta list z Jaszczurowa. Zdziwiło ją, że adres nie był pisany ręką pani Doroty. Szybko rozdarła kopertę. Spojrzała na podpis. Pisał ksiądz proboszcz z Jaszczurowa. Z rosnącą ciekawością zaczęła odczytywać niewyraźne litery sędziwego proboszcza.

Proboszcz pisał, że pani Dorota została przed tygodniem dotknięta wielką niemocą. Jakkolwiek z tej niemocy przyszła do siebie, z obawy jednak, że taki atak może się powtórzyć, i być śmiertelnym, podyktowała testament mianując go egzekutorem. Dalej donosił proboszcz, że w tym testamencie mianuje sukcesorką swoją Leonię, ale pod tym warunkiem, jeżeli wyjdzie za mąż za tego, którego w kraju pozna i ukocha. Inaczej Ja-

szczurów staje się własnością przytułku dla dzieci moralnie zaniedbanych.

Gdy pani Adela to wszystko odczytała, krzyknęła na Leonię.

— Patrz, zawołała cała czerwona ze złości, co ta waryatka zrobiła! Była całe życie waryatką i taką umrze!

Leonia podjęła list i zaczęła czytać. Niezwykła treść listu podrażniła ją widocznie. Czerwone pręgi wystąpiły na jej twarz, brwi podniosły się do góry.

Po niejakim czasie zaczęła się uspokajać.

— Jakże o tem panu Alfredowi powiedzieć, wołała pani Aneta, może wcale nic nie mówić, tylko ślub przyspieszyć?

— Przeciwnie, odpowiedziała Leonia, trzeba mu natychmiast o wszystkiem powiedzieć.

Gotów się przestraszyć i odstąpić.

— Lepiej, że to zrobi prędzej niż później.

— Ja mu tego nie powiem.

— Ja się z nim rozmówię.

Nadszedł pan Alfred. Zaraz po przywitaniu, wyszła pani Aneta do swego pokoju a Leonia, wziąwszy list proboszcza do ręki, rzekła:

— Muszę na dzień dobry przywitać pana niedobrą nowiną. Niech pan przeczyta.

Pan Alfred wziął list i zaczął go czytać. Czoło jego marszczyło się, usta zacinały. Zbladł, a wyraz przykry przebiegł po tej bladej twarzy.

Po chwili zaczęła się ta twarz rozjaśniać i zwykły spokój a nawet i uśmiech zapanował na niej.

— To jest zabawka starej kobiety, zawołał, koncept pod wpływem proboszcza. Nic łatwiejszego jak taki testament zwalić, a raczej obejść, wyprawiwszy drugie demonstracyjne zaręczyny, jeżeli nie przy Morskiem Oku, to przynajmniej przy Jaszczurowie!

— Wszak urzędowe karty o zaręczynach posłałeś pan i do Jaszczurowa.

Pan Alfred syknął jak wąż.

— I ręczę, że zacny proboszcz, odparł ze złością, włożył tę kartę do testamentu!

— Panie Alfredzie, zaczęła Leonia z powagą, największem nieszczęściem u nas bywają owe rozczarowania poślubne co do

majątku. Nie odwołując się do żadnych przyszłych procesów, oświadczam panu, że majątku żadnego nie mam, a znając stanowczość mojej ciotki i nieugiętość egzekutora jej testamentu uważam Jaszczurów dla mnie za stracony. Jeżeli pan taką biedną, jaką dziś jestem zechcesz poślubić, wezmę to za wielki dowód przywiązania ze strony pana, i wyznaję naprzód, że potrafię być na mniejszem oszczędną gospodynią.

Pan Alfred zaczął się niepokoić na krześle. Próbował coś odpowiedzieć, ale słowa mu się nie kleiły.

— Widzisz pani, mówił zwolna, materyalnej pozycyi nie trzeba nigdy lekceważyć... Ciotka moja może żyć w nieskończoność... mój majątek, jak każdy inny, nie jest bez ciężarów... a ciężary te wyrastają nieraz po nad nasze siły... w takim razie...

— W takim razie zechcesz pan zapewnie odebrać swój pierścionek.

Szybko zdjęła pierścionek i położyła mu tuż przy ręce, którą na stole trzymał.

Pan Alfred machinalnie wziął pierścionek i zaczął się nim bawić.

. . . .

. . . .

W kilka dni potem siedziała pani Aneta przy herbacie mocno podrażniona. Leonia z ożywioną twarzą podawała filiżankę gościowi, którym był pan Władysław.

— Ależ to fałszywe koty, tygrysy nie ludzie! wołała pani Aneta, wioskę przed dwoma miesiącami sprzedał komisyi kolonizacyjnej — ciotki żadnej nie miał w Paryżu — podły świat cały, bezwstydna nikczemność na każdym kroku... Jutro odjeżdżamy do Jaszczurowa!

Pan Władysław nierozumiał dobrze tych wykrzykników podrażnionej matrony. Byłby chętnie świat cały i ludzkość wziął w obronę przed atakiem pani Anety, gdyby Leonia zagadkowym uśmiechem nie była go oderwała od tego.

— Jutro odjedziemy do Jaszczurowa, wołała dalej zacietrzewiona pani Aneta, a pan, panie profesorze, pojedziesz z nami. Moja siostra zaniemogła ciężko, a nawet już o testamencie coś nam donoszą. Wypada, abyś pan przyjaciółkę matki swojej odwiedził.

Pan Władysław spojrzał na Leonię i znowu spotkał się z jej uśmiechem nieodgadnionym..

*   *
*

Cóż więcej pisać? Łaskawe czytelniczki już się reszty domyśliły. Ale o jednej rzeczy jeszcze nie wiedzą.

Gdy pan Władysław po drugiej czy trzeciej wizycie w Jaszczurowie, przy swojej narzeczonej siedział, a ona z kwiatka szczęście mu wróżyła, ozwała się pani Dorota:

— Wróżcie sobie co wam się podoba, ale ja powiadam, że o prędkim ślubie ani mowy, od litery mego testamentu ani na włos nie odstąpię. Przy Morskiem Oku zawiązała się miłość wasza... a właśnie o ten klejnot naszych gór tatrzańskich toczy się spór, że ono do naszej ziemi nie należy. Mam nadzieję, że przeciwnik nam go nie wydrze, ale dopóki ten spór się nieskończy i Morskie Oko w nasze posiadanie nam nie będzie oddane, póty o ślubie ani myśleć. Twoim jest obowiązkiem mości profesorze, szermierzyć słowem i czynem o tę perłę gór naszych, aby się nie stała obcą ziemią, o jakiej w testamencie jest mowa.

Dotąd para narzeczona żyje w nadziei. Autor mniema, że ich nadzieja spełni się.

Zakopane, Luty 1894. W Zakładzie dra Chramca.

ZAKOPANE

jako

STACYA KLIMATYCZNA

na Podhalu tatrzańskiem

przez

Dra Władysława Florkiewicza.

I.

Zamierzywszy skreślić ogólny pogląd na znaczenie stacyi klimatycznej w Zakopanem, na jej czynniki rodzime i doniosłość tychże działania; -- gdy z porządku rzeczy zwróciłem przedewszystkiem myśl ku macierzystej stacyi, ku owej przyrodzie Podhala Tatr, które jak niebotyczny diadem granitowy, wieńczą Ojczyznę naszą, a przydając jej niemało wdzięku i ozdoby, powinnyby więcej niż dotąd przysparzać jej dobrobytu, odezwało się równocześnie w mej pamięci schorzenie umysłu, nazywane powszechnie nostalgią, a u nas tęsknicą, którego oderwane pojęcie posłużyło już za wątek niejednego z pięknych i rzewnych utworów poetycznych, — a konkretne, istnieje jako fakt, dosyć wprawdzie rzadko spostrzegany w życiu, ale stwierdzony przez obserwacyę naukową, polegający na zaburzeniach odżywczych i czynnościowych, przez uczucie nieograniczonej tęsknoty wywołanych, których rozmiary i przebieg mogą poważnie zagrażać ośrodkom układu nerwowego, dotkniętych niem jednostek. Skojarzenie się myśli o przyrodzie Tatr, ze wspomnieniem o owym objawie chorobowym, nie jest jak sądzę koincydencyą wyobrażeń bez związku; — ani wynikiem upodobania w wyszukiwaniu zboczeń w równowadze spraw życiowych ustroju, wypływa raczej ono ztąd, o ile mi wiadomo, że w spomnionemu schorzeniu ulegają przeważnie mieszkańcy krain górskich, po opuszczeniu na czas długi ich siedzib rodzinnych. Z tego to powodu mniemam, że ów objaw psychopatyczny, godny uwagi z wielu bardzo wzglę-

dów, zasługuje na zaznaczenie tutaj, bo on sam przez się daje pojęcie o istocie wpływu przyrody górskiej na umysł człowieka, który wśród niej przebywa. — Jakoż pomienione schorzenie przedstawia w przebiegu swoim pewne psychologiczne momenta, które nie mogłyby wystąpić na jaw, gdyby zaburzeniom psychicznym, za tło nie służyły intelektualne i estetyczne, tkwiące w głębi duszy danych jednostek i gdyby przyczyna tych zaburzeń nie sięgała poza okres prostego nawyknienia, będącego tylko zmysłów podnietą. Z oceny przeto wątku i przejawów odnośnego zboczenia psychicznego można wyprowadzić ten jedynie wniosek, że wpływ, jaki przyroda górska wywiera na umysł człowieka i władza z jaką nad nim może zapanować, polega na głębokiem i trwałem uczuciu zadowolenia wewnętrznego, jakiego człowiek obdarzony żywą wyobraźnią doznaje, a nawet mimowiednie doznawać może, w odczuwaniu piękna tejże przyrody. Podobne uczucia rodzą się w duszy i wobec piękna innych dzieł Stwórcy na ziemi i w przestrzeni wszechświata, — tylko doniosłość ich nie dorównuje czarującemu działaniu piękna przyrody górskiej, która posiada jeszcze tę właściwość, że działa na wszystkich, gdy tymczasem step bywa wymownym tylko dla jego mieszkańców, grozę oceanu oceniać mogą żeglarze, a bezmierność i harmonię układu ciał niebieskich podziwiają astronomowie, jako uzdolnieni do obserwowania odległości i rozmiarów, do śledzenia ruchów i obrotów tychże ciał.

Wśród różnorodnych czynników i zjawisk przyrody, nie ma istotnie przedmiotu, który zdołałby sam przez się, swą rodzimą treścią, wzbudzać w przeważnej liczbie ludzi, większe zajęcie, wprawiać w wyższy podziw, rodzić żywszą żądzę bliskiego poznania, jak owe łańcuchy gór z ich niebotycznymi szczytami, które robią zbliska wrażenie przedmiotów tak niezmiernie wielkich, że to wrażenie nie ginie, gdy rozwaga pouczy, jak to są względne tylko i pozorne wielkości. Magnetyczny ku górom pociąg umysłów ludzkich przejawia się u jednostek żyjących na łonie natury i wychowanych w atmosferze górskiej, lub z całą świadomością u ludzi umysłowo wykształconych. Do wyjątków prawie należą takie jednostki, u których po powrocie z gór w niziny, wśród pracy i zajęć codziennych zacierają się wrażenia krajobrazów, przemawiających ogromem

i fantastycznością kształtów, a symetryą układu. Nielicznymi są też i tacy, którzy będąc w możności powzięcia wycieczki w góry, chęci ku temu nie zdradzą, zapoznając osiągnięte tam wrażenia podniosłe, to uczucie błogiego spokoju, jakiego niełatwo doznać gdzieindziej. Te to właśnie wrażenia i te uczucia nadają górom tyle uroku i niepowściągniętej niczem ponęty, która ku nim pociąga ludzi ze stron najdalszych za cenę nawet znacznych ofiar osobistych.

To też w miarę jak wzrastają stolice polityczne państw europejskich, oraz miasta będące ogniskami ruchu naukowego, przemysłu i handlu, i jak w miarę tego wzrostu pobyt w nich podczas letnich miesięcy staje się uciążliwym a zarazem niekorzystnym dla zdrowia, ludzie inteligentni i możni, a przynajmniej o tyle zasobni, że ich stać na przepędzenie dłuższego czasu zdala od widowni życia wielkomiejskiego, opuszczają pomienione miasta i dążą bądź w okolice lesiste, bądź nad brzegi mórz, a przeważnie w góry, celem przepędzenia lata na łonie przyrody. Wówczas to, po stokach gór kontynentu europejskiego wspinają się niezliczeni podróżnicy, mężczyźni i kobiety, a liczba zwiedzających corocznie nasze Tatry jest tylko małą garstką w porównaniu z tą masą turystów różnych narodowości, którzy roją się po Alpach nawet w porze zimowej, goniąc za podniosłemi wrażeniami mimo grozy i niebezpieczeństw niezażegnanych ułatwieniami cywilizacyi. Hygiena usilnie zaleca te czasowe zmiany sposobu życia, — ten rodzaj trudów i wysiłków, zasługujących na nazwę szlachetnego sportu, albowiem stosowane w granicach właściwych, podnoszą one umysł, sprzyjają rozwojowi i poszczególnych narządów, i całego ustroju. Jakoż, kiedy człowiek zdrowy pnie się ku szczytowi góry, nie z większym wysiłkiem, jak na to pozwalają zasoby jego sił fizycznych, — to zarówno podmiotowe psychiczne bodźce jak i czynniki zewnętrzne sprawiają, że wraz ze wzmożoną działalnością mięśni, cała żywotność ustroju podnosi się czasowo na wyższy stopień działalności, nie przestającej w pewnej mierze i do pewnego czasu wpływać korzystnie i po przejściu tego pobudzenia, wywołanego przez czynnik tak zarazem prosty i potężny, iż nie mogą mu dorównać żadne inne ćwiczenia fizyczne; a z tem fizyologicznem podwyższeniem działalności ustroju — harmonijnie działa ów nastrój umysłu, wytworzony

przez uczucie zadowolnienia wewnętrznego — o jakiem wyżej była wzmianka.

Ponieważ zarówno piękno przyrody górskiej, jak i wpływ tejże na energię umysłu i fizyczności człowieka, — są sprawami powszechnie dziś znanemi i omawianemi, nie możnaby się dziwić mniemaniu ludzi niekompetentnych, że stacye klimatyczne pozostają w bezpośredniej przyczynowej zależności od tychże czynników, należących przeważnie do zakresu hygieny. Z tego rodzaju poglądem zdarzyło mi się spotkać, — ale jest on zarówno jednostronny jak powierzchowny, bo stacya klimatyczna górska zostaje w związku niezmiernie luźnym z pomienionemi sprawami.

Celem zużytkowania na swoje usługi sił przyrody, działalność człowieka ograniczyć się nie mogła na poczuciu podziwu i instynktownem stwierdzeniu ich dodatniego lub ujemnego wpływu, lecz dążyć musiała do tego, ażeby drogą badań naukowych poznać prawa rządzące temi siłami, — bo to dopiero umożebniło dokonywanie dzieł, jakiemi twórczy duch ludzki szczyci się w sferze odnośnej działalności swojej. Tak samo byt i zadania stacyi klimatycznej górskiej opierać się mogą jedynie na naukowej ocenie czynników, stanowiących istotę klimatu górskiego i dróg oddziaływania tychże na pewne zaburzenia i zmiany patologiczne organizmu. Mówimy tu o takich zmianach, wobec których środki lecznicze przedewszystkiem skierowane być winny ku usunięciu dotkniętych jednostek z pod wpływu szkodliwych bodźców zewnętrznych, i postawieniu ich w możności odzyskania zmniejszonej lub utraconej odporności na bodźce chorobotwórcze, albowiem brak tej odporności lub niedostateczna jej energia zdają się stanowić istotną przyczynę powstawania przeważnej liczby chorób, — a niemniej i powodować zgubne następstwa takowych.

Stacya klimatyczna górska jest przeto ściśle związaną z klimatologią gór, — tj. z nauką mającą za przedmiot klimat górski. Rzeczy dotyczące innych klimatów, i innych stacyj klimatycznych, jako to: leśnych, stepowych, nadmorskich, pomijam dlatego, iż wyłączny cel uwag niniejszych stanowi pogląd na stacyę klimatyczną w Zakopanem, par exelence górską.

Od początku obecnego wieku, uczeni przedsiębrali badania naukowe nad zjawiskami fizycznemi, występującemi w miejscowościach wzniesionych na różną wysokość nad powierzchnią

morza; — a wyniki tych badań wykazały, że całokształt czynników, które tamże znajdują się zarówno w atmosferze, jak i na powierzchni ziemi, przedstawia właściwości niepozbawione znaczenia i w sposób właściwy działają na pewne przejawy życia ustrojowego. Te badania wytworzyły zasady naukowe wspomnianej klimatologii gór, a nauka lekarska, która śledzi bacznie za wszystkiem, co z zakresu umiejętności przyrodniczych zużytkowanem być może dla celów stanowiących główne jej bytu zadania, nie mogła pozostać obojętną na wyniki pomienionych badań naukowych, lecz podjęła sama badania odnośne a rozszerzywszy zakres ich na stosunek czynników klimatycznych górskich do fizyologii patologicznej czyli do spraw ustroju dotkniętego chorobą, wytworzyła naukę o leczeniu klimatem górskim, która, w zestawieniu z najnowszemi wiadomościami o przyczynach przeważnej liczby chorób przewlekłych, stanowi prawdziwy postęp w leczeniu tych chorób, przeciw którym już w starożytności odległej lekarze na podstawie empiryi polecali klimatyczne kuracye.

Istota klimatu górskiego w całości polega na odpowiedniem wyniesieniu pewnych miejscowości ponad powierzchnię morza. To wyniesienie samo przez się bowiem sprawia, że w atmosferze ziemskiej danej miejscowości znajdują się takie zjawiska fizyczne, które zdolne są wywierać wpływ bezpośredni i doniosły na sprawy fizyologiczne ustroju, i jako czynniki lecznicze zużytkowanemi być mogą.

Pomienione czynniki atmosferyczne przedstawiają się jak następuje: 1. Zmniejszenie ciśnienia powietrza o ciężar jego kolumny, mieszczącej się między powierzchnią morza a powierzchnią miejsca wzniesienia, — oraz skutkiem tego, że atmosfera nie jest jednostajnie gęstą, lecz warstwy jej niższe są gęstsze i cięższe, — wyższe zaś coraz rzadsze i lżejsze. 2. Obniżanie się ciepłoty powietrza, uwydatniające się stopniowo w coraz wyższych warstwach atmosfery ziemskiej. 3. Silniejsze promieniowanie cieplika słonecznego, którego promienie padają mniej ukośnie, bardziej dogrzewają, — a nadto w powietrzu rzadszem i suchem, mniej ulegają t. z. utajeniu. 4. Zmniejszenie wilgotności bezwzględnej powietrza, które jako rzadsze, przy tej samej temperaturze mniej pochłonąć może pary wodnej. Wilgotność względna bywa w tej samej miejscowości zmienną, w różnych czasu okresach i przy różnych kierunkach

wiatru. 5. Czystość powietrza w wyższych warstwach atmosfery, stanowi jeden z najdonioślejszych czynników atmosferycznych klimatu górskiego, a o ile hygienicznie ujemne wpływy nie zmieniają stanu rodzimego, powietrze na znacznych wyniesieniach bywa wolnem od pyłu i drobnoustrojów, których ilość wzmagać się zwykła w miarę obniżania się poziomu miejscowości badanych. 6. Suma opadów atmosferycznych, zależnych nie od stopnia wilgotności powietrza, lecz od kierunków wiatrów deszczowych, choć zmienna w różnych miejscowościach kontynentu, w ogólności jest jednak większą od sumy tychże opadów w nizinach. 7. Ruch atmosfery odczuwany jako wiatr, bywa podczas lata silniejszy i zdarza się częściej, — za to podczas zimy ruch ten w wyższych strefach atmosfery jest wydatnie mniejszy i schodzi prawie do minimum. Nareszcie, 8. Powiększenie ilości ozonu, który jest tlenem posiadającym większą energię utleniania, — a znajduje się wszędzie, gdzie powietrze jest czystem; — brak go zaś bywa tam, gdzie ono jest już zużytem lub zepsutem wskutek gnicia ciał organicznych.

Wymienione momenta, stanowią wprawdzie zasadnicze warunki bytu stacyj klimatycznych górskich, — w każdej jednakże stacyi występują jeszcze na jaw czynniki, które wytwarzają: miejscowa gleba, otaczający teren, oraz stan ludności, i które nadają stacyi odrębną a jej właściwą cechę, czynnie współdziałają, bądź dodatnio, bądź ujemnie, z wpływem atmosferycznych zjawisk. Na wytworzenie się tych czynników pomocniczych składają się: 1. odległość danej stacyi klimatycznej od równika ziemskiego; — 2. jej położenie względem t. z. czterech stron świata; — 3. ukształtowanie jej powierzchni i układ geologiczny właściwego jej terenu; — 4. konfiguracya najbliższej okolicy sąsiedniej; — 5. otaczający świat roślinności; — 6. zdrowotność ludności miejscowej; — i wreszcie 7. stan cywilizacyjnego rozwoju tej ostatniej.

II.

Stacya klimatyczna w Zakopanem, założona w r. 1886 i pierwotnie obejmująca całość obszarów dworskiego i gminnego, obecnie zaś na mocy zmiany w Statucie, celem dokładniejszej obsługi, ograniczona tylko na pewną część obszaru gminnego, — niezmierzoną jeszcze przestrzeń mniej więcej



Widok letni Morskiego Oka.

10 kilom. kw.; położona jest na wysokości 837 m. przy starym kościele, stanowiącym jeden z najniższych punktów stacyi, a 894 m. przy muzeum tatrz. oraz w blizkości sąsiedniego dość znacznego boru i około 1000 m. na Bystrem, którego wyniesienie, dotąd nie wymierzone, odpowiada co najmniej, wyniesieniu dworu w Kuźnicach, — będącego na wysokości 1002 m. nad powierzchnią morza. Rozciąga się ona u stóp góry Gubałówki, wysokiej na 1125 m., — odgraniczającej od Północy i Zachodu całą długość doliny Zakopańskiej, — szerokiej na 4 do 5 kilometrów, przerzniętej kilkoma strumieniami górskimi, a od Południa zamkniętej łańcuchem Tatr polskich, które mimo swej wyniosłości, nie wpływają ujemnie na insolacyę doliny, albowiem szerokość jej pozostawia aż nadto miejsca działaniu światła i ciepła słonecznego i powodują to jedynie, że podczas trzech najkrótszych miesięcy roku, słońce od 20 do 30 minut później wschodzi i wcześniej zachodzi. Jakkolwiek stacya klimatyczna Zakopańska, istnieje już przez lat 8, — spostrzeżenia meteorologiczne stanowiące najważniejszą z podstaw jej bytu, były dotąd traktowane prawdziwie po macoszemu, przez poprzednie Zarządy i dotychczasowych lekarzy tejże stacyi, a nadto cały materyał spostrzeżeń dawniejszych, zebrany przez zajmujących się tą sprawą w przeciągu wielu lat ostatnich, pozostawia dużo do życzenia zarówno ze względu na zakres zjawisk branych pod obserwacyę, jak i na ciągłość takowej. Nawet i stacya metereologiczna istniejąca od dnia 1 września 1892 roku przy Muzeum tatrzańskiem imienia T. Chałubińskiego, pomimo starań jego Zarządu może dopiero od dnia lipca 1894 r. wykazać ciąg takich spostrzeżeń, które będą stanowić dokładny materyał naukowy. Tabelka spostrzeżeń, którą poniżej zamieszczam, opiera się na spostrzeżeniach zrobionych przezemnie codziennie w ciągu czasu od 1 października 1892 r. do 30 września 1893 r., uzupełnionych obserwacyami stacyi m. Muzeum tatrz. oraz zapiskami udzielonemi mi przez Dr. W. Matlakowskiego. Jakkolwiek całokształt tych obserwacyi nie stanowi wyczerpującego materyału naukowego, nie jest jednak bez doniosłej wartości praktycznej dla stacyi klimatycznej, rzuca bowiem światło na jej właściwości i zalety. Dr. St. Ponikło, w broszurze wydanej w r. 1893 o Zakopanem jako stacyi klimat. górskiej, dane metereologiczne obejmujące tylko temperaturę i ciśnienie powietrza zaczerpnął z rozprawy Kolbenheyera: O sto-

1892	Suma miesięczna temperatury Celsyusza spostrzeganej o godzinie 7 rano	1 pp.	9. w.	Średnia miesięczna temper. Cels.	Średnia miesięczna barometru.	W ciągu miesiąca było:
X. 1—31. Średnia miesięczna	138.5 4·5	263·2 8·5	170.2 5·5	6·3	683·2	a) dni pogodnych przy zachmurzeniu 0—1 . . . . . 15. b) dni bez wiatru . . . . 19. c) dni z wiatrem halnym 3.
XI. 1—30. Średnia miesięczna	—111·5 — 3·7	—9·0 —0·3	—114·0 —3·8	—2·6	686·6	a) dni pogodn. przy zachmurzeniu 0—1, — bez wiatru, z temper. w słońcu od 15 do 25 C. . . . . . 14.
XII. 1—31. Średnia miesięczna	—273·9 — 8·8	—147·2 —4·2	—272·8 —8·8	—7·5	677·5	a) dni pogodnych przy zachmurz. 0—1, — bez wiatru i temper. przeszło 15 st. . 15. b) d. z. w. halnym . . . 1.
1893						
I. 1—31. Średnia miesięczna	—372·9 — 12·0	—203·2 —6·5.	—370·4 —11·9.	—10·1	677·9	a) dni pogod. przy zachmurz. 0—1 z temp. w słoń. od 20C. 15. b) dni bez wiatru. . . . . . 18. c) — z. w. halnym. . . . 1.
II. 1—28. Średnia miesięczna	— 93·5 — 3·3	+2·3. +0·1	—84·0 —3·0	—2·1	680·6	a) dni pogod. przy zachm. 0—1, — z temp. w słoń od 6 do 20 C., bez wiatru . . 14. b) wiatr halny, dni . . . . 7.
III. 1—31. Średnia miesięczna	— 41.5 —1·3	+101·7 +3·3	—20.4 —0·7	0·4	Brak spostrzeżeń barometr.	a) dni pogod. przy zachm. 0—1, i temper. w słońcu od 11 do 25 C. . . . . 16. b) dni bez wiatru . . . . 14.
IV. 1—30. Średnia miesięczna	41·7 1·4.	193·6 6·5	30.1 1.0	2·9		a) dni pogod. przy zachmurz. 0—1 — temp. w słońcu od 10 do 30 C.. . . . . 17. b) dni bez wiatru . . . . 12.
V. 1—31. Średnia miesięczna	219·5 7·1	370·1 11·9	211·7 6·8	8·6	684·0	a) dni pogodnych przy zachmurzeniu . . . . 9. b) dni bez wiatru . . . . 7.
VI. 1—30. Średnia miesięczna	330·8 11·3	454·8 15·2	309·3 10·3	12·2	684·0	a) dni pogodnych przy zachmurzeniu 0—1 . . . . . 8. b) dni bez wiatru . . . . 7.
VII. 1—31. Średnia miesięczna	410·3 13·2	518·4 16·7	371.2 12·9	13.9	683·9	a) dni pogodnych przy zachmurzeniu 0—1 . . . . 10. b) dni bez wiatru . . . . 5. c) opadu atmosf. 183·2 m.
VIII. 1—31. Średnia miesięczna	346·9 11.2	476·6 15·4	336·4 10·9	12.5	686.3	a) dni pog. zachmurz. 0—1 4. b) dni z wiatrem silnym 4. c) „ „ „ słabym 27. d) opadu atmosfer. 295·6 mm.
IX. 1—30. Średnia miesięczna	194·6 6·5	388·2 12·9	23·01 7·7	9·0	683.9	a) dni pog. zachm. 0—1 12. b) w śred. siły wiał codz. c) dni wiatru halnego . . 3. d) opadu atmosfer. 790·0 mm.
Średnia roczna za czas 1. X. 1892 — 30· IX. 1893.				3·6	682·8	

sunkach klimatycznych środkowych Karpat, — pomieszczonej w Roczniku Węgiersk. Towarz. karpackiego. Niewielkie różnice w cyfrach tych dwóch wykazów, tem mniej mają znaczenia, że cyfry w broszurze Dr. Ponikły przedstawiają średnie dziesięcio-letnich spostrzeżeń.

Nie jest wprawdzie możebnem określenie liczebne, jakie wyniesienie nad powierzchnią morza byłoby z zasady koniecznem a nawet pożądanem dla stacyi klimatycznej górskiej, — poglądy klimatologiczne zdają się wskazywać, iż poziom tego wyniesienia pozostaje w stosunku odwrotnym do szerokości jeograficznej, tak, że w blizkości równika ziemskiego dopiero wyniesienie na 3.000 metrów odpowiada wymogom takiej stacyi; nie podlega również żadnej wątpliwości, jako rzecz udowodniona przez fakta, że w leczeniu pewnych chorób przewlekłych, mianowicie chorób płucnych a przedewszystkiem gruźlicy płuc, przy odpowiednich warunkach można otrzymać wyniki nietylko dodatnie ale bardzo pomyślne w stacyach klimatycznych, wyniesionych znacznie mniej niż na 500 m.; podobnie jak otrzymać je można i na nizinach w klimacie leśnym, stepowym; niemniej przecież, ażeby jakaś miejscowość posiadała te właściwości klimatu górskiego, które zdolne są, same przez się wywierać, na sprawy fizyologiczne ustroju ów wpływ bezpośredni a doniosły, jaki atmosferyczne zjawiska przyrody górskiej wywierają na takowe, — powinnaby, o ile to dotyczy strefy umiarkowanej kontynentu europejskiego, znajdować się na wysokości około 1.000 m., która choć sama przez się nie stanowi jedynej racyi bytu stacyi klimatycznej, jest jednak warunkiem niezbędnym istnienia w atmosferze zjawisk fizycznych stanowiących o istocie klimatu górskiego. W naszem podniebiu, na tej mniej więcej wysokości, na jakiej znajduje się Zakopane, występuje pełne działanie tych ośmiu czynników atmosferycznych, jakie powyżej wymieniłem. Przez przeciąg blisko dwóch lat spędzonych w Zakopanem, dla poprawy własnego zdrowia, miałem sposobność obserwowania owych czynników w przyrodzie, a niemniej i stwierdzić wpływ ich na pewną liczbę chorych.

Zmniejszona gęstość powietrza i mniejsze tegoż ciążenie, uwidocznione w ciśnieniu barometrycznem, które wynosi na powierzchnie morza 760 mm., w Zakopanem jest tak znacznie mniejszem, jak powyższa tabelka wykazuje; — zwykły u je-

dnostek wątłych albo już słabych powodować przez czas długi, w początku ich pobytu w pomienionych warunkach, potrzebę częstszych a mianowicie głębszych oddechów, co z jednej strony sprzyja dokładniejszemu przedostawaniu się do głębi płuc pożądanej ilości powietrza; — a z drugiej, z powodu czystości oraz większej prawdopodobnie sprężystości górskiego powietrza, oddziaływa dodatnio na istotę sprawy oddechowej i tejże wpływ na cały ustrój.

Też same czynniki atmosfery górskiej działają wzmacniająco na ruchy serca i obieg krwi, które zyskują na energii. Na podstawie przypadków spostrzeganych tu zarówno w ciągu dwóch lat ostatnich, jak i w ciągu poprzednich kilkunastu, w których corocznie kilka miesięcy letnich spędzałem w Zakopanem, stwierdzić mogłem stanowczo, że u jednostek usposobionych do krwotoków płucnych, usposobienie to wcale niepowiększa się w Zakopanem, i to tem mniej mieć tu może miejsce, że średnie wyniesienie nie powoduje ani nadmiernego stopnia rozrzedzenia powietrza ani tegoż suchości, nieobojętnej dla sprawy oddechowej, albowiem powietrze oddechowe nasyca się w płucach parą wodną i im jest suchszem, tem więcej odciąga takowej z ustroju.

Czystość powietrza, jeden z najważniejszych czynników klimatu górskiego nie pozostawia w Zakopanem aż dotąd nic do życzenia. Skład żywiołu tego, zużywanego stale i w tak wielkich ilościach, powinien dawać rękojmię, że zawiera składniki prawidłowe i w stosunku prawidłowym, oraz iż wolnym jest od czynników chorobotwórczych i bezpożytecznych przymieszek mogących szkodliwie oddziałać. Na wniosek Dra St. Ponikły, Wydział Tow. tatrzańskiego, zarządził zbadanie tegoż powietrza pod względem bakteryologicznym, a sprawozdanie pomieszczone w Pamiętniku Tow. tatrz. za rok 1892, z wyników do jakich w odnośnych poszukiwaniach doszedł Dr. L. Kryński, który badał powietrze w pięciu dosyć od siebie oddalonych miejscach, są bardzo pomyślne. W czterech miejscowościach znalazł on tylko minimalne ilości drobnoustrojów, a co najważniejsze nie znalazł żadnych grzybków chorobotwórczych. Bardzo jeszcze małą ale względnie już znacznie większą ilość bakteryj, obojętnych dla ustroju ludzkiego, znalazł w powietrzu na Krupówkach, w okolicy Dworca tatrzańskiego, a nadto znalazł tamże ropotwórczego gronkowca bia-

łego. Stanowi to ważną przestrogę i wskazówkę, albowiem ta właśnie część gęsto zabudowanych Krupówek nie odznacza się, — w ciągu lata mianowicie — porządkiem, pod którym to względem przewyższa ją jeszcze okolica starego kościoła. Badanie jednorazowe jest jednak niedostatecznem, — musi ono być powtarzanem, a mianowicie przedsiębranem w różnych porach roku, coby powinno stanowić w przyszłości jedno z zadań komisyi klimatycznej.

Pod wpływem czynników atmosferycznych klimatu górskiego, u osób niedokrwistych, osłabionych, oraz dotkniętych zawiązkiem choroby przewlekłej, zagrażającem przejściem w cięższą takowej postać, następuje wcześniej lub później, ale prawie powszechnie zwiększenie łaknienia, sprawności narządu trawienia i przyspieszenia przemiany materyi. Spostrzegając w Zakopanem prawie stale dwa pierwsze z wymienionych objawów, byłbym skłonnym przypisywać je wpływowi pomienionych czynników na zakończenia nerwów obwodowe, zwiększonej energii oddechu i krążenia a wreszcie używaniu większego ruchu.

Ponieważ na tem wyniesieniu nad powierzchnię morza, w jakiem znajduje się stacya klimatyczna w Zakopanem, promienie ciepła słonecznego, z przyczyn poprzednio wymienionych, są więcej grzejące, powietrze zimne jako cięższe opada ku nizinom, a ku górze promieniuje zawarte w niem ciepło słoneczne; ponieważ poruszenia atmosfery podczas miesięcy zimowych od połowy października do końca marca są w ogólności bardzo nieznaczne, przeto zgodnie z temi przesłankami i zgodnie z powyższą tabelką wykazującą, że podczas zimy więcej niż połowa dni była zupełnie pogodnych i bez wiatru, w których temperatura w słońcu wynosiła 20° C., osoby bardziej osłabione mogły przebywać po kilka godzin dziennie na werandach oszklonych, dających się przewietrzać, a silniejsze, do których zaliczam sporą liczbę dzieci niechorych lecz wątłych lub zagrożonych, mogły odbywać spacery w stosunkowo lżejszych ubraniach.

Stałe obniżanie się temperatury ogólnej powietrza i powierzchni ziemi, a w miarę wznoszenia się terenu nad poziom morza, powoduje, że już na tej wysokości, na której znajduje się stacya klimatyczna w Zakopanem, zima bywa corocznie trwałą i śnieg pokrywa ziemię stale grubą warstwą. Sprowa-

dza to tę korzyść, że nie ma owych przykrych i szkodliwych dla zdrowia zmian, jakie w strefie umiarkowanej mają miejsce na nizinach, tudzież, że powietrze zawierające mało opadów jest dostępniejsze dla promieni słonecznych, których siła świetlna i grzejąca wzmaga sie i przez to, że śnieg jako zły przewodnik ciepła przeszkadza pochłanianiu takowego przez ziemię. W ciągu dwóch lat ostatnich, miałem sposobność zrobienia zajmujących spostrzeżeń nad charakterem zimy tutejszej. W roku 1892 na 1893 na nizinach naszych zima była bardzo ostrą, a ogólnie panujące przy mrozach wiatry wzmagały niepomiernie jej surowość. W Zakopanem nie była ona wcale surową, bo jak wykazuje powyższa tabelka, średnia temperatury w ciągu pięciu miesięcy zimowych: w listopadzie, grudniu, styczniu, lutym i marcu, wynosiła 7·3° C, przez 75 dni zupełnie pogodnych nie było żadnego wiatru, i było w tymże przeciągu czasu tylko 6 dni takich, w których temperatura rano i wieczór obniżała się do -25° C. W ciągu ostatniego roku, na nizinach nie było prawie zupełnie zimy, w jej meteorologicznem znaczeniu, odpowiedniem naszemu podniebiu. W Zakopanem była ona łagodną, ale od połowy grudnia trwała bez przerwy do początku marca, przez który to przeciąg czasu ziemia pokrytą była grubą warstwą śniegu, a stosunek dni pogodnych i bez wiatru był jeszcze korzystniejszy jak podczas poprzedniej zimy. Wyniki spostrzeżeń zebranych w stacyi meteorologicznej Muzeum tatrz. w Zakopanem będą mogły zostać zużytkowanemi dopiero w końcu b. r. Niezmiernie ważny czynnik klimatyczny na Podhalu tatrzańskiem stanowi łagodne stopniowe przejście od zimy do wiosny, jakie miewa tu stale miejsce i jakie też spostrzegałem przez ubiegłe dwa lata w Zakopanem. Z powodu średniego stopnia wyniesienia doliny Zakopańskiej, i że północny stok Tatr polskich zwróconym jest w stronę takowej, nie ma tu wcale okresu gwałtownego topnienia śniegów w górach i wszystkich takowego przykrych następstw. Niema tu okresu czasu, któryby zmuszał tych, co przepędzili tu zimę, spiesznie wyjeżdzać przed wiosną i nie pozwalał, aby niepotrzebujący lub niemogący tu zostać przez wiosnę, nie mieli wybrać na wyjazd momentu dla nich dogodnego i odpowiedniego. Nikt nie potrzebuje uciekać przed owemi ostremi wiatrami, spowodowanemi topnieniem śniegów w Alpach, będą-

cemi postrachem wyniosłych stacyj klimatycznych w Szwajcaryi. Powyższa tabelka wykazuje np., że w roku poprzednim miesiące marzec i kwiecień były bardzo pogodne i spokojne; — w roku bieżącym uwydatnił się ten ich charakter w niezmiernie wyższym jeszcze stopniu.

Ze względu na ukształtowanie powierzchni zewnętrznej i geologiczny układ doliny Zakopańskiej, oraz na otaczające ją tereny, pomieszczenie stacyi klimatycznej w tejże dolinie przedstawia dla jej zadań jak najkorzystniejsze warunki. Gubałówka, ciągnąca się wzdłuż całej doliny, zasłania ją od wiatrów północnych, które też niezmiernie rzadko odczuwać się tu dają, a tylko w wyższych strefach można je rozpoznawać po ruchu obłoków. Szerokość tej doliny przyczynia korzyści z tych względów, że pozostawia obszerny zakres swobodnemu ruchowi powietrza, który sprawia, że wszechstronny napływ świeżego i czystego powietrza zastępuje zużyte lub kurzem przejęte warstwy tegoż, zbierające się w przestrzeniach gęściej zabudowanych i we wnętrzu pomieszkań, tudzież, że rozległość powierzchni ziemi i przestrzeni powietrza, ogrzanych promieniowem ciepłem słońca, podtrzymuje wyższą temperaturę stacyi klimatycznej przez zimę podczas pogodnych godzin słonecznych, w lecie przez całą dobę. Ponieważ z wyjątkiem pewnych miejscowości, tworzących na podstawie ilastej, złogi torfowe, które deszcz dłuższy zamienia w grzęskie błoto w całej zresztą dolinie, wyniosłości i zagłębienia, stanowią na kilka metrów głęboką warstwę grubego żwiru oraz małych i większych okrągławych kamieni granitowych, które w ciągu wieków naniosła tu woda z gór spływająca; — przeto grunt, na którym istnieje stacya klimatyczna przedstawia rodzaj sita z dużemi przestworami, co sprawia, że zarówno opady atmosferyczne jak odpadki mające treść płynną, przebijają głęboko pod powierzchnię gruntu — nie ulegając filtracyi w właściwem jej znaczeniu, i dlatego zanieczyszczenie gruntu odbywa się może o wiele powolniej, niż w innych warunkach musiałoby to mieć miejsce.

Najniższe stoki Tatr, zwane tutaj Reglami, oraz południowa powierzchnia Gubałówki pokryte są lasem prawie wyłącznie iglastym, który nadto pokrywając część doliny, z kilku stron dosięga stacyi klimatycznej oraz zajmuje pewne jej tereny. Nadaje to stacyi górskiej zarazem charakter leśnej stacyi.

Stosunek ten wywiera wpływ doniosły na skład powietrza, a nadto nadaje całej dolinie Zakopańskiej niezrównanie piękny i ożywiony wygląd, który podczas zimy potęguje się niezmiernie, bo śnieg leżący na wzgórzystej i zawsze zielonemi drzewami pokrytej powierzchni ziemi przedstawia tak barwną i żywą grę światła i różnych jego odcieni, że tworzy obraz wręcz różny od smętnego obrazu zimy na nizinach, gdzie jednostajnie płaska powierzchnia śniegu jako całun śmiertelny pokrywa rozległe pola.

O stanie zdrowotnym ludności miejscowej, który przy ocenie stacyj klimatycznych tak powszechnie i słusznie branym jest pod uwagę, to przedewszystkiem należy powiedzieć, że wobec niejednokrotnie silnie ujemnych warunków hygienicznych w jakich pozostaje ta ludność (o czem przekonać się można zwiedzając mieszkania bardzo nawet zamożnych włościan tutejszych, którzy posiadają wcale pokaźne domy, wzniesione dla wynajmu gościom, sami z rodzinami, zwykle licznemi, mieszkają w ciemnych, dusznych i małych a zwykle pojedynczych izbach), wobec bardzo niedostatecznego sposobu żywienia się tej ludności, podziwiać trzeba w niej energię siły żywotnej, odporność na szkodliwe dla zdrowia wpływy zewnętrzne, a wreszcie długowieczność bardzo często spotykaną tu mianowicie wśród mężczyzn. Wśród ludności Zakopańskiej, wyznania rzymsko-katolickiego, liczącej 3.300 osób, średnia śmiertelność roczna w stosunku 1.000 mieszkańców, przez przeciąg 5 lat ostatnich wynosiła przeciętnie 25 9; więcej jak połowa śmiertelności obejmuje zgony dzieci poniżej 2 lat. W pomienionym przeciągu czasu wśród ludności miejscowej parafii zmarło na gruźlicę płuc tylko 5 osób, z których jak mi to okazały szczegółowe wywiady, 2 były odziedziczone po matkach przybyłych tu z gruźlicą z dalszych okolic kraju, zaś 3 zaszły pojedynczo w rodzinach zupełnie zdrowych. Charakterystycznemi dla zdrowotności są również objawy, że pomimo wieloletnich obserwacyj i wywiadów u ludzi tutejszych i na dłuższy czas ztąd się nie wydalających nie zdarzyło mi się spotkać zakażenia zimniczego, czyli t. z. malaryi, pomimo, że pracują prawie wyłącznie w roli i na łąkach; oraz że do prawdziwych rzadkości należą przypadki zapalenia płuc.

Pod względem stopnia cywilizacyjnego i gospodarczego rozwoju, wydać można stacyi klimatycznej w Zakopanem do-

syć wprawdzie korzystne świadectwo, mianowicie gdy się wezmie to pod uwagę, że ze względu na okres czasu jej istnienia jest ona stanowczo jednym z najmłodszych tego rodzaju zakładów leczniczych w Europie; niemniej jednak przyznać trzeba, że pod względem tegoż rozwoju nie dorównuje ona swoim rówieśnikom, że pozostaje tu jeszcze otworem pole dla bardzo korzystnego, jak sądzę, zużytkowania pracy inteligentnej i kapitału. Stosunki handlu nie pozostawiają nic do życzenia, dzięki kierunkowi, jaki mu nadała zawiązana przed kilku laty »Spółka handlowa«, wzorowo prowadzona i rozwijająca ciągle swą działalność. Miejscowi właściciele gruntów pobudowali już dużo domów, w których mieszkania letnie zupełnie odpowiadają przeznaczeniu swemu, nadto zaś ludzie postronni wznieśli kilkadziesiąt domów, przeznaczonych na użytek przyjezdnych, w których urządzenia czynią zadosyć wszelkim średniego komfortu wymogom. Niezmierne usługi oddają i oddawać będą t. zw. pensyonaty, których dotąd istnieje 4 mianowicie: Dr. Chwistka, pani Jordanowej, pani Maxwal i pani Mizerskiej, a które pod względem czystości, ozdobnego urządzenia i zalet kuchni, prawie przewyższają tego rodzaju zagraniczne zakłady, bo zapewniają tak podczas lata, jak w zimie, takie wygody, jakie odpowiadają sposobowi utrzymania w dostatnich domach naszego kraju. Domy zaś pojedyncze, wynajmowane na zimę, powinnyby poddane być zbadaniu i kontroli, gdyż znaczna ich liczba nie jest zaopatrzoną i urządzoną odpowiednio przeznaczeniu swojemu, polegającemu na tem, aby dom ze wszech stron był przystępnym działaniu promieni światła słonecznego, aby podczas mrozów mógł być przewietrzanym — oraz zdolnym utrzymać w mieszkaniu temperaturę niepodlegającą nadmiernym wachaniom.

*　　*
*

Statut obowiązujący stacyę klimatyczną w Zakopanem określa, że czas trwania t zw. sezonu kuracyjnego, obejmuje przeciąg roku od 1-go stycznia do 31-go grudnia. To określenie oparte jest na zasadzie ze wszechmiar słusznej, bo na uznaniu, że stacya spełnia swe zadanie, przez wpływ jej klimatycznych czynników, istniejących przez cały rok. Niemniej jednak ze względu na to, że w społeczeństwie naszem wyrobiły się potrzeba i upodobanie, skutkiem których liczne ro-

dziny, względnie zdrowe, zjeżdżają do Zakopanego celem przepędzenia lata w doskonałych klimatycznych i hygienicznych warunkach pokrzepiających stan ich zdrowia; ze względu, że stosunki osobiste skłaniają pewne jednostki i pewne rodziny, mianowicie stale mieszkające po wsiach, po przepędzeniu tu zimy, na lato powracać do domu; ze względu, że lekarze znajdują poszczególne wskazania do polecania pacyentom kuracyj w stacyi klimatycznej górskiej, tak w ciągu zimy, jak i podczas letnich miesięcy; nareszcie ze względu, że istnieje poczet chorób przewlekłych, którym odpowiadają kuracye krótko trwałe, a dla tych przeprowadzenia najwłaściwszemi są miesiące letnie; a są znów choroby, które wymagają długich czasem kilkoletnich kuracyj, — z tych wszystkich względów, z biegiem czasu wyrobił się i prawie ustalił w Zakopanem zwyczaj rozróżniania sezonów zimowego i letniego, — obok czego istnieje tu jednak częściej niż gdzie indziej pobyt całoroczny i dłuższy.

Jakkolwiek czynniki klimatyczne górskie w stacyi Zakopańskiej, tak podczas zimy jak w ciągu letnich miesięcy przedstawiają doniosłe zalety lecznicze i odpowiednie zakresy działalności leczniczej, — to jednak pogląd mój, oparty na dłuższym tu pobycie, skłania mię stanowczo do orzeczenia, że zalety tej górskiej stacyi występują na jaw w ciągu zimy w wyższym stopniu. Zdaniem mojem pewna dosyć znaczna część chorych przybywających i przebywających tu podczas lata, powinnaby być skierowaną — że wymienię tylko najbliższe zdrojowiska do Rabki, Szczawnicy, Krynicy, Iwonicza i dopiero po przeprowadzeniu kuracyi, popartych temi dzielnemi środkami leczniczemi jakiemi rozporządzają odnośne zdrojowiska oraz działalność lekarzy specyalistów, udawać się lub powracać, o ile jest to dla nich możebnem, na krótszy lub dłuższy pobyt do Zakopanego. Czy kuracya klimatyczna górska ma być podjętą w porze letniej, zimowej lub trwać rok cały a nawet i dłużej, istnieją z punktu widzenia lekarskiego niewątpliwie i ściśłe wskazania, i lekarz, ordynujący takową, nie waha się w określeniu tego w miarę jak stosunki osobiste, w jakich się pacyent jego znajduje, pozwalają temuż zadosyć uczynić wymogom leczniczym.

Do leczenia w porze letniej, podczas której stacya Zakopańska przez swoje geograficzne położenie i średni stopień wyniesienia nad powierzchnię morza, przedstawia wszystkie

najpomyślniejsze klimatyczne warunki, oprócz tych spraw chorobowych, w których wskazanym jest pobyt całoroczny lub dłuższy; oprócz stanów pozornego zdrowia a zwątlenia spraw fizyologicznych ustroju, którym pobyt przez czas letnich miesięcy przysparzać zwykł energii; nadaje się przedewszystkiem ów liczny poczet różnorodnych chorób przewlekłych, a mianowicie: narządu trawienia, opartych na tle osłabienia nerwowego, powodujących zubożenie krwi i upośledzenie odżywiania, oraz niektórych zmian organicznych lub czynnościowych w narządach oddechu, krążenia krwi i ośrodkach układu nerwowego, — które to choroby odpowiadają zakresowi skutecznej działalności tutejszych wodoleczniczych Zakładów. Jakoż jeżeli to ogólne uznanie, jakiego używa Zakład Dra A. Chramca, zarówno wśród społeczeństwa jak i świata lekarskiego polskiego, zawdzięcza on rozumnej działalności kierownika swojego i tegoż usilnym staraniom o zadosyćuczynienie tak leczniczym jak i dyetetycznym zadaniom zakładu, oraz prawdziwie humanitarnemu poczuciu obowiązków nieodłącznych od tego rodzaju stanowiska; to niemniej pewną zdaje się być rzeczą, że działalności Zakładu leczniczego owe korzystne czynniki klimatyczne, które otaczają tutejsze wodolecznicze zakłady, niemało przysparzają pomocy do osiągania pomyślnych wyników kuracyi. Kąpiele w graniczącej z Zakopanem Jaszczurówce, odległej o 1½ kilometra od granicy stacyi klimatycznej, udzielają tejże doskonałej pomocy, leczniczej podczas sezonu letniego.

Obfity zdrój obojętny, ciepły ma +20·4° C. (acrathotherma) zawierający dosyć obfite bańki gazu o ile wiem azotnego, jest jedyną cieplicą na obszarze ziem polskich; a kąpiele w łazienkach nad tym zdrojem urządzonych, stanowią cel upragnionych pielgrzymek gości zakopańskich. Urządzenie budynku kąpielnego, obecnie dosyć prymitywne, nie chroniące przed i po kąpieli od wiatru, a podczas takowej od deszczu, pozwala stosować te kąpiele, działające pobudzająco na zakończenia nerwów skóry, tylko w czasie pogody i ciepła u osób względnie odpornych, przy osłabieniu nerwowem i zależnych od tegoż w niektórych zaburzeniach w narządzie trawienia i w składzie krwi. Gdyby jednak do tego co już zdziałał w Jaszczurówce obecny jej właściciel, i za co należy mu się rzetelnę uznanie, albowiem poprzednio było tu zupełne pustko-

wie, został wzniesiony odpowiedni budynek kąpielowy, mieszczący pod dachem szklannym baseny i gabinety, czyniące zadosyć wymogom wodoleczniczym; gdyby znajdowała się dostateczna ilość domów mieszkalnych z komfortem urządzonych i należycie obsługiwanych, odpowiednie zakłady restauracyjny, mleczny i handlowy; gdyby chodniki szerokie, dla krążenia po zakładzie i dla przechadzek po otaczającej takowej uroczej miejscowości, zostały w ilości odpowiedniej wytworzone i utrzymane; — nie możnaby wątpić, że zakres wskazań leczniczych dla tych kąpieli rozszerzyłby się znacznie, a sama Jaszczurówka zajęłaby z czasem to samodzielne stanowisko, jakie się jej należy wśród zdrojowisk krajowych. Do wyrobienia takiego stanowiska będzie niezbędnem posiadanie stałego lekarza zdrojowego.

Zamiast wyliczania spraw chorobowych, w jakich na podstawie ogólnych zasad naukowych wskazanym jest pobyt w ciągu miesięcy zimowych, a względnie i dłuższego czasu w stacyi klimatycznej górskiej, jako zakładzie leczniczym; zdaje mi się właściwszem ograniczyć się na wymienieniu takich w jakich ze spraw pomienionych miałem sposobność stwierdzić w ciągu spędzonych tu w Zakopanem dwóch lat ostatnich wyniki dodatnie osiągnięte z pobytu w tutejszej stacyi klimatycznej — wyniki, które oceniłem przedmiotowo bez optymizmu, często napotykanego.

Takich spraw mogę przytoczyć cztery rodzaje:

1. Gruźlicę płuc w jej początkowych okresach, u osób różnego wieku, dziedziczących usposobienie do tej choroby. W kilkunastu przypadkach wpływ częścią półrocznego, częścią dłuższego dopiero pobytu, był tak wydatnym, że badanie wykazywało zaledwie ślady, albo nie wykazywało żadnych zmian chorobowych w płucach. W kilku przypadkach dalej posuniętej sprawy gruźliczej płuc, stwierdziłem wstrzymanie się jej rozwoju, wydatną poprawę stanu ogólnego, nie dające jednak prawa wnioskowania stanowczego, o sposobie dalszego przebiegu choroby.

2. Brak odporności ustroju u dzieci wątle odżywianych, bądź tylko z natury wątłych, bądź dziedzicznie usposobionych do zapadnięcia na gruźlicę. Dzieci od trzech do dziesięciu lat wieku liczące, u których mimo najlepszych hygienicznych i dyetetycznych warunków domowych, przez szereg lat, podczas ich pobytu na nizinach, każde wychylenie się poza dom, w porze

zimowej przypłacanem bywało uporczywemi katarami oskrzeli, powtarzającemi się i bez takiej przyczyny, — w Zakopanem odbywały codziennie dłuższe spacery podczas mrozów w dnie słoneczne zupełnie bezkarnie. Poprawa odżywiania i rozwój stawały się uderzająco wydatnemi.

3. Bladaczka i niedokrwistość opierające się długo poprzednim zabiegom leczniczym — zmieniały w Zakopanem ten swój charakter. Wyleczenie z tych niemocy spostrzegałem tak podczas zimy jak i w miesiącach letnich, jeżeli tylko osoby dotknięte niemi nie robiły dalekich spacerów i wycieczek, które bez wyjątku pogarszały ich stan, co niestety, w ciągu wielu poprzednich lat — często miałem sposobność stwierdzać.

4. Zakażenia malaryczne opierające się leczniczym zabiegom, albo uporczywie powtarzające się na nizinach, — ustępowały tu łatwo i podczas pobytu w stacyi górskiej nie pojawiały się wcale albo po długiej przerwie występowały w formie dorywczej.

* * *

Jakkolwiek powyższy pogląd ogólny na stacyę klimatyczną w Zakopanem, z przyczyn udaremniających wiele z moich chęci, nie mógł przedstawić w sposób wyczerpujący znaczenia tej stacyi, nie wahałem się skreślić takowy, ażeby, dając go, zadosyć uczynić wezwaniu wydawnictwa Almanachu tatrzańskiego. Albowiem żywię przekonanie, że wydawnictwo to jest czynem pożytecznym, że stanowi postęp zarówno w Tatrzańskie jak w rozwoju tej stacyi. Przyszłość jej zależy też od tego czy znajdzie się dosyć ludzi chętnych i zdolnych do dalszej konsekwentnej i wytrwałej pracy, której potrzeba jeszcze na każdej piędzi ziemi tutejszej, a której wzoru nie potrzeba szukać gdzieindziej, bo z Kuźnic w Zakopanem przyświeca ona nawet poza granicę kraju naszego — pracy około zużytkowania darów Opatrzności, spoczywających w przepięknej przyrodzie Podhala i Tatr, które same przez się starczą do potwierdzenia słów wielkiego wieszcza naszego:

»Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie«.

Zakopane, w kwietniu 1894 r.

PIERWSZA
WYPRAWA ZIMOWA

PRZEZ

ZAWRAT

DO

MORSKIEGO OKA

przez

Jana Grzegorzewskiego.



Morskie Oko u schyłku zimy 1894 r.

Józek Trzebunia, Słomiak i Gustaw Rojana*) czekali oddawna w gotowości do zamierzonej przez Zawrat wyprawy mojej zimowej z wielkim ich samych zapałem i gotowością ponoszenia wszelkich trudów i niebezpieczeństw wraz ze mną. Pierwszy czarny, niski a wiotki góral z poczuciem etycznem i estetycznem smakiem wykształconem w szkole rzeźbiarskiej, trochę oportunista a refleksyjny iześrodkowany w sobie jest fizycznem a po części moralnem i umysłowem przeciwieństwem drugiego. Rosły, nie bez gibkości, a silnej muszkulatury o pięknym profilu sarmackim eks-ułan szalonej odwagi, szczery, popędliwy miarkuje często Gustaw gwałtowność swojej natury rozumianem po swojemu poczuciem honoru osobistego i góralskiego. Obadwaj rozmiłowani duszą i sercem w Tatrach, a wierni danemu słowu, podług wszelkich prawdopodobieństw i zapewnień ludzkich dawali zupełną rękojmię trafności ich wyboru.

Szło teraz o wybór pierwszorzędnego przewodnika. Kierować się nie chciałem i nie mogłem rozgłośną sławą tego lub owego, lecz bardziej względami na wolę nieprzymuszoną wybranego i bliższem własnem badaniem przymiotów niezbędnych do tak trudnego przedsięwzięcia. Ktoby spojrzał tylko powierzchownie na nikłą postać cichego o błękitnych, poczciwych oczach i płowych włosach Bartka Obrochty, czy to chodzącego drobnym krokiem obok młyna swego na Krupówkach, czy na portrecie Ajdukiewicza**) ze skrzypkami w ręku, ten by widział w nim raczej rzewnego i tkliwego Jontka (mimo czterdziestki jego) lub pierwszego po Sabale improwizatora i grajka tatrzańskiego, niż materyał na jednego z najdzielniejszych górali. Brak wszelkiej blagi, a przytem prostota i szczerość

*) Studentowicz.

**) Znajdującym się na Jordanówce.

w nim niezrównana, osłonięta przejrzystym rąbkiem ostrożności zwróciła nań moją uwagę i pozwoliła niebawem odkryć w nim po za pozorną bojaźliwością wysoki stopień inteligencyi i rozwagi połączonej ze stanowczą determinacyą. Gdy zapytani o opinię inni nie mieli nic krom słów pochwały dla niego, postanowiłem stanowczo powierzyć mu przewodnictwo techniczne wyprawy.

Że pełni księżycowej, potrzebnej nam na wszelki wypadek nocnych przepraw, pozostawało tylko dni parę, a znanego mi malarza krakowskiego wraz z barometrem podróżnym nie miałem nadziei oglądania, uznałem niepodobieństwo dalszej zwłoki i w piątek 19 stycznia wyznaczyłem dzień następny w porze południowej jako nieodwołalny termin wymarszu, zapewniwszy się poprzednio na barometrze o znośnym stanie atmosfery i zleciwszy surowo wszystkim trzem moim towarzyszom góralskim zachowanie ścisłej tajemnicy o kierunku wyprawy aż do ostatniej chwili, aby uczynić ich wolnymi od wszelkich postronnych wpływów zniechęcających.

Należało pamiętać o wszelkich drobiazgach niezbędnych w tych bezludnych a zimnych przestworach, wśród których stopa ludzka nie stąpała, począwszy od wiązki suchych szczap smerekowych do rozpalania ognisk, tudzież pochodni i rakiet, a skończywszy na świecach łojowych, dratwie, niciach, igłach, linach i linewkach ratunkowych i t. d. Przy pakowaniu juków torbowych zapomniało się o pedometrze, łaskawie mi ofiarowanym przez dyrektora Dra Chramca, a aparat fotograficzny jedynie możliwy do dźwigania przy naszych siłach ograniczonych, okazał się w ostatniej chwili nie do użycia; natomiast wziąłem z klimatyki aneroid i termometr Reaumura z tem, że jednocześnie z mojemi w górach będą też obserwacye trzy razy dziennie prowadzone w zakładzie przez p. B. pod kierunkiem dyrektora Chramca. Gdy się do tego doda chleb i zapasy żywności dla czterech osób na dni trzy wraz z flaszkami różnych napojów, obuwie, bieliznę, odzienie, naczynia i kociołki do warzenia strawy, to waga każdego juku góralskiego w torbach przenosiła pół centnara.

Biła godzina trzecia po południu w sobotę dnia 20 stycznia, gdy pożegnany przez Zakład Chramcówek i odprowadzony przez dwóch onego gości pp. D. i Z. na Krupówki, kroczyłem tym bulwarem zakopiańskim ku piętrzącym się dumnie przed

nami profilom olbrzyma tatrzańskiego. W przeźroczu powietrza zaległa cisza i spokój wesoły. Z bladych szafirów nieba zniżające się słońce ku Gewontowi zalewało resztką olśniewających blasków topazu całe pasmo bielejących wierchów i szarzejących turni od Osobitej ku Koszystej, gubiło się niżej po pochyłościach szmaragdowych regli, przeglądało ciekawie przez szczeliny gąszczy smerekowych i padało płatami lub smugami świetlanemi na usłaną śnieżnym kobiercem drogę naszą. Poprzedzający mię po niej trzej górale z Obrochtą we środku, mającym przewieszoną przez plecy jako strażnik tatrzański rusznicę, wynurzając się z cieniów gąszczy i przechodząc raźnie po owych ścieżkach, wyglądali w swych przerzuconych przez ramiona czuhach białych jak świetlana straż rycerska, spiesząca na zdobycie onych pławiących się zdala topazowych zamków Tatr.

Z domów i willi wychylały się ku nam wesołe i uśmiechnięte twarzyczki dzieci, a przechodzące mimo gromady górali lub gości spacerujących, z ciekawością i zdumieniem spoglądały na wyprawę górską pod noc zimową.

Przechodząc obok Jordanówki, widzimy wychylające się z głębi podwórza liczne grono pań i panów na przechadzkę wieczorną.

— Dokąd Pan?

— Na Zawrat do Morskiego.

— Jakto? Czy na seryo? I sam jeden?

— Jak państwo widzą — z trzema góralami.

— Ale to być nie może, nikt więcej?

— Przed tygodniem była mowa o tem, że panie pojadą przez Bukowinę i zejdziemy się w Rostoce.

— Myśmy myślały, że pan żartuje.

— Więc pożartujmy dziś, jeżeli łaska, przy ognisku nad stawami Gąsienicowemi.

— Odprowadzimy was przez noc do Gąsienicowych — rzucił ktoś z obecnych

— Idziemy do Czarnego na noc razem, — dodano.

— Do Czarnego Stawu, do Czarnego, do Czarnego! — ozwały się zewsząd głosy chóralne, przechodząc okrzykiem donośnym w jedno hasło entuzjastyczne, elektryzując zapałem całe towarzystwo osób kilkunastu, odbijając się echem w najdalszych zakątkach willi i budząc w przechodniach lub w sąsiednich domo-

stwach ciekawość, lub popłoch. Ogień błyskał w oczach nawet zamglonych, rumieniec występował na twarze bledsze, ręce w żywości ruchów rwały się wzajem do uścisku, a piersi wyrzucały raz po raz to kaskady okrzyków uniesienia, to słów radości i energii, przelewających się rzutami śmiałemi od jednego do drugiego. W niespełna minutę czasu myśl gorączkowa, zapalna, febryczna przeszła w mocne i niezłomne postanowienie czynu, możliwe tylko w naszej zapalnej, skorej do czynów naturze, zwłaszcza wobec majestatu piękna tatrzańskiego i pod ożywczem, podniecającem siły i energię powietrzem zakopańskiem. I pomyśleć: kogo ono bardziej podnieca i rwie w krainę cudów — kobiety nasze czy mężczyzn?...

— Ty, Józiu, pójdziesz z nami do Czarnego Stawu, nieprawdaż?

Do dwudziesto-letniego młodzieńca, przybyłego poraz pierwszy na dni kilka w Tatry, ozwała się jego przybrana matka i tejże siostra.

— Pójdę! — szepnął młody człowiek, wodząc pytającym wzrokiem po obecnych i chwytając zwolna wibracyę głosów serdecznych w tonie wykluczającym przeczenie.

— Pan Jozef pójdzie, pójdzie... Ty, Józiu, pójdziesz z panem do Morskiego Oka, wszak to jedyna dla ciebie sposobność, — dźwięczały znów głosy pragnących świadectwa męzkości.

— Pójdę! — odrzekł politechnik z determinacyą.

Starszy o lat kilka p. B., pełen humoru, utalentowany komik, któremu dla wątłości zdrowia lekarze wskazali oszczędność i powolność ruchów, a wzbronili wychodzić po zachodzie słońca, wcale nie czekał wezwania dam, lecz do gromady zbornej biegł już chyżo, niosąc w jednej ręce serdak, a w drugiej olbrzymi turystowski kij bambusowy.

Wyznaczyłem godzinę jednę do przeprowadzenia wszelkich przygotowań dla tak raźnie zaimprowizowanej drużyny — przeciąg czasu zbyt mały dla refleksyi i ostygnięcia zapału, gdyby się nawet godziło przypuszczać, że wśród towarzystwa znajdzie się jednostka zdolna do obniżenia temperatury tego zapału. Na Jordanówce tedy zakipiało ruchem niezwykłym, pulsacyą życia gorączkową. Posłaliśmy po nowy zastęp czterech górali dla naszej straży. Przybyli dwaj pierwszorzędni przewodnicy, jeden drugorzędny i czwarty z po za ich sfery. Panią J. prosiłem o zlustrowanie ciepłego spodniego odzienia

u pań, a górali wezwałem do obwijania nóg wszystkich uczestników wycieczki w zgrzebne płótno po wierzchu sukiennych kapców, obutych wprost na ciepłe skarpetki lub pończochy — takie jakie sam miałem. W braku pod ręką płótna, brało się zwykłe wory i z rozciętych na dwoje, każdą połową obwijało się stopę i całą nogę aż do kolana obwiązując dokoła szpagatem mocno ale w ten sposób, aby pozbawiona sztywności skórzanego obuwia a zabezpieczona od zimna, śniegu i wilgoci, miała jednocześnie czucie w palcach i całą gibkość a swobodę muszkułów — środek, do którego przywiązywałem wielką wagę w powodzeniu całej wyprawy. Co do reszty ubrania brało się lżejsze niż się zwykle nosi przy takiej samej temperaturze w dolinie, z zapasem wszakże luźnym serdaków i szalów do okrycia się w górach po zgrzaniu pochodem i na przystankach. Zapas ten szedł do juków góralskich wraz z odpowiednią ilością koców na noclegi i wszelkiego rodzaju prowiantami, znajdującemi się w rozporządzalności Jordanówki.

Pośpiech toalety damskiej, ruch sanek rozesłanych w różne strony, bieganina służby, nawoływanie górali, brzęk szklanek i talerzy, zakłopotanie gospodarzy, chichot i śmiech wesoły drużyny wycieczkowej — zlewały się w jeden hałas gwarny, donośny, pełen zamętu i zamieszania.

Cztery najmłodsze, wątłe 15—16 letnie panienki (Zosia, Mańcia, Helcia, Żencia), powierzone przez nieobecnych rodziców bezpośredniej macierzyńskiej opiece zakładu hr. Z. lub pani J . . . . . . i wykluczone stanowczo już w pierwszej chwili od udziału w wycieczce — oczętami perlącemi się w łezkach żalu słały swe skargi spowijającemu się w złoto i purpurę Gewontowi lub porywane potokiem ogólnego zamętu i zapału biegały z kąta w kąt i trzepotały jak ptaszęta, spoglądające z wnętrza gniazda za odlatującymi w bezmiar przestrzenny powietrza rodzicami, albo wreszcie wibrowały na jednem miejscu jak wiewiórki uwięzione w klatce kołowej.

Wszystkie bez wyjątku panie zapomniały o trzynastce, która się złożyła na nasz personal wycieczkowy, a troskliwa o los swej kolonii pani J . . . . . . została tak nagle zaskoczona całą awanturą, że formalnie nie miała czasu na powzięcie i postawienie swojego veto przeciw uzdolnieniu wycieczkowemu tej lub owej jednostki; porwana szalonym wirem zapału wraz z nieśmiertelnym swym płaszczykiem de la Regence, niemal

upadała pod brzemieniem co raz to nowych wymagań turystowskich i zaledwo pod koniec zdołała z okiem mgłą zwilżonem polecić pieczy naszej każdego z kolonii, nie wyłączając swojej Anulki (nb. najzdrowszego i najwspanialszego okazu z całej naszej drużyny, nie wyłączając mnie i Gustawa).

Nareszcie przygotowania ukończono i z zapadającym mrokiem wieczornym troje sanek z zapełnionym po brzegi ludem mknęło kuligiem szalonym po śnieżnym do Hamrów gościńcu wśród śmiechu, gwaru i pieśni wesołej. Ciemnoszafirowe, głębokiego, zimnego tonu niebo, gdzie niegdzie skrzące gwiazdami, zamykało się przed nami w lesie kuźnickim złomami Nosala i Kopieńca, jako przedmurzem wielkiego trzonu tatrzańskiego, roztwierając się tylko zwolna wązkim białym szlakiem zimnym, nad którym górale, uczepieni jedną ręką i nogą sanek naszych, a zawiśli w powietrzu całemi postaciami z toporkami w rękach i w kapeluszach zdobnych szkrzydłami piór sójczych, wyglądali każdy jak Merkury, posłaniec bogów, wiodący nas ku podwojom królestwa cieniów i świateł.

W Kuźnicach w natłoczonej przy kończącym się tygodniu góralami gospodzie uzupełniliśmy zapasy naszej żywności i napojów. Panie musiały wypić po półkieliszku czystej okowity, a my z góralami — podwójną porcyę tejże; nie pijący alkoholu musieli się zadowolnić piwem lub winem. Około godziny szóstej, odprawiwszy konie, ustawiliśmy się w szyjce doliny Bystrego po za kładką do rozpoczęcia wędrówki pieszej. Pochód otwierał Bartek Obrochta, za nim Gustaw i Józek dla torowania drogi, dalej pani D . . . . panna Stanisława P. i panna Anna z dwoma góralami do straży w towarzystwie pp. B. i Józefa D. Pochód zamykałem sam z dwoma za sobą góralami. Nie obeszło się na razie bez wesołych przeciw porządkowi protestów tych, którzy pragnęliby odmiennego szyku towarzyskiego; ale bez przekonania się o stanowczem bezpieczeństwie drogi, postanowiłem w porządku wskazanym trzymać się surowo szyku gęsiego. Gustaw wstrząsnął ciupagą powietrze i barytonem swoim pociągnął pieśń opryszkową:

Biły się cygany
Na dolinie..
Biły się cygany
Na dolinie..

Nie bijcie się,
Pogódźcie się.
Ma cyganka długie włosy:
Podzielcie się.

My za nim chórem, i tak z pieśnią na ustach, zwróceni na południowy wschód, wszedłszy w gęstwinę lasu, zaczęliśmy się wspinać na wzgórza boczańskie. O pokrytych warstwą śniegu perciach mowy być nie mogło, więc Obrochta wybrał drożynę połogą dłuższą, nieco utartą sankami górali, jeżdżącymi tamtędy po smereczynę. Łatwość posuwania się naprzód, lekkość i rzeźwość w nogach przy łagodnej temperaturze powietrza — 3° R., a mniejszem o 8 od zakopiańskiego ciśnieniu onego przyśpieszały krok niemal po nad zwykły miarowy na przechadzkach. Przebiegłszy naprzód i wstecz cały sznur naszej drużyny wędrownej i poleciwszy góralom czuwanie nad nią, przystanąłem z tyłu o kroków kilkanaście i zszedłszy z drogi wstąpiłem na przełaj w gęstwinę lasu. Księżyc od kwadransa wychylił się zwolna het gdzieś z po za szczytów wschodnich Murania i wznosił się majestatycznie po nad Tatrami. Otrząśnięte z opadłego dawno śniegu kiście puszyste drzew odsłoniły między ich liśćmi i konarami szczeliny i oczka jakby gęstej na pół przejrzystej siatki, przez które przedzierały się świetlane smugi księżycowe, całowały nieśmiało stopy wyniosłych jodeł a świerków i spokojnie a cicho słały się po ziemi spowitej białą oponą. Po za mną o setki staj w dolinie kipiało może życie całym warem dojrzałych namiętności, przedemną u góry gdzieś z zamrocza wieków kryła się drzemiąca tajemnicza groza śmierci zastygłego po lodowcach olbrzyma, — a tu między niemi jak w zaraniu życia przesunęło się pasmo pośrednie cichej marzącej wibracyi półjawu. Ani jedna gałązka nie drgnęła szelestem, ani jeden atom śniegu nie zadrżał szmerem obcym. Czułeś oddech tylko, jeno bicie własnego serca. I stał ten las cichy, łagodny nad utuloną w pieluchy ziemią, oboje muskane promykami srebrnemi, żyjące ich wibracyą, pulsujące wolnym niewinnym oddechem, a tak błogie, tak niezamącone jak senne marzenie dziecka, uśpionego w kolebce lekkim pocałunkiem piastunki. Zaledwo słychać cichy szept resztek bajki urywanej i wstrzymanej na jej ustach: to echa dalekich bajek górali, opowiadanych w drodze gościom, zaledwo dosłyszane, a już urwane, stłumione, rozpłynięte w toni dalekiej powietrza...

— Ho, haj! Hop, hop! Ho, haj!.... — rozległo się echem donośnym po lesie od głosu górali.

— Ho, haj! Hop, hop! — dałem odzew na hasło budzące do jawu i obowiązków życia.

Stanęliśmy niebawem na Boczanie. Była godzina siódma wieczorem. Termometr wskazywał — 4⁰ R., barometr —*). Z widokiem profilowym na daleki Gewont, zasiedliśmy rzędem na wykrocie świerkowym**) do spożycia lekkiego podwieczorku, skropionego winem i po kilkunasto-minutowym odpoczynku, ruszyliśmy dalej w drogę. Warstwa śniegu stawało się gęstszą, twardszą i głębszą. Co kwadrans drogi należało czynić mały minutowy przestanek, aby uniknąć zgrzania ciała i przeziębienia na wypadek wiatru, co było do przewidzenia w miarę podnoszenia się na wyżyny i ze względu na wachający się i nie zbyt pewny stan barometru. W trosce o bezpieczeństwo wątlejszej części naszej drużyny mieliśmy na pieczy przedewszystkiem p. B., którego zgrzanie i zaziębienie musiałoby najrychlej przyprawić o zgubę, gdy przeciwnie łagodny ruch i nasycenie wzmagającą się ku wyżynom ilością ozonu wpłynąć by mogło na przyśpieszenie regeneracyi.

Na Skupniowy Upłaz dość wygodnie podążać mógł nawet najsłabszy idąc łagodniejszą jego pochyłością, pokrytą śniegiem po kostki. Grzbiet wszakże jego sterczał nagim grzebieniem, pooranym w głębokie a drobne i ostre bruzdy. Mimo to chcąc zapoznać panie nasze z przepaścistym zrębem przeciwległej strony upłazu i połamaną kamienną doliną, wijącą się fantastycznie wśród cieniów nocy i świateł księżyca — wypadało wstępować na ów grzebień, a siadłszy mocno na nim okrakiem — wprowadzać kolejno każdą z pań od pochyłości łagodniejszej, ustawiać przed wierzchołkiem do połowy wysokości człowieka, jakby żołnierza na parapecie i tak trzymając umożliwiać spozieranie ostrożne z urwiska het ku polanie w dolinie Jaworzynki. Rozległ się strzał, powtórzony dziesięciokrotnym echem w skałach. To Obrochta, stojąc wyżej przed nami, na powitanie gór »wygarnął« ze swej rusznicy jako strażnik tatrzański. Panna P . . . . . . odrywając się od tego widoku, żądna dalszych wra-

---

*) W Zakopanem w tymże czasie ciepłota wynosiła — 5^0_2, a ciśnienie powietrza —.

**) Drzewo z korzeniem obalone przez burzę lub wiatr szalony.

żeń wyprzedziła wszystkich i podążyła naprzód o kilkaset kroków w górę tuż bezpośrednio za wskazującym drogę Obrochtą. Na skręcie po nad Jaworzynką i pochód dalszy w górę pomiędzy dwie kopy królowe stawał się nużącym. Głębokie cienie bujnej roślinności daleko pozostały za nami: wstąpiliśmy w krainę piargów i kosodrzewiny zakrytej śniegiem tak głębokim, że na samej hali Królowej, kędy się zwykle tak raźno kroczy latem wśród rozmaitych malowniczych złomów granitowych, brnęliśmy do połowy niekiedy kolan, z trudnością wyciągając z przewałów śnieżnych nogę za nogą. Tak zapadłszy nieco głębiej na połowie hali jedna z pań zwaliła się z nóg i z rozpaczliwą obojętnością znużonego marszem bojowym żołnierza zawołała:

— Niepodobna, dalej już nie pójdę!

Muzyki jak Napoleon dla żołnierzy swoich w przejściu przez Alpy nie mieliśmy pod ręką, ale dla wzbudzenia omdlałej energii i wytrwałości nie brakło nam na innym nie mniej dzielnie podniecającym duszę artystyczną środku — zaklęcia w imię ambicyi i przyrzeczenia biesiady barw za minut kilka. Zaklęcie było snać tak wielkiej siły magicznej, że upadła, dźwignąwszy się z wyżłobionego przez się w śniegu łożyska, przebiegła nie tylko raźno paręset kroków, ale nawet, gdy stanęła na kraju hali przed widokiem marzeń tatrzańskich, z okrzykiem zapału rwała się pierwsza naprzód jak dziecię z wyciągniętemi ramionami ku migocącym zdala blaskom obrazu. Wielka dolina Gąsienicowa, od strony północno-wschodniej wejścia naszego otworem stojąca a zamknięta z trzech innych stron dokoła niebotycznemi poszarpanemi dziko turniami, zalana cała morzem światła srebrnego z głębokimi cieniami, padającemi od profilów bliższych na dalsze turnie, czyniła w pierwszej chwili wrażenie sejmu bogów-olbrzymów Olimpu, opartych stopami o biały kobierzec ziemi, a głowami, promiennemi gwiazd rojami, sięgających szafirowego stropu nieba. W poważnej uroczystej zadumie siedzieli, zatoczywszy wielkie koło piramidalną Żółtą turnią, Granatami, Czarną Ścianą, od zachodu cieniami Beskidu. W głębi rozsiadły się ku głębszym cieniom Koszysta i Buczynowe z Krzyżnem, i wyszczerbioną czarną ścianą Koziego Wierchu z jednej, a Pośrednią i Skrajną Turnią z drugiej. Na środek jakby do zagajającej mowy wysunął się wyniosły Kościelec, mający u stóp swoich wały lodowców dyluwialnych,

a za sobą potężną, prześcigającą go zeusową Świnnicę, na którą padał od niego cień głęboki. Gdy po kilku minutach oko nawykło do blasku i rozejrzało się w konturach, a silny wiatr wionął od północnego wschodu, blaski zdały się wibrować po złomach skalnych, a światło i cienie tak migotać, że się od nich wzrok zbolały odrywał i czepiał się tylko kąpiącego w srebrze Kościelca, [zdał się ten ostatni wyniosłym tumem kolońskim, sześćkroć przenoszącym wysokość świątyni marjackiej, owe dokoła postacie bogów skamieniałych — amfiteatralnym tłem gmachów kolosalnego na horyzoncie miasta, wał lodowca — fundamentem świątyni, a ciągnąca się na dnie samej doliny od Jaszczurówki droga usiana smerekami — ścieżką zarojoną tłumem pobożnych pielgrzymów.

Cofnąwszy się z Gustawem i Józkiem ku Królowym, wszedłem na Karczmisko w stronę pochyłości północno-zachodniej, skąd w bezmiernej dali migotało nam w nizinach światełko Zakopiańskie i tam z wysokości 4.800 stóp nad poziomem morza a przeszło 2000 stóp nad poziomem doliny Bystrego i Dunajca kazałem puścić rakietę i zapalić pochodnię (na znak poprzednio umówiony z Zakopianamí, żeśmy szczęśliwie objęli w posiadanie nocne dolinę Stawów Gąsienicowych). Zapomniana na jednym z przestanków i odnaleziona przez Gustawa pochodnia długo nie dawała się zapalić dla silnego wiatru, wreszcie roztrzepana na końcu zapłonęła dużem jasnem światłem widzianem (jak nas później zapewniano) nie tylko w Zakopanem, ale i w Nowym Targu. Zszedłszy w dolinę byliśmy już na hali Gąsienicowej przed jedenastą godziną, a więc niespełna w pięć godzin po opuszczeniu Kuźnic, czyli przeszło dwa razy więcej użyć musieliśmy czasu niż się latem przebiega tę samą przestrzeń.

W szałasie ogień rozniecony buchnął wesołym płomieniem w jednej jego połowie, a w drugiej zniesiona z sąsiedniego szałasu wonna z jesiennej kośby otawa rozesłana na ziemi i przykryta kocami służyła nam najpierw za olbrzymią sofę, a później za iście królewskie łoże. Wprawdzie dym z ogniska pędzony wiatrem wciskającym się przez szczeliny, wżerał się w oczy i wyciskał łzy góralom, a cóż dopiero paniom; ale gdyśmy trocha nawykli do niego, a pozatykaliśmy szczeliny sianem i kilimkami, drzwi zaś przymknęliśmy, unosił się przez górny mały otwór w dachu, znośniej nam się uczyniło, a wkrótce

zgoła o nim zapomnieliśmy, gdy obsiadłszy z góralami «watrę»*) poczęliśmy wraz z nimi przy ognisku warzyć «herbę»**) i rosół z ryżem na mięsie.

Na ożywionej biesiadzie, śpiewach, przekomarzaniu się z góralami szybko czas mijał. Delicye zupy, gotowanej na śniegu stopionym w trzech kociołkach a mającej trocha smak dymkowy, podniósł się humor do diapazonu, zwłaszcza na widok mięsa, które nam nasz Vatel góralski rozdzielał ciupagą na drewnie.

Nie spostrzegliśmy, jak północ dawno minęła, a zegarki nasze wskazywały pierwszą godzinę. Barometr szalony skok zrobił w górę —, a ciepłota w szałasie zaledwo wynosiła $+2^0$ R. Że ogień płonął przez całą noc, może w ciągu niej przybyło ciepła na jaki stopień. Bądź co bądź gdy Obrochta legł przy samem ognisku, a górale posiedziawszy czas jakiś poszli na noc w otawę do sąsiedniego szałasu, my reszta poobwijawszy się w koce, leżąc pele-mele pokotem, staraliśmy się zasnąć jako kto mógł. Byli tacy, co spali dwie i trzy godziny z rzędu snem nocnym. Inni na uwagę wesołą towarzysza lub towarzyszki, na dowcip lub krotochwilę rzuconą przez budzącego się B......, budzili się co chwila, a wówczas cała rzesza (z wyjątkiem dwojga śpiących snem sprawiedliwych), wybuchała śmiechem homerycznym i gwar przeciągał się na pół godziny, aż znów zmogły wszystkich sen i znużenie. Jedna pani D....mińska oka nie zmróżyła z powodu Ojtka, który figlując przez całą godzinę o północy opowiadaniem dykteryjek i zręcznem naśladowaniem ptaków, nie żałował spirytualiów dla odświeżenia gardła i humoru swego, aż w końcu stoczył się bezwładny z ławki ku ognisku. Zleciłem góralom wynosić go parę razy na śnieg dla orzeźwienia, a choć po niejakim czasie przestał bredzić przez sen, to wszakże pozostała przy nim na czuwaniu pani D. aż do świtu, a obok niej Kubin, podsycający ognisko i rozpamiętywujący czasy pierwszej swojej młodości, kiedy był uważany za damskiego przewodnika par excelence.

Nazajutrz przed godziną siódmą byliśmy już wszyscy na nogach. Gdy górale warzyli herbę przy ognisku, każdy z uczestników wycieczki wychylał się kolejno z szałasu pod

*) Ogień.

**) Herbatę.

otwarte niebo dla poprawienia swojej toalety: panowie odświeżali się śniegiem, panie wodą śniegową. Panna P.......... w imieniu własnem i krewnego — pana Józefa D....mińskiego zażądała odpowiedzi na wyrażone dnia wczorajszego życzenie wzięcia udziału w wyprawie do Morskiego Oka. Wiedziałem, iż jeśli kobieta z całym spokojem i refleksyą zdobywa się na takie przedsięwzięcie, musi posiadać spory zasób pewności swej siły i odwagi; z tem wszystkiem chcąc posłyszeć zdanie Bartka, zaapelowałem do niego, jako odpowiedzialnego przewodnika:

— Panienka dobrą mają chodzę — hipkali*) wprawdzie pod Królową, może to z junactwa pewnego, aleć ani razu nie siedli, krom gdyśmy wszyscy odpoczywali na wykrocie.

To rzekłszy, wyszedł Bartek z szałasu dla czynienia przygotowań do pochodu, a za nim wymknęło się dwóch górali z zastępu szałasowych, przybyłych do nas o świcie w odwiedziny. Gdy po paru chwilach wyszedłem i ja dla wydania dodatkowego zlecenia, a zatrzymałem się przy szałasie dla poprawienia przewiązanego obuwia, słyszę za węgłem rozmowę, snać już dawniej rozpoczęta, a ściągająca się do niebezpieczeństw postanowionej przez Zawrat wyprawy:

Głos pierwszego górala: Poderwaliście się za hybko, Bartku, a nie wiem jako zdolicie; przecież i ja pierwszorzędny, a mnie nijak tam, gdzie jeszce dotąd żywa noga nie stawała zimie.

Głos drugiego górala: Ej, Bartku, dajcie pozór na to, co zamierzacie; luto mi, że zabaczyliście, jako macie w domu statek, kobietę i tyle drobiazgu!

Bartek: po co mamrać i durzyć; hanbić się mi nijak, jakem raz rzekł, że pójdę, to pójdę.

Po herbacie, zagasiwszy ognisko i przeniósłszy siano do właściwego szałasu, zaczęliśmy każda z dwóch partyi zbierać się w swoją drogę. Ponieważ do Morskiego przybyło nam dwie osoby, należało przybrać jeszcze jednego bodaj górala do pomocy: o większej liczbie myśleć niepodobna było, boć przecie do Zakopanego wracała część towarzystwa (dwie panie

---

*) Przeganiała, spieszyła od razu. O takich przewodnicy mniemają, że daleko nie zajdą w górach. Gdy, przeciwnie, turysta idzie powoli, miarowo, poprzestaje na krótkich wypoczynkach, stojąco bez zasiadania na chwilę, — przedstawia to dla przewodnika pewien rodzaj egzaminu zadowalniającego, daje mu pewność, że taki nie ustanie w drodze, że go nie będzie musiał nieść z powrotem na barach.

i mężczyzna) mało obyta z górami, a przeto potrzebująca po góralu na osobę do straży.

Zwracam się kolejno do każdego z drugiej partyi, proponując drogę na Zawrat; żaden się nie decyduje: jednemu żona chora w domu, drugi dwie noce z rzędu nie spał. trzeci ma pilny interes, dziś jeszcze do załatwienia.

— Wy Ojtku — mówię do orawca — chadzaliście ze mną po górach przed dziesięciu laty, może i teraz pójdziecie?

— Pójdę — odrzekł.

Ósma godzina minęła, gdy wśród polany pożegnawszy drużynę wracającą do Zakopanego, rozpoczęliśmy pochód z siedmiu osób ku Czarnemu Stawowi. Termometr wskazywał $+3^0$ R., bar. spadł o 7.5*). Ton nieba zupełnie odmienny od zakopiańskiego. Gdy tam od północy turkusowe przeźrocze przelewało się ku zenitowi w głęboki szafir, przechodzący na południowym wschodzie w mętno-popielatą barwę; tu całe niebo zasnute było tłem perłowym, zbłękicone nieco u zenitu, a zaróżowione blado na kraju całej połowy przylegającej do wschodu. Ani jednego przy tem promienia gwiazdy dziennej; dopiero w trzy kwadranse potem, przy tablicy Tow. Tatr. (z napisem do *„Czarnego Stawu“)*, a więc na połowie prawie drogi do *„Czarnej Paszy“* co naprzeciw *Karbu* kościelcowego, gdyśmy się obejrzeli wstecz, — czubek *Magóry* pławił się w blaskach słońca, cała zaś dolina pogrążona w cieniu. I tak trwało przez cały czas naszej po niej wędrówki, a więc do samego południa, mimo wciąż jasnego nad nami nieba, ani razu nie zajrzały nam blaski w oczy, co więcej, nie zajrzeliśmy nigdzie refleksów promieni słońca (z wyjątkiem owych blasków magórskich) — do tyla widok jego zasłaniały cienie piętrzących się z trzech stron turni, które w miarę posuwania się naszego naprzód, wciąż rosły w górę, rozszerzały się w szerz, zataczały głębsze koło i wchłaniały nas w siebie, rzucając co raz to głębsze cienie na ten biały u dołu całun, po którym kroczyliśmy. Oprócz tej posępnej gry barw i tonów zasadniczych, mieniły się inne sporadycznie w mniejszych lub większych przestworzach, a również zimne, również blade: za nami całe zbocze magórskie stało w ciągu dwóch godzin w tonie liliowym, wpadającym później kolejno we fiolet i szafir, na lewo w dali

*) W porównaniu z Zakopanem, gdzie znów termometr wskazywał — 7^0 R.

Żółta Turnia migotała na swych ścianach prostopadłych kobiercem cytrynowym, a niżej nad szemrzącym Suchym potokiem, odsłonięte wiatrem lub słońcem złomy lodowcowe, okryte porostem bisiorkowym, majaczyły wśród śniegu, jak plamy krwawe na tle opony białej.

Śnieg czem dalej leżał nieco głębiej i wyżej niż wczoraj u wejścia do doliny, ale wyjątkowo tylko przy złomach kamieni lodowcowych zapadaliśmy po kolana, a zresztą sięgał najmniej połowy łokcia tak, że przy łagodnej aurze, pochód nasz naprzód odbywałby się dość raźno, gdyby nie mitręga Ojtkowa. Nie pewny na swych nogach, zataczał się w prawo i w lewo, a za każdym niemal trzecim krokiem, tracił równowagę, ślizgał się, zapadał w śnieg i z całym ciężarem swego na barkach juku góralskiego, zwalał się, zanurzał bokiem lub na wznak wraz z głową w bałwanach śnieżnych. Czynił to tak misternie i kunsztownie, nie skąpiąc przy tem jowialnych nad sobą uwag, że niepodobna było wyrozumieć: udana li to jest bezsilność, czy prawdziwa, figiel, czy resztki i następstwa towarzystwa bachusowego, lub taktyka zwolnienia siebie od groźnego dlań Zawratu. Brałem to zachowanie się za dobrą w oczach jego monetę i idąc za nim na końcu naszego sznura żórawiego, dodawałem otuchy również powolnej, i za każdym razem pomagałem mu dźwigać się z upadku. Gdy po godzinie drogi chód jego począł być pewniejszym i raźniejszym, zrzekłem się opieki nad nim, przelewając ją na Józka Trzebunię, a sam podążając naprzód połączyłem się z resztą drużyny. Na wysokości polany Czarnego Stawu dopędza nas Józek z wiadomością, że musiał o kilometr drogi wstecz zostawić Ojtka, bo iść nie chce, czy nie może.

— Dlaczegoś go nie naglił siłą?

— Jako ja, Panie, mogę «poturać»*) gazdę! — odparł z lękiem, oburzeniem i pietyzmem dla autorytetu gazdów. Posłałem Gustawa, jako energiczniejszego i nie cierpiącego żadnego oporu.

Mija kwandrans, drugi, próżnego oczekiwania. Zatrzymaliśmy się nad upłazem, wysławszy na zwiady znów Józka.

Po półgodzinie wracają obadwaj bez Ojtka.

— Coście z nim zrobili? — pytam.

---

*) Poniewierać.

— Nijak nie mógł iść dalej, — choć go ciągnęliśmy — odpowiada Gustaw, wstrząsając ciupagą: — daliśmy mu funt bryndzy i kawał chleba, aby wracał do Zakopanego, a sami pomiędzy siebie rozebraliśmy rzeczy z jego torby. Widzę, że obadwaj obładowani nad miarę; każdemu przybyło co najmniej po dwadzieścia funtów, a i nam przybył ciężar, bo pozostał ciężki koc futrzany, wielce mogący się nam przydać na noclegach, a którego już nie miałem serca wkładać na bary któregokolwiek z górali; braliśmy więc go kolejno z panem Józefem D. na siebie zamiast burki i tak podążaliśmy naprzód. Mimo to sprawa z Ojtkiem jeszcze nie była załatwiona. Idąc po nad krańcem Stawu Czarnego zaczynamy reflektować i rozmyślać nad tem, — dojdzie czy nie dojdzie Ojtek do Zakopanego? A może jeszcze nie wytrzeźwiał? może osłabiony padnie i zamarznie w śniegu? Mimo zapewnień górali, że figluje i nic mu się nie stanie w drodze powrotnej, niepokój ogarnął serca nasze, niepewność o losach jego zatruwałaby każdą chwilę naszej wędrówki, a przypuszczenie o możliwej śmierci jego zaczęło wżerać się w mózgi nasze i ciążyć ołowiem. Wreszcie po kilku minutach takiej walki wewnętrznej, pierwsza odezwała się panna Stanisława:

— Nie, nie mogę wytrzymać tej niepewności, rezygnuję z Morskiego Oka i gotowam wrócić wraz z kuzynkiem Józiem wślad za Ojtkiem.

Zaczynam ważyć wykonalność tego planu i obrachowywać siły nasze. Do straży powracających dwóch osób potrzeba byłoby dodać dwóch górali — Gustawa i Józka, a i tak jeszcze nie byłbym spokojny o los ich i Ojtka; z drugiej strony moja własna wędrówka naprzód z jednym Bartkiem również byłaby nie możliwa, bo nie wiadomo co nas czekać może w górach przy uszczuplonych siłach, zapasach żywności i odzienia. Wypada więc wszystkim razem wracać do Zakopanego. Gwoli jednego Ojtka? A śmiech ludzki z nieudanej wyprawy? dadząż wiarę, iżeśmy się cofnęli dla uratowania człowieka, nie dla braku własnej odwagi? — szeptała ambicja! a godzi się stawiać życie człowieka na kartę gwoli honoru? — szeptało sumienie.

— Dajcie termometr! — krzyknę w szalonem szamotaniu się ducha.

— Mamy $2^1/_2{}^0$ — wołam, spozierając na przedziałkę Reau-

mura — czyli od trzech godzin obniżyła się ciepłota zaledwo o pół stopnia przy barometrze podniesionym o 2, w nizinie więc musi być znacznie cieplej; niepodobieństwem jest tedy, aby człowiek zamarzł, gdyby nawet zdrzemnął w śniegu.

— Czyście go zrewidowali i odebrali wódkę? — pytam dalej Gustawa i Józka.

— Oto pół flaszki okowity.

— Wiele z niej wypił?

— Kieliszek od dziś rano?

— Nie ma żadnej obawy, chodźmy naprzód.

Zaledwo posunęliśmy się o kroków kilka, spojrzałem na naszą towarzyszkę: widzę iż z twarzy jej nie rozwiały się jeszcze resztki obawy.

— Gustawie, — zwracam się surowo do Rojany — wzywam cię stanowczo pod słowem honoru, abyś całą prawdę wyjawił: co mówił Ojtek, czy się nie skarżył na ból jaki?

Gustaw zbliżył się do ucha i szepnął: — Ojtek powiadał: »Co to, Pan mnie na śmierć prowadzi, nie pójdę!«

— Na Zawrat, na Zawrat! — zawołałem głosem stanowczym, miotany gniewem i oburzeniem: — zadrwiono z nas, na Zawrat!

I krokiem zdwojonym postąpiwszy naprzód cała drużyna ze wzmożoną energią przemknęła przestrzeń kilometrową, pozostawiając za sobą Staw Czarny, i resztki kosodrzewiny, jako ostatnie ślady roślinności. Mimo nas na wysokości stu metrów po złomie skalnym Kościelca przesunęła się kuna, pierwszy i ostatni świadek zwierzęcy naszego pochodu przez góry. Od godziny ciągnące z północnego wschodu chmury zasnuły teraz całe niebo jedną grubą oponą, zawisłą ciężko i złowrogo nad nami. Weszliśmy w ową klasyczną w całych Tatrach kotlinę, na której straży stoi wyniosły z prawej strony Kościelec, a która przyparta o ścianę głównego trzonu tatrzańskiego pod Swinnicą, z trzech pozostałych stron, zamknięta skalnemi granitu srogiemi turniami Zawratu, Koziego Wierchu, Granatów i Żółtej. Gdyśmy się spuścili w głąb kotliny, owe nagie, czarne, dziko poszarpane a posępne ściany turni, piętrzące się coraz wyżej, zatopiły się szczytami w chmurach, a połączone ich ciemną oponą, zdawały się ścieśniać i zamykać nas zewsząd twierdzą bez wyjścia, potężną grozą śmierci. Wzrok człowieka skuty omenem lęku, a duszą zawłada niemota trwogi lub zdumienia.

Du.....ński pierwszy przerwał milczenie pytaniem, rzuconem w ciemną przed nami toń kotliny.

— Na Boga! którędyż my teraz przejdziemy?

Zatoczywszy koło ku zachodowi pod Kościelcem, za zrębem onego stanęliśmy u stóp Zawratu i zaczęliśmy się wspinać na pierwszą, która nam się odsłoniła, połogą pochyłość onego. Dalsze wyższe »zawracające się« piętra oczywiście były niewidzialne dla obu, z wielkiem szczęściem dla niejednego wędrowca, który możeby się zawahał w dalszym ku wyżynie pochodzie, gdyby ujrzał naraz całą rozległość pnącej się bez końca w górę drogi. A tak pierwszy etap zawratowy wydał nam się jakby wielkie na wysokość kościoła Marjackiego rusztowanie ustawione pod kątem 45° pochyłości, zasypane śniegiem twardym na głębokość półłokciową lub nawet $^3/_4$ łokcia, pogięte co parę kroków i połamane z czeluściami zapchanemi dużemi ślizgiemi złomami lodowemi. Opierając się na ciupagach i przerywając z łatwością skorupę śnieżną, brnęliśmy coraz wyżej i wyżej bez zbytniego znużenia; gdy wszakże natrafialiśmy na owe głazy, to albo obejmować je musieliśmy rękoma i raczkować po płaziemu, albo »kiełzając« wpadać w czeluście podgłazowe i na nowo rozpoczynać płazienie.

Zaraz po południu przy ciepłocie + 1° Reaumiura [1]) i wietrze południowo-zachodnim (który po kwadransie zmienił się północno-wschodnim), wchodząc na drugie piętro najrzeliśmy »Zmarzły«, który jak błękitnawa lawa zastygła, połyskiwał skrzepnięty na zboczu przewalając się stalaktytem w urwisko. Panna P......wska widziała w nim »potok opalu«, ja dla braku słońca raczej skamieniały blady lazurek.

Że niedaleko od drogi naszej być musiała »koleba zbójecka« [2]), zaleciłem idącym naprzód towarzyszom moim baczność, ze wzrokiem skierowanym li tylko na własne nogi bardziej

[1]) W Zakopanem o tej porze obserwacye w zakładzie Dra Chramca wskazywały ciepłotę + 3 Reaumiura przy stanie nieba pochmurnym i wietrze południowo-zachodnim.

Powyższą obserwacyę przy Zmarzłym na Zawracie, tudzież jeszcze jednę wciągu podróży dokonałem nie sam, lecz jeden z górali, przy którym były narzędzia, a którego przywoływać ze znacznej odległości byłoby rzeczą trudną.

[2]) Dyć se pod Zawratem,
Przy tym Zmarzłym stawie,
Jest Koliba zbójecka
Wyrobiona w skale.

(Z „pieśni“ przez *Gustawa St.* zebranych).

na prawo, przeto opisane tak dosadnie przez Eliasza przejście »przez cieśninę między dwiema skałami w kotlinę strasznie dziką, zamkniętą zewsząd niebotycznemi turniami« dokonywane było w pierwszej chwili bez uwagi i wrażeń. Sama koleba okazała się wybornym przystankiem dla górali, którzy w jej skalnem wyżłobieniu przysiedli na minutę, gdy my idąc za nimi poprzestaliśmy na parusekundowem przesunięciu się obok niej i błyskawicznem spojrzeniu mimochodem w rozwartą z lewej strony ścieżki naszej przepaść bezdenną.

Przebywszy zakręt przy drugiem piętrze i podniósłszy wzrok ku spiętrzonej pod obłokami przerwie w grzebieniu gór, ujrzeliśmy tam samą przełęcz i owe prowadzące ku niej od stóp naszych olbrzymie usypisko, które odsłania Zawrat w całej jego okazałości. Nie napróżno Chałubiński nazwał je malowniczo »gościńcem tatrzańskim«, boć mimo pobłażliwości tej nazwy nawet dla wycieczek letnich, i dziś się przedstawiło ono jako wykuta wśród skał ku stropowi nieba najszersza z gościńców wspaniała droga z całą wyrazistością dająca pojęcie o tych szlakach, któremi przed tysiącami lat zsuwały się groźnie lodowce ze szczytu gór w doliny. Dziś on bardziej zasługiwał na miano gościńca dziewiczego; podniesiony wysoko ku niebu jak senna drabina Jakóbowa, był tak niepokalanie gładkim i nietkniętym, że po białej jego, jedrnej powierzchni śnieżnej mogło opuszczone na szczycie już nie tylko jabłko praojca naszego, ale wraz z nim i jego dostojna towarzyszka stoczyć się bez przeszkody o parę kilometrów w dół aż po za »Zmarzły«.

Najmłodszy z nas Józek, lekceważąc ową dziewiczość, rychło a żałośnie doznał całą siłę jej oporności; gdy bowiem po półgodzinnych zapasach z nią, poprawiając sobie torbę z tyłu ciupagą, opuścił tę ostatnią, mimo ostrza swego potoczyła się ona tak daleko w dół, że niepodobieństwem było wracać po nią: zniknęła bezpowrotnie i chyba juhasi na wiosnę lub pierwsi letni turyści może odszukają przypadkiem ten ślad naszego zimowego tamtędy pochodu, a w takim razie zapewne nie omieszkają zrzec się tej pamiątki na rzecz jej prawnego właściciela.

Nam jako doświadczeńszym przypadł zaszczyt pierwszy oględniejszego łamania owej dziewiczości. Jęliśmy się wszakże tego zadania z całą siłą i zaciekłością pionierów. Przo-

dowali w tem zwłaszcza gorliwie Bartek i Gustaw. Z kilkokrotnego próbnego przebicia całej głębi śnieżnej przekonaliśmy się o potrójnem jej uwarstwowieniu odpowiednio do trzech wielkich opadów śniegu, które widocznie miejsce miały do 20 stycznia. Każda warstwa grubości 1—1 $^{1}/_{2}$ stopy, odtajała i następnie zamarzła i skrzepła, była powleczona twardą skorupą lodu tak, że należało wpierw przebijać zewnętrzną i następnie rąbać w śniegu t. zw. stopaje czyli stopnie i w każdy z nich wkładać jednę nogę ostrożnie, zagłębiając palce stopy w śnieg mocno, a piętę ile możności lekko opierając na zrębie stopaju aby się nie przerwał i nie spowodował usunięcia stopy. W tym celu poprawiając rąbane przez górali stopaje, pogłębiałem je w ten sposób, że nacięcie nowe czyniłem nie prostopadle do pochyłości powierzchni śniegu lecz niemal pionowo, a często pod kątym ostrym 45°, którego bok spodni stanowiła ciupaga, a wierzchni pochyłość śniegu nad stopą. W ten sposób wyrąbane stopaje przedstawiały najlepsze bezpieczeństwo, bo naciskająca na ich spód krańcowy pięta miała jeszcze drugich 45° do kąta prostego jako kresu bezpieczeństwa. A mimo to takowe w pierwszych chwilach nie zupełnie było zapewnione, bo kończyny palców nogi zagłębiając się w stopaje dotykały środkowej skorupy lodu drugiej warstwy i albo przerywały ją i noga wpadała po kolana w śnieg, skąd ją z trudnością wydobywać przychodziło, albo ześlizgiwały się po niej i powodowały tem silniejszą potrzebę szukania oporu dla pięty, która naciskając pod sobą śnieg, obniżała go niekiedy po za kąt prosty i czując znikający kres bezpieczeństwa sygnalizowała rękom, które przy pochylonej całej postaci człowieka do powierzchni śniegu musiały go chwytać gorączkowo, zagłębiać się w warstwie jego i szukać w ten sposób ratunku.

Po niejakiem czasie nabraliśmy takiej wprawy w owem kuciu, stąpaniu i łażeniu, że mimo wiatru zimnego i drobnej krupy śnieżnej, która nas siekła niemiłosiernie w twarz i oczy, wznosiliśmy się dość raźnie co raz to wyżej i wyżej, a panna P. mogła się nawet obyć bez mojego pogłębiania i wysunęła się przedemną naprzód nie bez spadłej rychło na nią kary za brawurę i dzielność niewieścią. Jeśli ja mogłem uchodzić za komentatora i tłumacza stopajów, to pierwszymi ich autorami byli niezawodnie górale; a wiadomo jakie ich są kroki, zwłaszcza takich jak Gustaw, który również wysforo-

wawszy się na czoło całej drużyny i idąc w kierunku, dyktowanym mu z tyłu przez Obrochtę, pierwszy czynił nacięcia stopajów i rozmierzał odstępy między niemi. Odstępy te były tak kolosalne, że wydawały się nawet znacznemi dla mojego kroku, mężczyzny bądź co bądź wzrostu przeszło trzech łokci, a cóż dopiero dla kobiety niżej średniego wzrostu! Można więc sobie wyobrazić — jakich wysiłków potrzebowała wątła towarzyszka nasza, aby wśród takiego niezwykłego pochodu górskiego pokonać przeszkody wiatru, zimna, baletniczego opierania się na kończynach palców i po nad to wszystko owych olbrzymich rozkroków. Jakoż po godzinie pochodu szepnęła:

— Dostałam kurczu w kolanach.

Byliśmy o przeszło 6.600 stóp nad poziomem morza, a co najmniej 4.000 stóp po nad kościołem zakopańskiem wśród zawiei śnieżnej o dwanaście godzin drogi zimowej od najbliższego siedliska ludzkiego.

Nakazałem przestanek.

— Proszę nie siadać w śniegu. Czy ręce zimne lub mają czucie?

Zwierzchnie, po skórzanych, rękawice wełniane od chwytania skał i skorup śnieżnych starły się i świeciły dziurami; w palcach doznawało się uczucia drętwienia, a gdy podobne objawy zdradzała reszta uczestników, na hasło dane rozpoczęło się wzajemne rozcieranie rąk, lub bicie ich o własne kolana i ramiona. Stojący o kilkanaście kroków wyżej Bartek Obrochta, widząc opóźnianie się pochodu, woła:

— Proszę Waszej Miłości, mamy jeszcze ze trzy godziny na wierzch przełęczy, a rychlej jeszcze zmrok nas może zaskoczyć i dalej »nie puści«; byłby jeszcze czas wrócić do Czarnego Stawu, jeśli taka wola wasza.

— Słyszy pani? — odwracam się do towarzyszki naszej.

— Ależ ja już żadnego kurczu nie mam, — odrzekła wyleczona i postawiona od razu na nogi groźbą Bartka.

— A więc excelsior!

— Excelsior!

— Nie, — wołam Bartkowi w odpowiedzi — ani myśleć o cofaniu się. Naprzód! A w chmurach szukać będziemy księżyca i zażądamy od niego światła dla nocy.

— Naprzód! — okrzyknęli się górale żwawo i donośnie.

Bartek wiedział, co znaczą owe trzy godziny jego, które latem zredukowałyby się do jednej wśród najgorszego stanu

piargów zawratowych. Jakoż, pozostawiając pannę P. z tyłu, wysunąłem się naprzód tuż za Bartkiem i Gustawem i zacząłem rozpoławiać ich kroki, czyli pomiędzy kutemi przez nich stopajami rąbać środkowe. Dogodność wspinania się w dwójnasób została zwiększona, ale też w dwójnasób czasu kosztował nas każdy krok góralski, bo prawie dwie minuty, czyli na 30 — 50 kroków potrzebowaliśmy godzinę. Po etapie takiego nowego pochodu okazała się jeszcze większa potrzeba czasu wobec zmniejszenia sił przez ubytek Gustawa. Ten bowiem widząc, że jeśli siłą swoją był na przedzie nieocenionym pionierem w wyrąbywaniu pierwszych stopajów, to natomiast przez natężenie tychże sił, wzmagając naporem naturalny ciężar swej wagi, rozmiażdżał własne stopaje i psuł je w miarę tego jak ku wyżynie śnieg stawał się bardziej kruchym i sypkim, — przesunął się w dół i zajął stanowisko tylnej straży po za wszystkimi i po za Józkiem. Wzmogło się przez to bezpieczeństwo całej karawany w dwójnasób, a to nietylko w zachowaniu całych i naturalnych pod potrzebnym nam kątem prostym stopajów, ale i w zabezpieczeniu czynnej pomocy Gustawowej na wypadek nieszczęścia; w razie bowiem czyjegokolwiek bądź pośliznięcia i staczania się w dół, można było być pewnym, że ofiary poza stanowisko swoje Gustaw z pewnością dalej nie puści, chyba wraz z nią sam zginie.

I znów nowa godzina upłynęła w zapasach z zasępionym i »kurzącym« Zawratem.

— Chleba! — zawołał ktoś z drużyny.

— Jeść! — powtórzyliśmy inni, przypominając sobie, że gdy rano przy szałasach Gąsienicowych w braku apetytu wypiwszy czystej »herby«, niemieliśmy od tej pory nic w ustach.

I jakeśmy gęsiego podążali dotąd wciąż po zachodniem zboczu od strony Kościelca lub żlebem bliżej piarg środkowych, tak też przechodzimy na lewo ku zboczu wschodniemu i stajemy we troje wraz z Bartkiem pod ścianą Granatów rzędem, opierając plecy o jego granitowy złom prostopadły, dość zresztą wygodnie, z wyjątkiem chyba ostatniego z nas, który mając po prawej swej stronie kończący się złom i po za nim otchłań czarną przepaści, mimowoli odwracał się od niej i tulił się ku reszcie towarzyszy. Wkrótce nadchodzą Gustaw i Józek z torbami, a wbiwszy swe stopy w grubą skorupę śnieżną, stoją przed nami jako dobroczynni szafarze mocno nadwerężonych

na hali Gąsienicowej skarbów. Wiemy, że tam jeszcze sporo zostać musiało w jednym i drugim tobołku: musi być przepyszny graham z zakładu Dra Chramca, jest jakieś mięsiwo zimne, jest szynka, są zapasy masła, sera, owoców. Ale to wszystko gdzieś niemiłosiernie wcisnęło się na sam spód torby; a tu ręce kostnieją w poszukiwaniach, żołądki zaś wołają o pośpiech. Oto na wierzchu jakiś bochen chleba, rozłamany w okamgnieniu przez nas na kawałki; poza nim wyjrzała sperka słoniny białej i poprószonej węgierską papryką; i ta pokrajana kozikiem bartkowym na kawałki znika rychło z przed oczu biesiadników. — A wódka, gdzie wódka dla rozgrzania się? — oto jeszcze pół flaszki śliwowicy. — Eh »nie, tę warto zostawić dla Morskiego Oka w nagrodę«, a oto sabałówka. — No a okrasy dla chleba już niema? — Poszukiwania za masłem funtowem trwają pół minuty; zamiast niego wpada w ręce kilka czy kilkanaście kulek masła wielkości orzechów włoskich zrabowane na Jordanówce. Rzeźbione i wyciskane z całą finezyą artystyczną pań Jordanówki podług najnowszych wzorów snycerskich szkoły zakopańskiej (nie bez gloryfikacyi Meyeta a krytyki Witkiewicza), a przygotowane na raut »artystyczny« lub do smarowania buziaków różowych Mańci, Helci, Żenci, — znikają teraz w gardziołach zawratowiczów, którzy, nie mając czasu na rozsmarowanie, łykają je ryczałtem jak jendyki. — Warto popić winem. Gdzie ono? — Józek zanurzywszy rękę w torbę, z rozpaczą pokazuje mokre palce i kawałki szkła. Jedna flaszka rozbiła się przed dwiema godzinami, kiedy poprawiał sobie torbę ciupagą. — Ale oto druga. — Eh, nie, ta przyda się dla Pięciu Stawów. — A oto jeszcze pół flaszki włoskiego. — Dawaj ją Bartkowi, bo on wódki nawet nie pił, a nam piwo, widzę oto flaszkę. Złotawy płyn Gambrynusa znika rychło w spragnionych podniebieniach, a flaszki toczą się po szklistej pochyłości Zawratu hen daleko w dół, goniąc zagubioną ciupagę Józkową. Ścigający je uporczywie wzrok kilkorga oczu przez dziwną asocjacyę kierunków sprzecznych, odwraca się w górę i mierzy długo tę szarzejącą, a groźną w swej nagości, najwyższą, przełęczową część Zawratu, a ten i ów szepce w myśli: ciężka, może najcięższa będzie to przeprawa.

* * *

W Zakopanem tymczasem zaledwo parę osób, zdradzających samodzielność studjów orograficznych a obdarzonych chrześciańskiem uczuciem pobłażliwości, jak dziś twierdzą, że wyprawa nasza była łatwą a możliwą dla wszystkich zabawką, skoro nawet kobieta wzieła w niej udział, tak też wówczas utrzymywały z taką samą stanowczością, że wyprawa była żartem niemożliwym na serjo, tembardziej skoro kobieta w nim się zaangażowała. Ogół wszakże tak górali, jak gości był przejęty bardziej ciekawością i zaniepokojeniem, zdradzając tylko w pierwszych chwilach niedowierzanie, które nawet wzmogło się do wyższego stopnia w chwili, kiedy trzej górale wróciwszy z częścią naszego Towarzystwa od Czarnego Stawu, zapewniali, że dojdziemy tylko do stóp Zawratu, albo najdalej do Zmarzłego i zobaczywszy grozę »gościńca tatrzańskiego« wrócimy najspokojniej do Zakopanego. Gdy wszakże we trzy godziny po południu nieujrzano nas wcale, a natomiast przed wieczorem rozeszła się wieść o powrocie tylko Ojtka, który stwierdził pochód nasz na Zawrat, wzrastać począł niepokój wraz współczuciem dla każdego z uczestników wyprawy. Obawa o nieszczęście przeszła niemal w pewność onego, gdy na Krupówkach zjawił się Sabała i jął opowiadać — jako za pamięci jego już dwunastu juchasów zginęli po kolei: każdy co się poważył przechodzić przez Zawrat zimą, zostawił tam kości swoje. A z plastyką właściwą jemu demonstrował katastrofę jednym nieuniknionym typem dla wszystkich:

— Każdy padał na wznak głową, odbijał się o twardą po wierzchnię usypiska jak piłka, stawał na nogi, aby znów upaść na głowę i tak podskakując staczał się w przepaść i rozbijał się o skały.

— A jako owi dwunastu zginęli, tak też i ci sześciu zginąć muszą, niech ich Matka Najświętsza broni — dodawał, polecając nas tylko opiece boskiej: — ale widzi mi się, iż jeśli nie zginą na Zawracie, to zginąć muszą na Swistówce.

Z osób najbardziej zainteresowanych losem naszym była niewątpliwie pani D.....ińska wraz z córką, posiadając w wyprawie zawratowej syna i siostrę młodszą. A choć przed nią tajono kasandrową przepowiednię Sabały, mimo to wiedziona naturalną obawą, którą wzmagał ogólny wyraz zaniepokojenia na twarzach osób otaczających ją, wreszcie bliższem rozpatrzeniem się w trudnościach wycieczek zimowych, karmiła się przez całe dwa

dni oczekiwania niepewnością i trwogą, a w nocy co godzina wstawała i wybiegała na gościniec, ażali nie wracamy.

* * *

Gdyby człowiek, obejrzawszy się wstecz, objął jednem wejrzeniem tę całą choćby najkrótszą drogę życia własnego, którą przebiegł i zliczył w jednej sumie wszystkie trudy i bole, jakich doznał na niej, musiałby niezawodnie zapytać siebie: ażali możliwą było rzeczą wsączyć w siebie tyle goryczy i tyle trucizny bez rozbicia ducha, bez zgruchotania ciała. Takiego samego wrażenia doznaliśmy, stanąwszy przed ostatniem najwyższem, pozostałem nam do przebycia piętrem zawratowem i oglądnąwszy się wstecz na przebieżoną dotąd jego drogę. Gdy się patrzyło na tę zda się bezmierną, stromą, szklistą, śmiertelnym całunem okrytą pochyłość usypiska, mimowolnie stanęło w duszy pytanie: czy podobna, aby ta przestrzeń była aż tak groźną? Ale jak szczęściem dla wytrzymałości ducha ludzkiego wszystkie bole i gorycze jego nie na raz się spijają, tak też wielką dla turysty w górach wygraną, że przed przejściem góry nie porywa go duch niewidzialny na samą wyżynę i nie okazuje mu wpierw w innej perspektywie całą grozę do pokonania trudności, bo jej w pragnieniu swojem możeby nie pokonał, a cofnął by się.

Tak odmiennem bywa wejrzenie z dołu a z góry.

Toć i teraz, gdyśmy się zaczęli wspinać na to ostatnie piętro i spojrzeli na jego bliską kończynę przełęczową — zdało nam się tak samo jak w życiu: oto kres naszych pragnień i celów, tak bliski, tak niedaleki: kamieniem przerzucić, rękę wyciągnąć, a dosięgniemy. Lecz chwila za chwilą, znów jak w życiu, mijają bez widocznego rezultatu. Wspinamy się już trzy kwadranse, a cel naszych pragnień nie jak zaklęty stoi na jednem miejscu, lecz tak powoli, tak ciężko zbliża się ku nam, że drażni cierpliwość naszą i wyzywa ją z siłą demoniczną do gwałtownych zapasów z przeszkodami, rodzi niepohamowany niczem upór i żądzę wściekłą pokonania tych trudności. A małemi one nie są, widzimy je i uczuwamy co raz bardziej. Śnieżyca padać ustała, znikła też pod stopami ostatnia warstwa śniegu, natomiast zimno dojmujące z naturalnego u wyżyn obniżenia się temperatury wzmaga wiatr silny, przeszywający na

wskroś, a dmący gwałtownie z góry i z boku, gdy u dołu nagi szutr i piargi, to się sypią i usuwają pod nogami, to pokryte skrzepłemi strugami lodu, urągają się wszelkiej sile ludzkiej, zdają się niweczyć najgorętsze i najprawowitsze pragnienia. Padamy co chwila jak na Golgocie i wbijając ostrza toporków w skorupę lodową lub zdradzieckie piargi, znów się dźwigamy, znów czołgamy się wyżej.

Oto zabłąkał się jakiś sporadyczny, a nie zbyt zlodowaciały płat śniegu. Próbójemy jedną, drugą nogą, zagłębia się, znajduje oporę: Chwała Tobie Panie, stoimy wyprostowani podniósłszy wzrok ku przełęczy. Już, już nie daleko, zda się, po raz ostatni na prawdę już ją siągniemy. Lecz oto wionął inny prąd wiatru. Gdy już blisko przed nami przełęcz i cała ściana prawa do Kościelca, czyste i odsłonięte sterczały jeszcze dotąd groźnie pod obłokami a tylko z lewej strony Turnia zawratowa zanurzała się w obłokach, które ją spowijały do połowy ciężką i nieruchomą oponą swoją, nagle poruszyły się owe chmury obłoczne jakby na hasło dane, poczęły się zwolna rozkłębiać, rozwijać, rozszczepiać i sunąć w prawo od swej kolumny podstawowej w poprzek drogi naszej; jedno ich ramię zastępując nam świat od oczu, wyciągało się jak boa olbrzymie i zasłoniwszy próg przełęczy, czepiało się już Kościelca od góry, drugie zniżywszy się nieco, otaczało nas z tyłu i pełzło również zbitą ławą ku Kościelcowi, poczem obie falując w jedną i drugą stronę zlały się razem i wchłaniały w swe głębie całą drużynę naszą.

Byliśmy w chmurach. Fale ich poruszane wiatrem, mkną szybko przed nami, to znów się kłębią, wirują i jakby tumanami zimnego rozpylonego kurzu obrzucają nas do koła, to znów uciszone, spokojne, spowijają w pieluchy grubej, eterycznej przejrzystej mgły, która się rozcieńcza, rozpyla, zaledwo gdzie nie gdzie wśród szarawej bieli migocze, prześwieca pasmami nieco jaśniejszemi, osiada na naszych sukniach, wciska się i wsiąka w ciało wszystkiemi jego porami — wśród ciszy grobowej, przerywanej szmerem osuwających się po piargach stóp ludzkich.

Naraz widzę: wspinająca się przedemną towarzyszka nasza wstrzymuje się, żacko nieco wstecz, a z jej piersi wydobywa się krzyk przeraźliwy:

— Boże miłosierny! Cóż to przed nami?

Przypadam, a dla bezpieczeństwa od upadku przeciągając w poprzek toporek rzekłem:

— Na Boga, cicho, bez wzruszeń!

A ona, pochylona naprzód i jakby przykuta na miejscu siłą omenu, wpatruje się nieruchoma przed siebie, gdzie wyżej w zamgleniu o kroków dziesięć naprzód, od prawej ściany Turni oddziela się jedna skała, przesuwa się zwolna na środek, zastępuje drogę i naraz zmienia się w kolosalną postać ludzką, w dwójnasób przerastającą zwykłych ludzi, kołysze się, buja na jednem miejscu, nieco cofa się wstecz, wysuwa się krok naprzód, wstrzymuje się, wyciąga olbrzymie ramię prawe i zatacza niem koło ku twarzy. Nie bez oporu posuwamy się i my naprzód, a mamidło tatrzańskie, lubujące się we mgle i chmurach, maleje i zniża się do zwykłych rozmiarów ludzkich w osobie p. Józefa Duc... ińskiego, który ze spokojem żołnierza, posłanego w ogień i zrezygnowanego już na wszystko, po raz wtóry zataczał swą rękę ku twarzy i wygodnie wycierał sobie nos chustką.

Po paru minutach przeszliśmy próg i stanęliśmy już na przełęczy. Była godzina 4-ta popołudniu, a więc blisko pięć godzin szliśmy na Zawrat. Termometr ze zdziwieniem naszem wskazywał tylko 0. (zero), a barometr jak się należało spodziewać spadło 14·8*).

Staliśmy u klasycznej przerwy i w progu wysokich Tatr.

W pogodny dzień letni ów podniosły z Zawratu na drugą stronę widok wspaniale zarysowanych pod niebem rzutów: Hrubego Wierchu, Furkotu, Szczyrbskiego, Szatana, Koprowy, Cubryny, Mięguszowieckich Turni, Wysokiej, Rysów, Żabiego, Garłucha, ten wreszcie bliżej nas w dole rozkosznie roztaczający się obraz doliny Pięciu Stawów rozłożonych terasowato jeden poniżej drugiego, z mieniącem się zwierciadłem ich, z grą czarującą barw u dołu szmaragdowej u góry szafiru, słowem cały ten obraz ziemi obiecanej nie istniał teraz dla nas. Bezmierna owa dolina obrzeżona na dalekim horyzoncie majestatycznie pięknemi liniami, była teraz zasypana śniegiem, którego masa podścieliskowa zlewała się z rozpostartą w powietrzu mgłą mleczną w jeden wielki ocean tem właśnie groźny, niepo-

*) W Zakopanem przeprowadzono obserwacyę o 6-tej godzinie: ciepłota wynosiła +1·25.

chwytny i tajemniczy, że majaczył w mroku wieczornym; czuło się jego otchłań, a zmierzyć jego wielkości niepodobna było ani wyraźnemi liniami obrzeżenia i horyzontu, ani wyrazistością jego zwierciadła, ani przestworem brakującego nad nim nieba. Pomiędzy tonem podścieliska śnieżnego a mgły mlecznej zalegała może różnica połtonu na korzyść przejrzystości atmosferycznej, ale ona wystarczała właśnie, aby po przez ową mglistą przejrzystość dojrzeć grube kontury spadającej pod nami terasy Zawratu, amfiteatralnego obrzeżenia doliny z jednej i drugiej strony, oraz bliższych sylwetek turni piętrzących się na horyzoncie. Gdy wiatr rozwiewał najniższe warstwy chmur lub je rozszerzał i rozcieńczał, wówczas przy resztkach brzasku wieczornego lub refleksach półświatła księżycowego, przezierającego przez pozostałą oponę chmurną, owe kontury rysowały się wprawdzie jak słabe cienie, ale na tyle wyraziste, że znaczyły sobą główny charakter terenu o liniach poziomych nieprzejrzanej doliny, pionowych dalekich szczytów i turni, wreszcie połamanych i pochylonych dla zboczy i pochyłości. Przy przesunięciu się nowych a grubych chmur — i owe kontury słabły, przechodziły w półcienia, majaczyły czas jakiś i wreszcie zacierały się, zlewały z całym sztafażem bieli w jednę mglistą bez końca przestrzeń, w której przełamująca się niekiedy ta lub owa linia przypominała nam bezustannie groźną świadomość, że zstępujemy w tajemniczą zakrytą otchłań bez końca, której najbliższe tylko przed nami zbocza majaczyły na odległość kroków kilkunastu lub kilkudziesięciu.

Taki obraz mętny przedstawiał nam się w ciągu pierwszej godziny pochodu, kiedy mijając odwrotne zbocza Granatów i Koziego Wierchu, schodziliśmy na dół po terasowatej pochyłości zakrętami i zygzakami w stronę onego źródła letniego, które wytryska z pod grzbietu łączącego Swinnicę z Kozim Wierchem i Wołoszynem. Bartek wciąż na czele, a za nim Gustaw i Józek, wybiegał naprzód, gubił się w zakrętach zbocza i przewałach śnieżnych, znikał po za niemi, wynurzał się gdzieś daleko, z boku nad głowami naszemi, albo niżej pod nami, wracał, zabiegał z tej lub owej strony i znów posuwał się naprzód zwolna i ostrożnie, lub znów mknął z wiatrem, szukając drogi jak strzelec zwierzynę lub jak gończy tropiący jej ślady. Niekiedy przesuwał sie chyłkiem brzegiem stromego urwiska, a za ostrożnym jego śladem dwaj jego pomocnicy. Wówczas

wszystkie trzy postacie dwojąc się w półcieniu mgły, wyrastały w olbrzymie mamidła, jak turnie ruchome, aby po niejakim czasie zniknąć i znów się wynurzyć poniżej nas, rozproszeni na dalszej płaszczyźnie i błądząc po niej jak cienie na polach Elizejskich, blaknąc stopniowo, ścierając się i tonąc we mgle dalekiej. Niekiedy zapadali i znikali na minut kilka, a wtedy wzajemne nawoływania i odzew głosem stłumionym i grobowym przerywały zaległą do koła, posępną ciszę nocną. Śnieg głęboki a sypki i twardy, mimo niepewność drogi, choć wzmagał niebezpieczeństwo, ale ułatwiał jej przebycie; nie było to brnięcie, a zsuwanie się i staczanie. Niekiedy dogodność stawała się tak znaczną, że usiadłszy na początku pochyłej, imaginacyjnej perci, idącej wzdłuż krawędzi zaledwo majaczącej z prawej strony przepaści, opierałem ciupagę o jej głęboki nasyp śnieżny, a lewą ręką trzymając i popychając przed sobą towarzysza lub towarzyszkę, staczaliśmy się w dół jak na łyżwach.

O godzinie 6-tej, gdy księżyc podniósł się wyżej nad horyzont i rzucał więcej światła przez rozrzedzone chmury, zapatrzeni na rozwidniający się krajobraz, zachowaliśmy mniej ostrożności w pochodzie przy pochyłościach zresztą terenu już teraz łagodniejszego. Toż pod »Kołem« przechodząc dolinę »Zadniego stawu« panna P . . . . ska potknąwszy się na krawędzi, spadła po za nią i zaczęła się staczać po śliskiej pochyłości zbocza w kotlinę. Skoczyłem za nią i w postawie siedzącej pomknąłem w dół po twardej skorupie śniegu z chyżością tak łatwą, że zdołałem obegnać ją po linii owalnej prędzej niż zdołała w prostym kierunku stoczyć się o kroków sześćdziesiąt. Przy pomocy przywołanego Gustawa musieliśmy teraz drogę powrotną w górę torować sobie wyrąbywaniem stopajów, na co zużyliśmy co najmniej pół godziny czasu.

W miarę tego jak zbliżaliśmy się ku południowi i z obszaru dolin górnego piętra schodziliśmy na dolne, czuliśmy wyraźnie powietrze łagodniejsze i teren nie przedstawiał już prawie żadnych trudności do zwalczenia. Pochód byłby wcale dogodny, gdyby nie głębokość śniegu, w który zapadaliśmy poza kolana, a niekiedy po pas i to tak gwałtownie i ciężko, że nie raz każdą nogę z osobna należało rękoma wydobywać z uwięzi śnieżnych. Prawda, bywały przestrzenie o wierzchniej skorupie tak mocnej, że po niej można było przejść kroków kilkanaście jak po posadzce, ale by się nie załamać, należało zachowywać

wielką ostrożność i lekkość stąpania. Mnie z góralami udawało się wyzyskać tę tajemnicę tak szczęśliwie, żeśmy nie raz owe przestrzenie przebiegali wyborną truchtą, gdy jednocześnie oboje z reszty naszego towarzystwa mimo że lżejsi wagą i siłą, brnęli i zapadali aż póki po dłuższym czasie nie nabrali wprawy odpowiedniej. Na domiar złego Józef D. ugrząząłszy raz w śniegu, gdy wydobywał ztamtąd jednę nogę swoją, uderzył się ciupagą w kolano.

Przed 10-tą godziną wieczorem stanęliśmy u szałasu góralskiego, krzepieni nadzieją znalezienia znośnego noclegu. Szałas cały zawiany śniegiem. Górale odgarnąwszy części jego od strony wejścia i wczołgawszy się do wnętrza, wołają po chwili:

— Chodźcieno ino, panie, popatrzyć.

Przez niski otwór, zastępujący drzwi, wczołgałem się i ja: niska mała koleba zasypana od dołu do góry śniegiem, który snać pędzony wiatrem wcisnął się dogodnie przez drzwi i szerokie szczeliny w ścianach i w dachu.

— Ile czasu potrzebujemy na oczyszczenie koleby? — pytam górali.

— Ze trzy godziny — odpowiadają.

— A więc nie ma rady, trzeba iść dalej: schronisko Towarzystwa Tatrzańskiego jest obszerniejsze, będzie gdzie się położyć, a że kamienne i z dachem zapewne lepszym, mniej będzie zasypane.

Zjadłszy na prędce śniegu dla pokrzepienia się i zgaszenia pragnienia, pobrnęliśmy dalej.

W dolinie cisza i spokój panowały wszechwładnie, gdy u stropu nieba szalał wiatr gwałtowny, pędząc i przerzucając tumany obłoków z jednego widnokręgu na drugi. Wstrząsane i szamotane rzutami jego chmury rwały się co chwila, a wówczas przez rozdarte ich opony wychylał się księżyc, rzucał hojnie snop promieni jak jałmużnę królewską światu cieniów i mroków, zalewał refleksem swych blasków całą biel doliny, ześlizgiwał się resztką promyków po miedzianych szczytach lub czarnych pasmach głównego trzonu, strzegących doliny z jednej strony a dalekiego Koziego Wierchu z drugiej i znów się krył dumnie po za osłony chmur, zdawał się je wstrzymywać w biegu czarem swej srebrnej potęgi i sam natomiast gonić

w dalekie przestwory nieba po nad uśpioną czy oniemiałą z podziwu w całunach śmierci ziemią.

— Okoliwszy północną część Wielkiego Stawu, dotarliśmy nareszcie przed północą do tej cyklopowej czy pelasgijskiej budowy, którą nazwano schroniskiem Zeisznera, a dotarliśmy po piętnastu godzinach najforsowniejszego pochodu z małym kwadransowym wypoczynkiem na Zawracie. Czy taki wysiłek byłby możliwy po za atmosferą górską a Tatrami w szczególności, to chyba najłacniej odpowiedziałby żołnierz z kampanii zimowej. My możemy poprzestać na zapewnieniu, żeśmy się ocknęli nad Wielkim Stawem nie jako niedobitki wielkiej armii, (mimo przebytej przed paru tygodniami influenzy, która trapiła mnie i Józefa D.), a tem mniej jako maroderzy; o dalszej zaś sile naszej bojowej zaświadczyłyby chyba potroszczone tej nocy w żołądkach zapasy żywności, twarde łoże śnieżne i pochód nazajutrz przez Miedziane o wiele straszniejszy od Zawratowego. No, ale na razie myśmy nie myśleli o ważeniu sił naszych, a raczej ilości śniegu, jaki zastaliśmy w schronisku i zabezpieczeniu Zeisznera od wszelkich z naszej strony zakusów na cześć należną pamięci jego. Wytłumaczę się wyraźniej.

Owa cyklopowa, z kamieni polnych luzem złożona przez Tow. Tatrz. ku pamięci pierwszego geologa Tatr a wygodzie ich wielbicieli, budowa była wprawdzie przestronniejsza od grobu Agamemnona, ale tak samo jak w tamtej:

> Wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
> I ma Elektry głos,

jeno, że nie napędza do niej (przynajmniej jak teraz w zimie) nasion puchy, lecz śniegu, który się ułożył do czwartej części jej wysokości. Czy otomany i łoża nasze urządzić na tych miękkich puchach, czy wyrzuciwszy je — po spartańsku na twardej ziemi? Wybraliśmy drugą część alternatywy w obawie, aby rozgrzanemi ciałami naszemi nie sprowadzić stajania śniegu i potopu, któryby zalał mające się rozłożyć w niższej ku drzwiom części ognisko i biwakujących przy niem górali.

Ognisko! Co za ironia przypuszczenia! Wszakże my ten prawdopodobny wraz z potopem ciepła rachunek robiliśmy bez wiadomości Gospodarza tych obszarów, któremu się podobało wznieść je do wysokości przeszło 1·670 metrów nad poziomem

morza *) a przeto uczynić je nagiemi i wolnemi od wysokopiennego zalesienia drzewnego. Wprawdzie zabłąkało się tu garstek parę drzewa w postaci płazów, z których sklecony ów dalszy o godzinę drogi wstecz szałas góralski, tudzież z tarcic dach schroniska. Ale je tu pracowita ręka ludzka zniosła o dzień drogi a tak oszczędnie i kosztownie jak cynamon; zresztą stoi to drzewo jak zaklęte dla nas — budulcowe, uwięzione w ramach budowli, nie dla ognia, budowli, której prawo własności tak dosadnie zastrzeżono paragrafem ustawy karnej. A tu tak nęcąco wyglądają te poprzecznie ułożone na dachu tarcice wcale nawet zbyteczne, bo niby mające chronić dach od zerwania w razie burzy! Wszakże zamiast nich położyć można kamienie a natomiast ileż by to z nich było wesela, ciepła ożywczego, ile życia przy owej o sześć stopni niższej od przeszłej nocy temperaturze, przy owym wietrze, który zniżywszy się teraz do poziomu schroniska, przeszywa do szpiku kości i w przymierzu z wzmagającym się mrozem grozi nam metamorfozą sześciu posągów lodowych!

Wobec tej iście hamletowskiej alternatywy unieśliśmy się uczuciem szlachetności względem dwóch tak poważnych instytucyj, jak Towarzystwo tatrzańskie i c. k. sąd krajowy w Nowym Sączu. Ani nam obciążać budżetu jednego z nich przez wystawienie w dolinie pięciu stawów sześciu cynamonowych pomników dla naszych sześciorga zlodowaciałych zwłok, ani »kawałków« drugiego przez proces. Pozostawiając następcom naszym zaszczyt przejścia do nieśmiertelności tą lub tamtą drogą, wybraliśmy trzecią pośrednią, nazwaną przez jednych złotą, przez drugich ślamazarną, a to dzięki temu samemu Gustawowi, który jest tak dalekim zarówno od złota jak ślamazarności, a który nie bez tryumfu przypomniał nam, że wszak od dwóch godzin wleczemy za sobą dwumetrowy kawał jakiegoś zmurszałego drewna, znalezionego na upłazie.

— Eureka?

— Tak, Eureka na dwie godziny: to drzewo wystarczy do uwarzenia zupy i herbaty teraz i jutro rano, a reszta nocy?

— A kosodrzewina?

*) 1·676 m. rachują wyniesienie zwierciadła Wielkiego Stawu nad poziomem morza. Granica pasu reglowego świerków sięga 1·486 m. nad poziom morza po stronie północnej Tatr, po za tą granicą wyżej znika on zupełnie.

— Eureka! To prawdziwe dobrodziejstwo Boże, ta kosówka w tej głodnej a zimnej pustyni: życia nie przyczyni, ale i śmierci nie da, a czyż byt ludzki nie jest najczęściej balansowaniem wegetacyjnem między życiem a śmiercią? Dobrze już jeśli go oświetlają i łudzą od czasu do czasu blaski migotliwe, a tych właśnie nam użyczy ten skromny, twardy, pogardzony kopciuszek tatrzański.

Wybiegamy na dwór. O setkę kroków po za schroniskiem sterczą nad białym śniegiem ciemnozielone iglaste czubki i kitki, jak nastroszone w gnieździe główki z dzióbkami piskląt sikory, tak samo ostro jak one — z gniewu czy z lęku za dotykiem kłujące i tak samo przy rozgarnieniu ich to się kurczące i cofające wgłąb podścieliska, to wyciągające swe poplątane, chude, zbiedzone ramiona i skrzydła i zdające się w końcu mówić: bierzcie już nas, bierzcie do swojej koleby; opieraliśmy się wichrom i zawiei, ale wam się nie oprzemy: miejcie z nas światła i ciepła choć tę szczyptę, jakiej krom nas nigdzie nie znajdziecie.

I legły pod toporkami naszemi i posłużyły nam nie tylko do podsycania ogniska przez noc całą, ale nawet kilku bujniejszemi gałązkami na podścielisko pod głowy, zbyt zagrożone usuwającym się wałem śniegu, który zgarnęliśmy w kąt niezajęty przez ognisko i łoże koleby.

Jak Gwebrowie łaknący światła i zapatrzeni w ogień, tulimy się doń i obsiadamy go w końcu dokoła, aby nie uronić zeń ani jednego płomyka, ani jednej zda się iskry. A po wieczerzy, spożytej niemal na żagwiach, długo jeszcze z niemi rozstać się nie możemy, susząc swe suknie i »handry« obuwia naszego. Kopce mokre do ostatniej nitki, a okrywające je wory płócienne zesztywniałe w śniegu, teraz zaś zdjęte i zawieszone na żerdziach za ogniskiem, wyglądają jak stalaktyty, kroplami skąpemi ociekające przy płomieniu. Górale pozbawieni suchej bielizny i obuwia na zmianę, suszą je pośpiesznie wraz z nogami przy samym ogniu, a Gustaw zdjąwszy swe ażurowe czerwone szkarpetki i cienkie jakby wprost z buduaru niewieściego meszty, formalnie przypieka swe stopy nagie w »jarzącej watrze« tak samo jak przed chwilą przypiekał sperkę słoniny.

Czas pomyśleć o spoczynku. Cofamy się po kolei w głąb schroniska ku owemu wałowi śnieżnemu, mającemu nam słu-

żyć za wezgłowie, cofamy się z dzwoniącemi zębami i z żałośnem wspomnieniem noclegu przy hali Gąsienicowej. Żałość ta snać zmogła najłacniej D . . . . skiego, jako najmłodszego z nas, bo rychło zasypia snem twardym. Górale zawijają się w czuhy i szeregiem kładą się na ziemi, głowy i ramiona oparte o kamień, a nogi zbliżone do ognia.

Z półjawu sennego budzę się po godzinie. Ogień nieco przygasa, rzucając tylko czerwone błyski na białe trzy postacie góralskie, zwinięte rzędem w kłębek Z drugiej strony pochylona nad ogniskiem postać niewieścia czuwa nad niem i widocznie jak duch opiekuńczy nad całą naszą drużyną uśpioną, bo oto rzuca gałązkę kosodrzewiny do gasnących zarzewi, a przy buchającym ich blasku widzę, jak poprawiwszy sukienkę swoją, obszywa nas, cerując zdarte w wędrówce rękawice nasze. Po chwili wstaje ostrożnie, przykrywa i otula drzącego we śnie krewniaka, zwraca się ku góralom i pochylona nad Gustawem wsłuchuje się z trwogą, a współczuciem w jego senny pomruk i ciężkie z jękiem westchnienie: Kto wie co walka życia mogła osadzić smętnego na dno duszy tego dziarskiego, wesołego dla światu a bezdomnego górala? I znów siada, znów skrzętnie pochyla się nad robotą. Cisza dokoła ze smętkiem króluje. Zbłąkany promyk księżyca zagląda ciekawie przez szczelinę i cofa się trwożny, spędzony podmuchem wiatru i czerwonym połyskiem buchającej gałązki kosowej. Jękowi wiatru daje odzew nowe westchnienie z piersi góralskiej. I znów cicho, posępnie, żałośnie . . . . .

. . . .

Jeżeli rycerstwo niewieście, bojujące w obronie uciśnionej połowy rodzaju naszego, pragnie jak najraźniej spropagować mężczyzn na rzecz równouprawnienia szatnego i emancypacyi swojej od długich sukien, niech ich wyszle razem z damami o sukniach powłóczystych w góry, a zwłaszcza na Zawrat w zimie. Najgwałtowniejsze oracje Cycerona przeciw Katylinie wydadzą się wówczas gruchaniem kochanka, a mową anielską filipiki Demostenesa wobec tych, jakich nie poskąpi turysta męski modystkom. W jaki sposób towarzyszka nasza plącząc się co chwila w zwojach swej długiej sukni zdołała przejść Zawrat, to pozostanie tajemnicą jej sił niewieścich, ale że się nie cofnęła ztamtąd przed gwałtownością mojej filipiki, to już pozostanie za-

gadką bodaj ze stanowiska naturalnych praw cierpliwości nadludzkiej, skoro nawet oba zegarki nasze odmówiły posłuszeństwa i stanęły nieruchomo. W ten sposób zrana trzeciego dnia pobytu naszego w górach nie byliśmy w stanie z całą dokładnością oznaczyć czasu, nie tylko naszych obserwacyi atmosferycznych, ale i tak ważnego faktu psychiczno-socyologicznego, jakim było ustępstwo kobiety u schyłku XIX w. ery naszej. Gdy się nad ranem zdrzemnąłem i w godzinę potem zbudziłem się, słońce już weszło i stało na niebie jasnem, przy silnym wietrze północno-wschodnim, który dawał uczuwać o wiele więcej wrażenie zimna, niżby się należało spodziewać po stanie termometru, wskazującym 3° R. Zaledwo oderwałem wzrok od barometru i jego 62.6*), a oczom moim przedstawił się widok skróconej o pół łokcia sukni na naszej towarzyszce, dość misternie, bo nie mogąc doszukać się zwykłych igieł i nici, skróciła ją igłą cygańską nawleczoną szpagatem.

Że my mężczyźni potrafimy odpłacać się wzajemnością i być wspaniałomyślnymi, poczęliśmy tedy czynić nawzajem ustępstwa na rzecz toalety niewieściej w strojach naszych, obwiązując sobie głowy i szyje chustkami. Mnie się dostała w udziale czarna zostawiona przez panią D . . . ską chusteczka koronkowa, która ułożona na głowie, wdzięcznie spadała w festonach aż na ramiona; nasunięta na niej czapka była przewiązana pod brodą chustką białą.

Poczekawszy na Józka, który pobiegł był do tamtego szałasu po zgubiony tam wczoraj na przestanku serdak panny Stanisławy, drużyna nasza, wyglądając teraz jak marodery z pod Berezyny, ale dzielny stawiająca opór zimnu i wiatrowi, wyruszyła raźnie ku górnym południowym kresom doliny Pięciu Stawów. Pochód po równinie i usypisku, mimo takiej samej głębokości śniegu jak wczoraj, nie wydawał nam się zbyt przykrym pod jasnem wesołem niebem i weselszem słońcem, złocącem cały górny horyzont doliny z dwóch stron i również dalekie iglaste turnie od północy. Gdyśmy się zbliżyli do miejsca, gdzie się zlewają stoki Miedzianego i Swistówki, poprzedzający nas o paręset kroków górale zatrzymali się na zboczowem płaskowzgó-

---

*) W Zakopanem o 8-ej dnia tegoż termometr stał na 3·5, barometr o 13.8 wyżej. Dalszych obserwacyj w górach nie czyniliśmy z powodu zatrzymania się zegarków naszych i niebezpieczeństwa na Miedzianem.

rzu i Obrochta zaczął rozglądać się w topografii miejscowości, badać teren i namyślać się nad kierunkiem drogi, któraby nas najbezpieczniej zaprowadzić mogła na tamtą stronę gór na dolinę Roztoki lub potoku Rybiego. Zadanie do rozstrzygnięcia wcale nie było łatwem. Przed nami w kierunku zwracającym się na lewo ciągnął się coraz wyżej stok zboczowy głównego trzonu tatrzańskiego, przechodził zataczając półkole w odramienie boczne, które u samych wyżyn rozszczepiało się w prawo i w lewo we dwa grzbiety Swistówki i Miedzianego, rozbiegające się od siebie jak wyciągnięte w górę rożki ślimacze lub mocno odchylone od siebie rogi kozicy. Świstowiecki grzbiet na lewo szarzał ciemną żółcizną, a Miedziane na prawo czarną nagością, gdy stoki aż do stóp naszych tak głębokim okryte były śniegiem, że się zatarły nietylko wszelkie percie, ale same kontury i linie zboczy oraz stoków. Wszystkie dotychczasowe szlaki turystów i doświadczenia przewodników, strzelców i kłósowników za nic teraz ważyły i na nic się przydać nie mogły: trzeba było wybrać nową drogę odpowiednio do tych warunków, w jakich znajdowaliśmy się.

Snać nad tem przemyśliwał Obrochta: widoczne to było z całej postawy i zachowania się jego: to zataczał wzrokiem cały przed sobą widnokrąg, zatrzymywał go dłużej na Swistówce i Miedzianem, wytężał oczy ku jednemu punktowi, w który się wpatrywał długo i badawczo, potem spuszczał głowę na piersi, dumał i rozmyślał; znów się odwracał na prawo, przebiegał całą linię wierzchołków i zniżał wzrok ku stokom, słuchając uwag stojących za nim o dwa kroki Gustawa i Józka, którzy po kilku własnych słowach to wodzili wzrokiem za jego spojrzeniem, to patrzyli weń, jak w tęczę. Zdala od nas, wyżej na wzniesieniu kilkumetrowem wyglądał wraz z nimi wspaniale — jak wódz układający rozważnie ostateczny plan kampanii, mającej rozstrzygać o losach naszych.

Śledziliśmy go z żywem zajęciem i uwagą. Wreszcie spostrzegłszy połogą i dogodną pochyłość w kierunku głównego trzonu tatrzańskiego, wskazałem tam ręką pytająco: ażali to nie byłaby najwłaściwsza dla nas droga przejścia. Bartek spojrzał w tę stronę, poczem wskazał na słońce, a następnie powiódł i zatoczył ręką powolnie i urwał ją raptownie ku dołowi. Rozumiałem, co to miało znaczyć: droga z początku łatwiejsza, ale musielibyśmy zejść na drugą stronę głównego łańcucha

i ocknąć się na stokach doliny Smreczyńskiej i na każdy sposób nawet do późnej nocy nie doszlibyśmy do Morskiego Oka, do którego zresztą należałoby się spuszczać przez straszne o tej porze wrota Chałubińskiego i po za Mnicha, przy których przewodnik nie mógłby wziąć na siebie odpowiedzialności za całość drużyny.

— Więc róbcie jako się wam zda najlepiej — wołam mu z całem natężeniem głosu: — to rzecz wasza, my za wami pójdziemy.

Bartek skinął ręką przed siebie na lewo i poszedł w kierunku północno-wschodnim. My za nim szliśmy najpierw tym górnego piętra stokiem południowym góry, który się pochyla ku Przedniemu Stawowi od południa, a następnie okalając dolinę wspinać poczęliśmy się na stok północny. Linia kierunku naszego prowadziła zboczem dość stromem, a jednocześnie podnosiła się wciąż w górę ukośnie w lewo ku północnemu wschodowi, a więc z początku odpowiadała mniej więcej kierunkowi letnich wycieczek, chyba o parę metrów wyżej od niego. Całe więc to zbocze wydało się nam teraz więcej stromem niż w lecie, tembardziej, że zamiast pokrycia trawiastego, miało śnieżne o grubych warstwach, które wypełniło jej wklęsłości i utworzyło jednę wielką spadzistość terenu. Przeżynaliśmy ją idąc w poprzek, a jednocześnie wciąż się wznosząc w górę. Mimo głębokiego śniegu, w który zapadaliśmy powyżej kolan, pochyłość nasza przedstawiała się tak stromą, że obie nogi każdego z nas nie mogły się naraz zmieścić przy sobie, aby się oprzeć na nich wygodnie i nasycać wzrok widokiem przepysznie wznoszącego się z przeciwległej strony naszej lewej Wołoszyna, Krzyżnego, Buczynowych. Było się wciąż narażonym na balansowanie na jednej tylko stopie. Trzymając straż tylną, prosiłem co chwila towarzyszów moich na przedzie, aby patrzyli tylko na nogi swoje i pogłębione przed niemi ślady góralskie, a unikali spoglądania w lewą stronę, zarówno na dalszy z drugiej strony doliny Wołoszyn, jak na bliższe od naszej strony pochyłości. Zawrót głowy, lub nieuważne postawienie kroku groziło usunięciem się w dół. Pilnowałem też bacznie, aby nie wyjmowano wpierw tylnej nogi, aż przednia znajdzie dostateczne oparcie w stopaju a cała postawa na zagłębianej w śnieg ciupadze. Panna P . . . . ska czyniła na pozór zadość mym natarczywym uwagom i nale-

ganiom: szła prosto nie odwracając głowy, co wszakże nie przeszkadzało jej spozierać od czasu do czasu zezem na drażniące jej ciekawość zbocze.

Gdyśmy wreszcie stanęli w siodełku pomiędzy grzbietem Świstówki a wschodnim Miedzianego, widok ztamtąd na dziką kotlinę u stóp naszych i rozległy krajobraz dolin ku Białce z majestatycznem obramieniem Wołoszyna na zachód a szeregu poszarpanych turni wschodnich z Muraniem na czele — wynagrodził w zupełności mgłę wczorajszą na Zawracie. Niestety, napawać się długo tym widokiem nie mogliśmy, bo silny wiatr wionął, a przed ponowieniem się jego Bartek radził przejść pozostały etap niebezpieczny i naglił na dalszą drogę.

Zamiast jak latem pójść na lewo ku wyżynom Swistówki, zwróciliśmy się na prawo ku Miedzianemu. Turystom zwiedzającym tamte strony wiadomo jeśli nie z doświadczenia, to z wejrzenia — czem jest ta góra: grzebień ostry a gładki, raczej grań podniesiona na przestrzeni godziny drogi nader stromo bo pod kątem 75^0, który miejscami obniża się do 65^0 a niekiedy znów podnosi się do 85^0, a więc prawie prostopadle i pionowo; zbocza grani, mało co mniej strome, pochylone są na przestrzeni o wiele rozleglejszej, prawe (północne) ku dolinie pięciu Stawów, lewe (południowe) ku dolinie Roztoki; oba lśniące skorupą śnieżną, tak samo przeciwległy stożek Swistówki pokryty oponą białą aż do czubka, gdzie niegdzie tylko ukazując sterczące wiechy zeschłej żółtej trawy, jakby kosmyki płowe wyglądające z pod czepca. Natomiast cały grzbiet Miedzianego wolny od bieli, zwiany ze śniegu, lśniał czarną lub szarą nagością piarg i skały, gdzie nie gdzie tylko ze szczelin i rozpadlin majacząc małemi plamami śnieżnemi. Grozę terenu zwiększał brak linii stycznych najwyższej wierzchołkowej części końca grzebienia z terenem dalszym rozbiegającym się od niego: nie widać ich było od siodełka, tak że się zdawało, iż wierzchołek ten nie jest przyparty do trzonu gór poprzecznych, lecz jakby sterczący w powietrzu na podobieństwo kantu ostrego dwóch olbrzymich płaszczyzn pochylonych ku sobie pod kątem ostrym, podniesiony do góry wysoko w przestwór powietrzny, a oparty tylko niższą dolną częścią o ziemię, t. j. o siodełko.

Gdyśmy spojrzeli w górę na tę do przebycia piętrzącą się tak groźnie grań, niemiło i mdło niejednemu w duszy się

zrobiło. Ale gdy Bartek odważnie poszedł naprzód, a Gustaw i Józek za nim, poszliśmy i my reszta w ślady ich. Żadnego z górali nie chciałem zostawiać w odwodzie, bo przy takich właściwościach terenu na nic by się ich pomoc i tylna straż nie przydała; przeciwnie, skoro sliskie lub usuwające się piargi nie dawały mocnego oparcia nogom, góral zajmujący ostatni posterunek w razie usunięcia się poprzedzającego go wędrowca, chcąc go powstrzymać, musiał by impetem upadku sam być obalony i powiększyłby tylko liczbę ofiar; gdy przeciwnie idąc na przedzie mogliby każdy z nich ostrożnie i uważnie podać rękę z tyłu idącym i w razie ciężkiego niebezpiecznego przejścia pomódz do dźwignięcia. Jakoż praktyka niebawem stwierdziła słuszność tego przewidywywania i zarządzenia.

Pierwszy wysforował się naprzód Józef D., i nabrawszy przez dwa dni pochodu w górach wprawy, już nie wspinał się, a kroczył naprzód tak odważnie z pewnością siebie a spokojnie jak zahartowany w boju, idący do szturmu żołnierz. Dopiero przed samym wierzchołkiem począł się ślizgać, padać na kolana i czołgać się z coraz to większą trudnością, wreszcie obsunął się nieco i z rozkrzyżowanemi rękoma legł brzuchem na mocno spadzistej wklęsłości grani: nogi jego oparły się o jakiś natrafiony wystający złom grzbietu piargowego, ręce ślizgały się po szklistej powierzchni grani, a od głowy do najbliższego kamienia, za któryby się zaczepić można było i posunąć dalej zalegała podniesiona w górę przestrzeń na przeszło sążeń odległości; ani sposobu jej przebyć. W tej chwili wznoszący się Gustaw naprzód, obejrzał się, wbił jedną ręką ciupagę w piargi, drugą chwycił się za sterczący głaz, wyciągnął się w dół jak struna, podał obie swe stopy D . . . . iemu, a gdy ten je pochwycił rękoma, począł się kurczyć jak robak i wyciągać naprzód żywą u nóg swoich wagę.

My reszta tymczasem od dołu wznosiliśmy się powolnie ale statecznie do góry. Piargi z początku były suche i trocha skrzepłe, więc szło się prawie tak samo jak latem na Zawracie, powoli jednak stawały się one twardszemi, spójniejszemi, a tu i owdzie przesiane wąskiemi podłużnemi smugami lodu lub nawet kosmykami śniegu; a że spadek pochyłości grani podnosił się stromo, wypadało nieraz raczkować. Mając bezpośrednio przed sobą towarzyszkę naszą, starałem się jak najmocniejszą wyszukiwać podstawę dla niej, aby i samemu zabez-

pieczyć się i w razie jej obsunięcia po ostrej grani w dół, zatrzymać na sobie; jednocześnie wystawiałem ciupagę z prawą, a rozpostartą lewą rękę z lewej strony, aby przeszkodzić staczaniu się po bocznych pochyłościach grzbietu miedzianego. Widząc to oskrzydlanie jej, zaczyna ona wyrażać obawę o mnie samego i oglądać się w dół, narażając się na niebezpieczeństwo upadku.

— Proszę się nie oglądać — rzekłem z niecierpliwością — wyrażanie uczuć troski zostawmy na później.

Uwaga nie skutkuje; oglądanie się w dół wywołuje pozycyę tak wygiętą, że grozi utratą równowagi, zwaleniem się na mnie i stoczeniem w przepaść.

— Przez Boga miłosiernego, zaklinam panią, o zaniechanie tej gimnastyki, bo się usunę stąd precz.

Wydostajemy się w milczeniu na połowę wysokich grani. Zrywa się wiatr silny od północnego wschodu i prze nas ku spadzistości, a co gorsza — zaczyna igrać i swawolić z sukienką towarzyszki naszej, nieco ukróconą szpagatem góralskim przy Wielkim stawie. Ona się znów ogląda, a zgarniając sukienkę zaczyna błagać:

— Niech pan idzie naprzód.

— Choćbym nawet chciał opuścić swoje stanowisko i pozostawić panią za sobą, którędy przejdę?

— Ja pana bardzo proszę — ponawia błaganie z bolesnym wyrazem twarzy.

— Czy pora teraz myśleć o toalecie? Naprzód! — zawołałem surowo.

Wówczas na wysokości 7.000 (siedmiu tysięcy) stóp wyprostowuje się, wyjmuje z pod szyi spinkę srebrną, pochyla się i łączy nią najniższy tylny brzeg sukni z przednim, tworząc z niej kostyum podobny do szalwarów tureckich. Na ten widok wołam ku wyżynie na Gustawa, aby spieszył z podaniem ręki, a sam powoli a dyskretnie usuwam się nieco w bok po rozszerzonej w tem miejscu grani.

Gustaw nie rychło pospieszył, bo był właśnie zajęty w górze D . . . skim; gdy wszakże po niejakim czasie gotowy do usług »zniżył się« i chciał podać rękę »panience», oparła się temu, woląc sama wznosić się naprzód; zaledwo wszakże tamten odsunął się od niej odrobinę precz, przywołała go znowu, prosząc o pomoc; zbliżył się, wyciągnął rękę,

i znów odmówiła, zadowalniając się widokiem i bliską obecnością siły ratunkowej uosobionej w Gustawie, która jej dodawała otuchy i pewności kroczenia naprzód. I tak się to powtarzało ciągle, aż zniknęli mi oboje pod wierzchołkiem z oczu.

Zanim to wszakże nastąpiło i zanim wogóle Gustaw pospieszył, ja usunąwszy się na bok i zaczekawszy chwilkę, zacząłem wspinać się małym żlebkiem równoległym do tej po głównym grzbiecie grani perci, którą był wskazał Bartek Obrochta, i po której wspinali się wszyscy, a na samym końcu towarzyszka nasza. Podniosłem głowę w górę, ażeby zbadać — na ile zszedłem z tej drogi i jak wiele wzniosła się w górę drużyna cała. Była to właśnie chwila, kiedy Gustaw kurcząc się wyciągał nogami swemi D . . . . skiego. Na ten widok, mimo niewygodnej pozycyi własnej, parsknąłem śmiechem. Czy to wskutek nieuwagi, wywołanej zapatrzeniem, czy przez wstrząśnięcie ciała śmiechem, noga mi się powinęła na piargach, tracę równowagę i jak byłem pochylony nad ziemią, tak czuję, że się zaczynam po niej usuwać; przypadam jeszcze bliżej twarzą ku piargom, czepiając się ich obu rękoma, gdy z jednej z nich wymyka mi się ciupaga i przeszedłszy pod pachą ślizga się wzdłuż ciała na dół; w obawie utracenia tak dzielnej pomocy w górach, chwytam ją prawą ręką, lewa nie mogąc udźwignąć całego ciężaru ciała, już zachwianego w równowadze, odrywa się od wystającego z piargi złomu skalnego i zaczyna się staczać po prawym kancie grzebienia z nogą prawą pochyloną ku przepaści stoku nad doliną Pięciu stawów: już stoczyłem się w jednej sekundzie o parę sążni w dół, jeszcze chwilka i albo całe ciało przechyli się w prawo ku przepaści, albo stoczy się ku siodełku Świstówki. Chwytam się konwulsyjnie ciupagą piarg, a lewą nogą z całem wytężeniem płużąc po grzbiebie Miedzianego, uczuwam wystający mały złom skalny; jednocześnie gwałtowny wiatr dmący od minuty, odsuwa mię od pochyłości południowej i prze z całą gwałtownością ku wyżynom. Zostałem na chwilę ocalony...

Wytchnąwszy w zawieszeniu nad przepaścią, zaczynam wydobywać się stamtąd i kierując się na lewo wspinać wyżej, aby trafić na perć środkowego grzebienia grani. Sprawa wcale nie była łatwą. Gdybym był się nie zsunął z owego grzebienia, mimo stromego jego wzniesienia i ostrego kantu, mógłbym go osiodławszy raczkować i wznosić się wyżej jakby po koniu,

który dęba stanął. Lecz jeśli to porównanie jest właściwem, to ja w tej chwili byłem uczepiony prawej strony brzucha owego olbrzymiego stojącego dębem konia i ślizgałem się właśnie po tym brzuchu, aby dostać się na grzbiet jego i jednocześnie posuwać się naprzód. Uciążliwość posuwania się w tych dwóch skombinowanych razem kierunkach wzmagał brak wszelkiego punktu oparcia dla rąk i nóg, oraz silny wiatr, który znów z całą gwałtownością dąć począł. Uratowana ciupaga oddała mi wówczas nieocenioną usługę: rąbałem nią stopaje w lodzie i piargach aż skry się sypały. W miarę tego jak jeden stopaj był gotowy, zagłębiałem tam prawą rękę, a ciupagę przerzucając w lewą, kułem nią drugi nieco wyżej, a wówczas zagłębiałem weń palce i wznosiłem się o krok wyżej. Po kilkunastu minutach takiej natężonej pracy, ręce mi skostniały i omdlały; zsunięta w tył grzbietu burka moja kocowa dusiła mię za gardło i tamowała oddech; owa niewieścia koronkowa chustka czarna w szamotaniu się i wietrze zsunęła mi się na oczy, zasłaniając światło do koła, gorący pot kroplisty zalewał twarz i budził pragnienie, które gasiłem gorączkowo przykładając usta do ziemi i gryząc lód lub napotkane tu i owdzie płaty twardego śniegu. Co chwila życie mi wisiało na włosku: niedostateczne zagłębianie ręki w stopaj, lub pośliznięcie nogi, niemającej żadnego oporu, staczało mię niechybnie na dół na prawo, wprost lub na lewo. Skoro się już wydostałem na środkowy grzbiet grani, nie tylko grube wełniane rękawice przedarły się zupełnie, ale i palce od grzebania w piargach pokrwawiły się niemiłosiernie, sprawiając ból za każdem nowem zagłębieniem onych w stopajach, a siły coraz bardziej się wyczerpywały w gorączkowem szamotaniu się z przeszkodami. I dziwna: mimo tej gorączkowości stawał mi co chwila z całym spokojem i z całą plastyką obraz niemal pewnego upadku i stoczenia się mego w dół. Mimo, iż jeszcze podówczas nie wiedziałem opowiadań Sobały o owych zaginionych juhasach na Zawracie, przedstawiałem sobie zupełnie analogiczny z nimi upadek mój co chwila spodziewany: koziołek wstecz na głowę i piłkowanie a podskakiwanie całego ciała, aż do roztrzaskania się onego na dole.

Naraz słyszę nad sobą głos przestraszonego Józka:

— Oj rety! A kandyżeście poszli, panie!

Odsłaniam łokciem nawisłą nad oczyma koronkę, podno-

szę głowę do góry i widzę jak o trzy sążnie nademną na przodzie stoi Józek i nie mogąc przyjść mi z pomocą z powodu pionowego w tem miejscu grzbietu grani, oddzielającego mię od niego, patrzy na mnie z wyrazem kilku sprzęgniętych naraz uczuć: trwogi, beznadziejnej rozpaczy i nadmiernego spółczucia a żałości w oczach. Zdziwiłem się — skąd ma ciupagę w ręku, skoro swoją stracił wczoraj na Zawracie. Ale rychło poznałem wątły i lekki czekanik panny P . . . . skiej, która wydostawszy się już na wierzch, a zaniepokojona zniknięciem mojem i usunięciem się ze środkowej grani, posłała ku mnie Józka.

— Daj mi linę ratunkową — krzyknę ku niemu: — wszakże kazałem wam wziąć liny.

— Kiej nie mam, panie — odrzecze — przy Gustawie ona.

Podniosłem jeszcze wyżej wzrok ku górze: ani Gustawa, ani nikogo z reszty drużyny nie widać. Zanim po niego poszedłby Józek i przyszliby mi z liną, upłynęłoby pół godziny czasu: za długo, zwątpiłem, ażali wystarczą mi siły przeczekania tyle czasu w zawieszeniu; przed upływem pół godziny albo mię one opuszczą i stoczę się w przepaść, albo sam się posunę naprzód na miejsce bezpieczniejsze.

— Mam pasek przy sobie! — woła dalej Józek.

I począł rozpinać z siebie długi na sążeń skórzany pas góralski.

— A masz tam przy sobie skałę lub kosodrzewinę? — pytam.

— Mam kosówkę.

— Chybkaj na ziemię i schwyć się ręką za krzak.

W okamgnieniu przypadł ku ziemi, schwycił się jedną ręką za kosodrzewinę, a drugą wyciągnąwszy się na całem ciele, podał mi pasek. Schwyciwszy go i pomagając sobie drugą ręką uzbrojoną w ciupagę, wydostałem się rychło na właściwą tę samą drogę grani, po której był poprowadził Bartek całą drużynę. Tam już z łatwością czepiając się dobroczynnych krzaków kosodrzewiny, w kwadrans potem sięgnąłem wierzchołka Miedzianego i połączyłem się z resztą towarzystwa, z którem już razem ruszyliśmy w dół po za Świstówkę i zaraz *) po południu stanęliśmy na Opalonym Wierchu.

*) Szli my tak przez Zawrat
I przez Pięć i stawy.
Przyszli do Morskiego Oka
Tam przez Wirch miedziany.
(*Pieśń Zakopańska* ze zbioru Gustawa).

Trudno orzec, — które z dwóch uczuć najbardziej zadowalnia serce człowieka, czy wzmagająca się coraz z siłami w górach żądza wciąż gonienia w nieznane światy wśród walk fizycznych i duchowych i pokonywania co krok przeszkód i niebezpieczeństw, — czy też zadowolenie z pokonania tych ostatnich, cisza a spokój po przebyciu tych walk? Po dwudniowych szamotaniach się, poraz pierwszy w całej pełni zaznałem teraz tego drugiego uczucia, połączonego z innem, nie mniej błogiem, choć rzadkiem, niekiedy upragnionem a możliwem tylko w takich przestworach niezaludnionych jak szczyty tatrzańskie. Byliśmy już stanowczo poza sferą wszelkich niebezpieczeństw, a jednak jeszcze na takim terenie, dokąd nie sięgnęły siedliska ludzkie, a o tej porze nawet stopa śmiałka przygodnie tu nie zabłądziła. Zatrzymaliśmy się w tem miejscu zbocza Opalonego skąd po przez dolinę Roztoki wzrok wyraźnie obejmował groźną spadzistość Krzyżnego. O kilkanaście kroków niżej od nas kończyły się w głębokim śniegu świeże ślady stóp ludzkich w kierunku od Roztoki. Z początku myśleliśmy, że dążył tędy p. P., o którym słyszeliśmy, że miał pójść w góry; może dotarł tędy od Roztoki i pragnał przedostać się przez Miedziane lub Świstówkę w dolinę Pięciu Stawów tj. z przeciwnej strony w te same okolice, któreśmy świeżo przebyli, lecz trafiwszy na niezmożone przeszkody, cofnął się z powrotem. Gdy jednak tuż obok trafiliśmy na ślady stada kozic, powzięliśmy przekonanie, że to musieli tamtędy przechodzić kłusownicy. Jakoż w kilka dni później dowiedzieliśmy się od samego P., że chodził w tym czasie w góry, ale w stronę doliny Pańszczycowej. Zeszedłszy jeszcze niżej w kierunku ku Rybiemu Potokowi wśród ciszy i ciepła promieniejącego od słońca, rzuciliśmy się z rozkoszą w śnieg i odświeżaliśmy podniebienia i usta świeżo zachowanemi na krzakach jagodami rosnącej tu w śniegu soczystej brušnicy. Smak ich dodawał nam tylko tej rzeźwości i pogody umysłu, jaką już uczuwaliśmy na widok otaczających nas zewsząd przestworów bezbrzeżnych, nie krępowanych żadnemi przykremi urządzeniami ludzkiemi. Jeśli kiedyindziej człowiek uznając dobrodziejstwa uspołecznienia i cywilizacyi, chętnie składa nieodbicie dla jej utrzymania potrzebne ofiary i ponosi ciężary, to rad był teraz, że nie zna ani tych dobrodziejstw, ani tych ciężarów; w duszy mu błogo było, że się choć raz może obyć bez kodeksów, paragrafów,

mundurów i t. d.; gotów zrozumieć możliwość istnienia lepszej cząstki aspiracyj szlachetnych — bodaj u opryszków, lub zazdrościć ptakom niebieskim.

Tak, ptakom. One tu już zalatują, już szczebiocą, już ożywiają świergotaniem swojem obie doliny — Roztoki i Rybiego potoku, które w niższych swych połaciach zalesione świerkami, jodłami i bukami; podszyte ciepłym mchem, wśród którego bujnie mimo zimy zielenią się: paprotka, gadzie ziele, czernica, bruśnica i inne nieznane w pasie kosodrzewiny i turni, lub zamarłe na zimę gdzieindziej. Cicho tu, pogodnie i ciepło jak na wiosnę.

Objęły nas znowu zimno i wiatr, gdy około 3-ciej godziny popołudniu zbliżyliśmy się do Morskiego Oka. Słońce już się skryło za góry, więc mimo pogodnego nieba wszystkie do koła jeziora turnie tonęły w wysokich cieniach; jeden tylko szczyt Mnicha migotał złotemi blaskami jakby otoczony aureolą wśród otaczającej go pomroki. Smętna, zimna cisza panowała do koła. Zwierciadło jeziora zamarznięte i pokryte śniegiem, przeświecało wszakże nieco lodowatością skorupy, a pośrodku przez całą długość linii poprzecznej widniała rysa, jakby szczelina z pęknięcia, połyskująca jaskrawo i odrzynająca się wyraźnie tym połyskiem od reszty powierzchni jeziornej.

Szczęśliwe przybycie nasze zapisawszy na zewnętrznej ścianie zamkniętego schroniska Towarzystwa Tatrzańskiego, udaliśmy się do otwartej szopy góralskiej i tam przy rozpalonem ognisku uwarzywszy i zjadłszy resztki zapasów naszych, przy zapadającym zmroku puściliśmy się w drogę powrotną do Zakopanego na Bukowinę.

O północy przybyliśmy na Łysą polanę i zanocowaliśmy u leśnika Dziadonia, tego samego, którego latem z. r. byli pochwycili hajducy węgierscy, a który im tak szczęśliwie umknął z więzów. A było też dla kogo umykać; obsiadła go dziatwa jak sikory: ćwierć kopy jak obszył, wszystko w jednej izbie, rozgrzanej do 30° Reaumura. Można sobie wyobrazić — jakiej łaźni zażyliśmy. Kiedym w nocy rozzuł się, epiderma skóry na nogach, zziębniętych i przemokłych całodziennem brodzeniem w śniegu, a następnie rozgrzanych ową nadmierną ciepłotą — za dotknięciem rąk oddzielała się plastrami i warstwami całemi.

Górale znużeni popadali na gołą ziemię jak kamienie, nie czekając nawet na siano, po które Dziadoń poszedł na pościółkę, ani na wieczerzę góralską, którą się zajęła towarzyszka nasza, w oczekiwaniu na drugą wyprzątaną dla niej na nocleg izbę.

Nazajutrz doszedłszy pieszo do Bukowiny i posiliwszy się winną polewką, powróciliśmy saniami do Zakopanego.

* * *

Nazajutrz po powrocie do Zakopanego spotykam Sabałę, który krocząc przez Krupówki ze swemi nieśmiertelnemi gęśliczkami w rękawie czuhy, zapatrzony jak zwykle w dalekie światy, nuci wesoło półgłosem:

Pytają się ludzie, czy Sabała żyje:
A on w Morskiem Oku dobre winko pije.

— Ej, ojcze — przerywam mu znienacka niewidziany przezeń — chyba tym razem nie wy, a kto inny spijał to winko przy Morskiem Oku.

— Prose piechnie — odpowie mi markotnie: — ludzie tera som barzo pracobliwi i ciekawi, chcieliby wszytko widzieć.

— Chybaż to nagany warte?

— Eh, nie, ino nie godzi się igrać z życiem własnem. Chwałać Bogu, że Wasza Miłość wrócili cało tym razem, ale Sabała Wam zakazuje chodzić tak drugi raz.

Pomijając bezwzględną potrzebę duszy i w ogóle pobudki osobiste, oraz względy naukowe, sprawa wycieczki mojej musiała być tak postawioną: prędzej lub później należało komuś z polskiej strony przejść Tatry zimą. Konieczność ta dopóty przedstawiałaby się co roku naglącą wobec nauki, społeczeństwa i aspiracyj duchowych człowieka, dopóki nie została by dokonaną. Szło tylko o inicyatywę.

Jeżeli piszącemu daną była możność przejść Alpy, Bałkany, Himalaje, Tien-Szau i Kueń-Łuń, to jużci bardziej niż ktokolwiek inny miał on prawo i obowiązek przejść Tatry w porze zimowej. A jeśliby kto mniemał, że już nie to prawo i nie ten obowiązek, ale i owa konieczność nie ciężyła w jednakiej mierze na reszcie uczestników wyprawy mojej, to może zechce pamiętać, że pewna szczypta heroizmu, pogarda śmierci, męstwo, wytrwałość i cała ta suma podniosłych uczuć i wra-

żeń, jakie dały Tatry zimą, nie są czynnikami zbytecznemi dla społeczeństw ludzkich, a naszego w szczególności.

Z tem wszystkiem, jak Sabała prawdę mówił o dwunastu juhasach na Zawracie (mniejsza o to — czy to prawda podmiotowa czy przedmiotowa: on jako filozof i artysta nie potrzebował faktów specyfikacyjnych; dość mu było możliwości i konieczności logicznej), tak też miał słuszność w dwóch wypadkach. Myśmy w wyprawie byli tak zabezpieczeni własną ostrożnością, temperaturą łagodną, doświadczeniem, dostatkiem światła (była pełnia księżyca), siłą uczestników, że bardzo trudno zdarzyć się może, aby się rychło i tak łatwo powtórzył zbieg tak sprzyjających okoliczności. Wiedzą o tem doskonale tacy znawcy tych warunków i tutejszych okoliczności jak górale, toć żaden z pytanych poza moim przewodnikiem nie chciał brać na siebie odpowiedzialności w ponownej wyprawie, jaką przedsiębrać tą samą drogą pragnęli dwaj turyści, którzy byli przybyli do Zakopanego we dwa tygodnie po naszej wyprawie na wieść o szczęśliwem onej dokonaniu. Pomijając Zawrat, życie nasze na Miedzianem w ciągu dwóch godzin co chwila tylko wisiało na włosku; a gdyby tylko o pięć stopni obniżyła się była temperatura w czasie dwóch dni pochodu między Czarnym Stawem a Morskiem Okiem, to jeślibyśmy nie zamarzli po drodze, wrócilibyśmy z poodmrażanemi rękoma, nosami i uszami. Stanowczo więc nie radzę takiej wycieczki tym, którzy by jej się podjąć chcieli dla samej brawury lub chluby: do tych uczuć w zbyt nierównym stosunku zostaje suma niebezpieczeństw.

Usprawiedliwić może turystę w tym razie tylko nieodwołalna wewnętrzna poważna potrzeba duszy ludzkiej lub wzgląd na naukę (dla żołnierza wzgląd militarny). W pierwszym wypadku rady są zbyteczne, w drugim radziłbym wybrać się na obserwacye na cały tydzień, a w takim razie pomyśleć jeszcze w jesieni o sprowadzenie obfitych zapasów drzewa na ogień w punktach obserwacyjnych i noclegach, a następnie dobrze porachować się z siłami górali i własnemi; w końcu ograniczyć się na personalu męskim, bo choćby się znalazła nawet tak wytrwała i odważna towarzyszka jak nasza, zawsze obecność kobiety będzie wzajem krępującą swobodę ruchów.

RUCH NAUKOWY LITERACKI

i

ARTYSTYCZNY.

W dziedzinie nauk przyrodniczych rok ubiegły a nawet ostatnie dwa lata nie mogą się pochwalić tak benedyktyńskiemi dziełami, jak n. p. wydana przed czterema laty praca B. Kotuli: »Rozmieszczenie roślin naczyniowych w Tatrach«, albo tak licznemi, rzutkiemi i samodzielnemi monografiami, jakie jeszcze dawniej były wyszły z pod pióra słynniejszych naszych botaników, ichtiologów, fizyków, geologów, i t. d.; ruch w tym kierunku zwolniał, może w oczekiwaniu przygotowujących się prac. Natomiast w naukach pokrewnych, począwszy od geografii, topografii i etnografii, a sięgnąwszy nauk wyzwolonych i belletrystyki przejawił się ruch tatrzański raźniej i dzielniej w kilku monografiach, bądź pogłębiających dawniejsze prace, bądź zupełnie świeżych i oryginalnych. Wreszcie w językoznawstwie, architekturze i sztukach pięknych wyróżniły się te dwa lata dziełami tak znamiennemi i dosadnemi, jak nigdy dawniej, mogąc legnąć dla przyszłości erą najsilniejszego wzmożenia prądów tatrzańskich.

Do pogłębiających prac zaliczamy przedewszystkiem ostatnią publikacyę prof. Rehmana, p. t.: »Tatry« *), w której autor ze zwykłą mu jasnością i zwięzłością podał obraz skrystalizowany gór naszych podług źródeł niemieckich, a zwłaszcza

*) W „Słowniku Geograficznym", gdzie artykuł rehmanowski jest w jednej części wyjątkiem z pracy tegoż autora o łańcuchu karpackim (w „Przewodniku naukowym", p.: t. Szkice geograf. z Karpat), z dodaniem ustępu o jaskiniach, które o ile były przedhistorycznemi, zostały poraz pierwszy zbadane naukowo przez Dra Samuela Rotha, oraz przez naszego Godfryda Ossowskiego. Konieczna kontrola musi usunąć zamianę niektórych nazw i parę myłek topograficznych, jakie mimowolnie wkradają się tam, gdzie nie ma możności zastosowania natychmiast własnej autopsyi i gdzie w natłoku nazw jedne stykają się z drugiemi. Tak np. Wartsee (brodawka), nazwa niem. szczytu Staroleśnickiego została wzięta za wrzekomo polską w pisowni Warze; znaczna pomyłka w obliczeniu wzniesienia polsk. Grzebienia; potok bielski wpada podług R. pod Drużbakami do Popradu, gdy Drużbaki leżą dużo dalej na Wschód i t. d.

Kolbenhayera. Jako pendant do tego wypada oczekiwać od autora większej i dosadniejszej autopsyi i kontroli tych źródeł, a w dalszem następstwie obrazu analogicznego podług źródeł innych, a więc i polskich.

A skoro mowa o źródłach obcych, choć w nieco odmiennym dziale i w charakterze monograficznym, to warto wspomnieć i opracowanie obce. Trocha w tym względzie dostarczył »Rocznik węgierskiego Tow. karpackiego« w dwóch pracach. Jedna w *Prehistor.-Funden* zdradza charakter jednostronny, druga w *Schmekser Gebirgs-Lehne (Münnich)* usiłuje odbiegać od takowego i w pięknie mikrokosmów sprzęgnąć symbolizm ducha ludzkiego z żywiołami natury i jej plastyką. Obok więc obrazów topograficznych i pejsażowych Smokowca, obok szczawów sławkowskich (Szmeksu), wije się legenda słowacka o *Smoku*, który *„Narodne Nowiny“* w »Tur. św. Martinie« przez *Zmaka* identyfikują z naszym Smokiem i rusińskim *Żmijem*. *S. W.*

Ponętne już nietylko z symboliki i podań przeszłości, ale zarazem z aktualnych czarów natury i charakteru ludzkiego, bardziej na północny wschód posunięte Tatry bielskie doczekały się sumiennego z naszej strony badacza-etnologa i topografa w osobie Dra Stanisława Eliasza, który owoc prac swoich zamieścił w »Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego«, za rok ubiegły i bieżący. Jeżdżącym do Zakopanego znane dotychczas tylko z dalekiej perspektywy w sylwetkach wyniosłej grupy Wschodnich Tatr — Murania i Hawrania, lub z czarodziejskich pełnych tajemniczości i uroku grot pieczary bielskiej — dziś dzięki pracy owej, stoją przed nami blisko, wyraźnie, dotykalnie, zarówno w szkielecie swoim orograficznym wraz z podgórzem, jak w barwnej mozajce topograficznej i pejsażowej, oraz poniekąd z ludźmi w ich zewnętrznej fizyognomii, kulturze i obyczajowości. Powiadamy »bliskiemi«. Takiemi one są geograficznie, ale oderwane od nas do korony św. Szczepana, nie były bliskiemi ani politycznie, ani w świadomości naszego serca i ducha. Jeśli Walery Eliasz, ojciec, pierwszy starał się wdrożyć w pamięć obecnego pokolenia, że Spiż nietylko należał do Polski prawem zastawu, ale jeszcze dawniej prawem etnograficznem i historycznem, to Stanisław Eliasz — syn pierwszy też usiłuje zapoznać nas z obecnym wszechstronnym stanem

części tego Spiżu, przebiegłszy sam niejednokrotnie połać kraju badaną i przeto wzbogacając wiedzę tatrzaństwa źródłowo i z pierwszej ręki. Z podanych obrazów już w części, a z przyszłych, któremi nas niezawodnie obdarzyć zechce p. Dr. Stan. Eliasz, zapewne jeszcze bardziej ocenić będzie można, jakie zachował żywioł spiski cechy anologiczne i wspólne z podhalanami, a jakim uległ zmianom pod wpływem żywiołów sąsiednich tak pokrewnej słowacczyzny, jak dalszej madyarszczyzny i niemieczczyzny. Zasługuje ta praca i z tego też głównie względu, że autor oparłszy nomenklaturę na nader żmudnych poszukiwaniach, ustalił takową racyonalnie i dodajmy — w kierunku rodzinnym. *J. G.*

Kwestya wzajemnego na się wpływu słowacczyzny i polszczyzny nie tylko na Spiżu, ale wogóle na obu stokach Tatr jest nader ważną i wymaga ciągłych i wszechstronnych badań. Są osady góralskie z tej i z tamtej strony, o których przy pierwszem zetknięciu się z ludźmi, z trudnością przyszłoby się orzec — czy należą do narodowości polskiej czy słowackiej; do tyla obie one zlewają się razem w pasie granicznym. A po za obrębem onego z jednej i drugiej strony wpływ ten lub ów daleko sięga. Janosik i inni zbójnicy mieli tu i tam swoje siedlisko i stali się bohaterami pieśni, zarówno polskich jak słowackich górali. Ubiór jednych i drugich wielce zbliżony do siebie. Różni w temperamencie, mają liczne punkta styczne w obyczajach, pojęciach i podaniach. Mowa naszych górali, zwłaszcza w poezyi, baśniach i wogóle podniosłej twórczości duchowej przepełniona jest wyrazami słowackimi; motywa muzyczne, zwłaszcza smętne są anologiczne ze słowackimi, natomiast u słowaków przedewszystkiem rozpowszechnione są aleksandryny krakowiaków. W Zakopanem i wioskach sąsiednich, jasełka recytowane są po słowacku, gdy w dalszych wioskach pod Myślenicami i Wadowicami śpiewają je czystą polszczyzną podług tych samych wszakże motywów i fabuły co słowackie.

Tę ostatnią kwestyę dokładnie wyświetlił p. Jan Grzegorzewski w pracy swojej p. t.: »D r a m a t l u d o w y z t e j i z t a m t e j s t r o n y T a t r« *), analizując twórczość jasełkową

*) Patrz, „Ateneum" między rokiem 1882 a 1885.

i zestawiając całe fragmenta odnośnych utworów obustronnych, co mu tem łatwiej przyszło dokonać, że będąc oryentalistą, poświęca się też od wielu lat slawistyce i miał możność w licznych publikacyach zapoznać świat słowiański z Polską, a Polskę ze słowianami zachodnimi i południowymi. Poruszywszy w 1883 r. myśl założenia muzeum tatrzańskiego w Zakopanem, przez zakupno ówczesnych zbiorów Kocyana **), od tej pory przejęty tatrzaństwem, poświęcał mu niejednokrotnie swą pracę, a w roku ubiegłym i bieżącym przylgnął ku niemu jeszcze bardziej stanowczo, i w porze zimowej pierwszy przeszedł Tatry przez Zawrat i Miedziane, co mu może łacniej było dokonać, niż komu innemu, skoro jako podróżnik po Wschodzie, przechodził Bałkany, Tiań-Szań, Kueń-Łuń, i Himalaje. Pochodem tym odsłonił się choć w części nieznany prawie dotąd, w głębi Tatr świat zimowy, dało się inicyatywę do dalszych tego rodzaju wypraw, poczyniło się parę próbnych obserwacyj meteorologicznych, stwierdziło się hipotezę prof. Dziewulskiego o zawisłości większej lub mniejszej ilości opadów atmosferycznych od stosunku w jakim zostaje kierunek głównego trzonu Wschodnich Tatr do wiatru północno-wschodniego i południowo-zachodniego, wreszcie osiągnęło się dla literatury tatrzańskiej opis, który odpowiadając zarówno programowi i zadaniom »Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego«, jako też naszego »Almanacha Tatrzańskiego«, został umieszczony przez autora z pewnemi zmianami tam w części, tu w całości.

B. B.

W kierunku badań meteorologicznych niepospolitą ma zasługę Towarzystwo Tatrzańskie wogóle a jego referent Dr. Daniel Wierzbicki w szczególności, który w roku ubiegłym i w przeszłym kontrolował nadsyłane z pojedynczych w Ta-

---

**) Patrz: „Wędrowiec“ z 1893 r. Myśl ta poruszona przez inicyatora, została skwapliwie podjętą przez Wydział Towarzystwa Tatrzańskiego; ale gdy wysadzona do zbadania sprawy i ocenienia zbiorów komisya wskutek zapewne przeszkód pory zimowej, nie mogła raźnie prowadzić sprawy, Węgrzy ubiegli ją, mając te zbiory blisko w Orawicy. W ten sposób przeszła do nich kolekcya bogata i liczna za bezcen. Dopiero później gdy myśl założenia muzeum zakopańskiego weszła w czyn, a Kocyan zaczął na nowo zbierać okazy fauny i flory tatrzańskiej, zbiór ten ponowny posłużył za podstawę kolekcyi zakopańskiego muzeum.

trach stacyj obserwacye, zestawiał je i na ich podstawie układał tablice meteorologiczne dla Towarzystwa Tatrzańskiego. W ciągu kilkunastu lat prowadzona wytrwale i systematycznie tego rodzaju praca w połączeniu z trudem zakładania nowych stacyi, z instrukcyami dla nich, ze wskazówkami dla turystów i z artykułami pisanemi w oddzielnych kwestyach klimatycznych, tak na podstawie obcych jak własnych badań, wymagają dlań wdzięczności ogółu i miłośników Tatr. Jest to par excellence meteorolog tatrzański, tak ze względu na ciągłość badań w tym kierunku, w której mu nikt dotąd nie dorównał, jako też odnośnej kompetencyi. Dla tego też mniemamy, że nikt bardziej nad niego nie powinienby uczuwać potrzeby energicznego nacisku na kontrolę w obserwacyach pojedynczych stacyi, dalej w nadsyłaniu przez obserwatorów spostrzeżeń w wahaniach atmosferycznych i wreszcie w urządzeniu bodaj na jednym ze szczytów tatrzańskich obserwatoryum automatycznego, a z czasem urządzenia dłuższej wyprawy zimowej na te szczyty, skoro inicyatywa p. Jana Grzegorzewskiego, (który przeszedł Tatry w styczniu b. r.) w podjęciu podobnej wyprawy wskazuje na jej możliwość.

Powyżej omawianą kontrolę obserwacyi znakomicie ułatwi meteorologii i klimatyce tatrzańskiej najnowsza praca Dra W. Florkiewicza, którą na wezwanie i prośbę naszą napisał on dla naszego »Almanachu«. Pełen zasłużonej wziętości i znany w szerokich kołach kraju, jako lekarz utalentowany i sumienny w chorobach wewnętrznych, Dr. Fl., przebywając od lat wielu w Zakopanem, z największą skrupulatnością badał i notował właściwości klimatyczne Tatr w ogóle, a doliny zakopańskiej w szczególności. Na podstawie tych właśnie badań, popartych i zasilanych obserwacyami kolegi jego Dra Matlakowskiego, przeprowadził pogląd na znaczenie Zakopanego, jako stacyi klimatycznej, jako uzdrojowiska pierwszorzędnego, pełen dosadności, precyzyi i przedmiotowego spokoju, dający rękojmię prawdziwości i zaufania do ostatecznych tej pracy wyników. W szeregu tatrzańskich studyów klimatologiczno-medycznych, jest ona — odnośnie np. do dawniejszej pracy Dra Stan. Ponikły — dalszym krokiem rozwoju, a krokiem pewnym, samodzielnym, autopsyjnym.

E—n.

Dzieło Bronisława Dembowskiego.

O gwarze zakopiańskiej pisano dużo. Z dawniejszych pisarzy; Staszic, Zejszner, S. Goszczyński; z nowszych: W. Eliasz, ks. Sutor, J. Konopka, prof. Nowicki przygodnie dotykali tej kwestyi, a Ad. Ant. Kryński, Władysław Kasiński i August Wrześniowski, specyalne jej poświęcili monografie. Zasługa pierwszych siedmiu pracowników o tyle wymaga uznania, o ile przygotowywali uwagę powszechną i przyczynili się do gromadzenia materyałów; Kryńskiego i Kosińskiego mają wartość ze względu postawionych zasad i usiłowań ujęcia badań nad tą gwarą w ramy naukowe. Sami jednak nie mając dostatecznej możności zapoznania się dokładnie i praktycznie z tą gwarą, musieli polegać na obcych spostrzeżeniach i ztąd przychodzili do wyników niezupełnych. Najwięcej po nich zebrał materyału cennego Wrześniowski, a zebrane przez innych sprawdzał sam na miejscu, szkoda tylko, że w pierwszej ze swoich prac wcale nie uwzględnił głosowni podhalskiej, a w drugiej bardzo mało.

Dla tego, skoro w roku 1889 pojawiła się pierwsza praca Br. Dembowskiego: »Spis wyrazów i wyrażeń używanych na Podhalu«, musiała zwrócić uwagę baczną, jeśli nie ze względu na bogactwo leksykologiczne, — w czem nieraz prześciga ją praca Wrześniowskiego, — to na nowość materyału i dokładną ą więcej przestrzeganą wymowę wyrazów. Wobec tej próbnej, jeszcze więcej znamienną okazała się praca tegoroczna, wydana również jak tamta staraniem Akademii Umiejętności w Krakowie: »Słownik gwary podhalskiej«, przewyższająca wszystkie poprzednie prace bogactwem i starannością zebranego materyału, stanowiąca poważny przyczynek do tak mało jeszcze zbadanych przejawów na tle ogólno-polskiego języka jak mazurowanie, a rzucająca nietylko wielkie światło na głosownię, ale i na morfologię i fleksyę samej gwary. Autor bowiem nie ograniczył się na podawaniu wyrazów (ich znaczenia i wymowy) w jednej formie, ale przeprowadza je w użyciu wszechstronnem, cytując całe wyrażenia i okresy, przez co ujawnia się składnia i w końcu nawet dla czytelnika, stroniącego od suchych kwestyj językowych — daje lekturę powabną i ciekawą. Praca ta musi teraz spowodować badaczy języka do bacznego i żmudnego trudu rozsegregowania zebranego materyału

i wykazania -- o ile z niego w gwarze podhalskiej ocknęło się bezpośredniej słowacczyzny, ile wpływu jej pośredniego, następnie innych, obcych żywiołów, a wreszcie rodzimego i miejscowego pierwiastku, czysto lokalnych właściwości. W następstwie takiej analizy ujawni się łacniej — jak wiele tu zachowało się wyrazów i po części form starożytnych, oraz o ile bardziej zbliża nas do słowian zachodnich ta gwara w stosunku do gwary szląskiej, lub narzecza kaszubskiego.

Spór graniczny nad Morskiem Okiem spowodował kilka studyów w kierunku historycznym. Oprócz broszur pomniejszych ukazała się praca większa, pióra zdolnego historyka Dra Aleksandra Czołowskiego, napisana z polecenia Wydziału Krajowego, a która ma służyć za broń dowodową przeciw uroszczeniom węgierskim.

Dzieło Dra Czołowskiego, oparte na samodzielnych badaniach odznacza się wielką ścisłością i zrozumieniem przedmiotu, który jest wcale zawikłany mimo pozornej jasności. W pracy tej znajduje się wiele nieznanych wiadomości, zebranych po tajnikach archiwów ojczystych i wiedeńskich.

Książkę objaśniają mapy, w liczbie pięciu, pięknie odbite.

Najważniejszą w pracy tej rzeczą jest oparcie początku sporu granicznego na okolicznościach wynikłych przed pierwszym rozbiorem Polski i w następnych latach. Pokazała się nieprzeczuwana nigdy wiadomość, że granicy pomiędzy węgierskiem żupaństwem spiskim, a powiatem nowotarskim nie ma wcale, bo nigdy nie była ustanowioną po zajęciu Galicyi, w przeciwieństwie do innych okolic, jak na granicy powiatu nowotarskiego a żupaństwa orawskiego i liptowskiego, gdzie granicę wytyczono urzędowo. Skutkiem tego odpadły znaczne obszary od naszego kraju na rzecz Węgrów u granic spiskich,

Pracy Czołowskiego zarzucićby można jedynie za wielką treściwość, co się jednak tłómaczy celem pracy, która ma służyć jako zbiór dowodów w sporze granicznym. *Dr. St.*

Jan Zacharyasiewicz, usunąwszy się w zacisze tatrzańskie, podczas spędzonej w Zakopanem zimy w 1893/4 roku, pod

tchnieniem powietrza górskiego, napisał dwa utwory: powieść w oddzielnem wydaniu, i nowellę dla nas. O pierwszej nie możemy mówić przed jej wydrukowaniem, drugą — jako przeznaczoną dla naszego »Almanachu«, drukujemy w niniejszym roczniku. Ma ona wszystkie zalety utworów tyle cenionego pisarza, będącego jedną z cenniejszych gwiazd słynnej od przeszłego pokolenia plejady powieściopisarzy naszych: potoczystość stylu, niezrównana łatwość dyalogowania i zawiązania intrygi w fabule, wreszcie koloryt łagodny i myśl zacna wraz z rutyną grania udatnie na pewnych strunach uczucia ludzkiego. A z tatrzaństwem wiąże się ta nowella, jeśli nie tematem z życia góralskiego, jak dawniejsza tegoż pisarza nowela »Kozica« to również ową myślą zacną, i swojszczyzną sylwetek, tytułem i akcyą końcową, a jeszcze bardziej tem efektownem a niespodzianem rozwiązaniem intrygi, które czytelnika chwyta za serce gorącą aktualnością zainteresowania terytoryalnego.

Z poetyckiej twórczości rok ubiegły przyniósł nam jedne z najcudniejszych perełek literatury tatrzańskiej — w »Liście Hanusi« (»z epickiego poematu na tle podhalańskiem«) Kazimierza Tetmajera. Jeśli natura Tatr znalazła piewcę swojego w Nowickim, to pieśniarzem tatrzańskiej duszy ludzkiej jest niewątpliwie Tetmajer. Subjektywizm jednego wyrzeźbił refleksa piękna przyrody w ogólno-polskiej mowie, objektywizm drugiego wydźwięczył tętno serca góralskiego w jego własnej gwarze podhalskiej, a wydźwięczył je z taką subtelnością, a jednocześnie prawdą i wyrazistością, że obraz pieśni mimo jej skromnej skali dorównywa najcudniejszym kreacyom sztuki, o tyle mowa ta pod jego piórem szczęśliwie współubiegać się może z najlepszymi wzorami naszych pierwszych pisarzy. Nie możemy się powstrzymać od zacytowania choćby dwóch ustępów. Oto początek listu Hanusi:

Kochany Jerzy mój! Pisę tu z tela
Ten List do tobie, a pisęcy, płacę.
Swiat mię całućki nic nie uwesela,
Kie w lesie pasę, wnet krowy potracę,
Bo syćko myślę, kielo nas ozdziela
Kraju i cy cię tez jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił,
Mój złociusieńki, tobyś się haw wrócił.

A oto koniec jej listu:

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
Jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
Abo co inse, od cego chroń Boze!
Nie zabacuj-ze tak swojej dziewcyny!
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
Ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niech cię Bóg strzeze i Najswiętsa Panna
Ludźmirska! Twoja tu ostaję — *Anna.*

Trudno o bardziej harmonijne sprzęgnięcie pieszczonych porywów romantyzmu z plastyką i spokojem realizmu epoki naszej. Fabuła przypomina Halkę Wł. Wolskiego, ale mimo analogii konturów, a nawet charakterów, mimo jednako brzmiącej struny rzewności, ileż więcej tu śpiewności uczucia w samej kompozycyi i mowie, gdy tam ją podnosi muzyka Moniuszki, ileż prostoty klasycznej, ile prawdy, nie afektowanej i nie filtrowanej żadnemi względami szkoły, a prawdy zarówno życia jak mowy. Niektóre wiersze, jakby żywcem są wyjęte z żyjących pieśni ludowych na podhalu, mimo odmiennej muzyki wiersza.

Gdy się czyta ten utwór, przychodzi koniecznie na myśl nowela St. Witkiewicza: »Na umarcie«, wydana w 1892 roku Z języka analizy psychicznej i odrębności sytuacyjnej bohatera, obie kompozycye tworzą wzajem do siebie wyborne pendant, z tą różnicą, że gdy witkiewiczowska dając sylwetkę męzką, uposaża ją odpowiednią jędrnością i siłą, tetmajerowska otacza własną sylwetkę miękkością i pieszczotliwością; tamta ogólno polską szatę zdobi umiejętnie dobraną ornamentyką góralską, ta w całości utkana z przędzy podhalskiej i chyba nawzajem, gdzie nie gdzie tylko połyskuje ozdobą ogólno-polską.

W dziedzinie sztuk pięknych, a mianowicie plastycznych, przedewszystkiem zaznaczyć wypada tę wielką stratę, jaką poniosło malarstwo w ogóle, a tatrzańskie w szczególności przez pożar hotelu »Jadwinówki« na Krupówkach. Mieszcząca się tam pracownia Stanisława Witkiewicza zgorzała do szczętu, a wraz z nią stały się pastwą płomieni malowidła, szkice, plany, wzory etc. — owoc prac kilkunastoletnich tego artysty.

Wielka ztąd szkoda materjalna da się obliczyć na wiele dziesiątków, ale artystyczna — nieobliczalna i niepowetowana, bo pomijając robotę techniczną prac zaginionych, staje obraz tych dróg natchnienia i pomysłu, przez które przeszły te prace, a które nigdy się już nie powtarzają w tej postaci i formie, w jakiej pierwotnie bywają poczęte.

Mimo tego wypadku Witkiewicz pośpieszył wziąć udział w Wystawie krajowej we Lwowie i posłał tam szereg obrazów, nie tylko dawniejszej roboty, ale i świeższej, bądź z płócien i kartonów, ocalałych w domu swym mieszkalnym, jakoteż tych, które wykonał już po pożarze. Większość ich należy do tatrzaństwa i z wyjątkiem Śmierci (z bajki Sabały — kartonu piórkowej roboty) są w rodzaju krajobrazowym. Naturalizm i skromność w układzie, bez wszelkiej afektacyi, jak odpowiada tej wspaniałej prostocie natury, z której artysta czerpał swoje natchnienie, tak też zgadza się z wykonaniem realistycznem każdego obrazu. Witkiewicz choć z pod innego nieba, jakby stworzony na malarza tatrzańskiego. Wszędzie śmiałe i pewne rzuty, wszędzie dużo powietrza, choćby w najgęstszym lesie: nie widać ani braku jego, nie czuć przeładowania ani w ustawieniu przedmiotów, ani w akcesoryach. Owa prostota, umiejętne użycie tła i światło-cieniów wywołują u niego nieraz wielkie efekta. Prosta grupa kilku świerków i jodeł rzuconych pod obszar granitów lub nagich wierchów, albo owa samotna postać »Śmierci« Sabałowej, pochylonej z rozkazu pana Jezusa nad falami oceanu, w poszukiwaniu za krzemieniem, bardziej imponują widzowi, niż najbardziej skomplikowane obrazy innych mistrzów. A cóż mówić o tej grze barw, o tem bogactwie kolorystycznych kontrastów, które tylko widzieć można w Tatrach! Bardzo być może, że owa specyficzna kolorystyka w połączeniu ze wspaniałością prostoty i konturami form górskich złożą się z czasem na wytworzenie tak odrębnej szkoły w malarstwie, jak tutejsze formy architektoniczne i ornamentyka złożyły się na wytworzenie odrębnego stylu tatrzańskiego w rzeźbie i architekturze.

Ta ostatnia poczęła zwracać uwagę architektów i nabierać rozgłosu, od czasu, kiedy Witkiewicz, ujawszy po Dembowskim sprawę stylu zakopiańskiego, uzdajał*) — jak powia

*) Stworzył, skomponował.

dają górale — przy ul. Kościeliskiej w Zakopanem dom Gnatowskiego, a następnie przy ul. Chałubińskiego — Dom Chrostowskiego.

Dom Gnatowskiego.

Pierwszy szkic planu budowy szerokich rozmiarów, zastosowalnej do zasobnych i wytwornych potrzeb był narysowany przez artystę w 1891 roku, — a gdy następnie plan już rozwinięty, został za porozumieniem z Gnatowskim przyjęty do budowy domu, (robotę ciesielską i wykonanie powierzono budarzowi miejscowemu Maciejowi Gąsienicy), wraz z rozpoczęciem takowej aż do ukończenia w 1893 roku zaczęły się pojawiać inne na wzór jego plany i dyskusya nad stylem tatrzańskim słowna i w prasie. Zarzuty były zasadnicze i konkretne, teoretyczne i praktyczne.

Przedewszystkiem dawały się słyszeć głosy przeciw wrzekomej dowolności architektonicznej, upatrując takową zarówno w obu domach (Gnatowskiego i Chrostowskiego) jak w ich pierwowzorze — chacie góralskiej i widziano w nich, albo zlepek fantastyczny przygodnej konstrukcyi, albo traktowano z lekceważeniem chłopskie budarstwo, jak ongi w czasach romantyzmu — chłopskie wiersze. Tymczasem architektura tatrzańska (tak ściśle góralska — jak jej rozwinięcie, tak wspaniałe w domu Gnatowskiego i surowsze w domu Chrostowskiego), oprócz względów utylitarnych, estetycznych i klimatycznych — oparta na ścisłych podstawach matematycznych, czyli — jak się wyraża Witkiewicz — ma tak samo swoje kanony, jak praca ducha heleńskiego. Można się o tem przekonać nawet nie na miejscu, skoro się ma w ręku dzieło Dra W. Matlakowskiego*). Jeśli np. ścianę szczytową chaty gó-

*) „Budownictwo ludowe na Podhalu“ z całą teką tablic in folio — wydane nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie. Wyborne to dzieło wyszło wprawdzie w 1892 roku, ale że się rozchodzić poczęło w następnym roku, sprawozdanie więc o niem wejśćby powinno właściwie do niniejszego rocznika; z powodu wszakże spóźnionego w druku artykułu jednego z architektów, artykuł ten drukować będziemy w przyszłym roczniku, lub w „Gońcu Tatrzańskim“, razem ze sprawozdaniem z drugiego dzieła tegoż Dra W. Matlakowskiego o Ornamentyce tatrzańskiej, drukującego się obecnie, również nakładem Akademii Umiejętności, a mającego stanowić pendant do powyższej publikacyi. W tej ostatniej jest ona także traktowana, ale tylko przygodnie; główna waga pracy spoczywa na bogactwie i sumienności materyału, na obrazie form architektonicznych we wzorach chat, szop etc. i składowych ich części — z jedenastu wsi góralskich.

ralskiej podzielimy na pięć części, to 4/5 tej przestrzeni, ni mniej ni więcej, musi się złożyć na długość krokwi dachu, stanowiącego jeden z głównych charakterów tej budowli.

Taka sama ścisłość stosunku i obliczenia zachowana jest wszędzie.

A dom Gnatowskiego musi być uważany tylko, jako wierny model zastosowania architektury góralsko-tatrzańskiej do szeregu wymogów zasobniejszych i wytworniejszych życia cywilizacyjnego, jak Chrostowskiego, do nieco skromniejszych, a rozwój jego form w zupełności odpowiada tej genezie, przez jaką przechodziły i w jakiej się rozwijały wszelkie inne style analogiczne. Wszakże styl szwajcarski rozwinął się z szałasów górali helweckich, a japoński z prostych bud ainosów — tą samą drogą i na tych samych zasadach.

Idzie tylko o wszechstronne i umiejętne zastosowanie pewnych składowych części tej architektury. Dotychczasowe szablony utarte w sądach bywają często dość jednostronne. I tak np. górale używają okrągłych, łukowych drzwi. W domu Gnatowskiego zastosowano te łuki i do okien. Pewien bardzo znany architekt, będąc w Zakopanem, czynił z tego zarzut budowie domu Gnatowskiego, opierając się na tem, że łuki są właściwością materjału kamiennego i nigdy się nie używają w drzewie. Czemu nie? Wszakże mamy plastyczny dowód na drzwiach góralskich. — Prawdopodobnie — odpowiedział na to — były tu niegdyś łuki kamienne. — Wątpić się godzi, ale mniejsza o to, choćby i tak było, ale teraz są drewniane.

Mówią też przeciw rozmiarom: — piętra loggie i t. zw. przez górali zwyżki nie widziane są w chatach góralskich — powiadano: — to jakiś romanizm.

Zarzut piętrowania obala się w zasadzie temi samemi argumentami co przy oknach, zwyżki zaś istnieją w praktyce. Jeśli w samem Zakopanem ich mało, albo bywają ślepemi, za to w innych wioskach góralskich pełno ich na domach, a niekiedy przechodzą w piętra na starych budowlach.

(O dalszych szczegółach domu Gnatowskiego, jako też o wykwintnej ornamentacyi jego i roli tu zaszczytnej samego właściciela, mówimy w »Gońcu tatrzańskim«).



Dom Gnatowskiego przy ulicy Kościeliskiej.

Dom Chrostowskiego.

Weźmijmy inny przykład zastosowania danej już nawet nie składowej części chaty, a innej budowli do potrzeb domu skomplikowanego. Drugim po Gnatowskiego najwdzięczniejszym okazem domu takiego w Zakopanem jest dom Chrostowskiego przy ulicy Chałubińskiego, zbudowany spiesznie podług planu Witkiewicza na rozmiary nieco skromniejsze i w surowszym stylu tatrzańskim, a zbudowany później od tamtego. Budarzem tu był znany chlubnie z wystawy Jan Obrochta. Owoż jest tam spuszczony okap, tworzący jakby werandę, nader wdzięcznie licujący z całym konturem budowli, a praktycznie służącym dla wygody domu. Nie tylko nic nie można zarzucić integralności objętego nim rysunku, ale — przeciwnie, zda się, że gdyby okapu nie było, straciłaby wartość rysunkowa całości. A przecie wzięty on ze zwykłej szopy góralskiej; jest to t. zw. przyłap, który górale tworzą z cofnięcia lub wykrojenia ściany obory, aby służył ochroną od deszczu i słoty np. dla dojenia krów.

Ograniczamy się na razie do powyższej charakterystyki obu domów, a jak nie wątpimy, że inni okrom nas zechcą analizować tę niepospolitą konstrukcyę, tak też sami zamieścimy niebawem na innem miejscu szereg własnych uwag nad niemi, a mianowicie:

Co do domu Gnatowskiego: nad wschodami frontowemi, sienią środkową, szlakiem ornamentacyjnym, biegnącym między parterem a piętrem i oknami kolistemi.

Co do domu Chrostowskiego: nad uzasadnieniem konstrukcyi frontowej, nad przyłapem południowym, nad zrębami. Co do obu domów: nad stosunkiem dachów do wysokości budowy.

J. G.

Z wyjątkiem Nalborczyka (nauczyciela miejscowej szkoły rzeźbiarskiej), który uzdajał i wykonał w gipsie biust i medalion Sabały, oraz biust W. Roja — rzeźba reprezentowaną była w roku ubiegłym wyłącznie w drzewie, z wyjątkiem boiska przedstawiającego park Dra Jordana w Krakowie, (kompozycya i wykonanie tegoż Nalborczyka), lub biustu cesarza Franciszka

Józefa i kilku przedmiotów figuralnych wykonanych w szkole rzeźbiarskiej — reszta prac służyła dla ornamentyki architektonicznej, dla mebli stylowych i drobniejszych przedmiotów ozdoby lub użytku codziennego, w ogóle dla **przemysłu artystycznego**.

Fachowa szkoła miejscowa, pod kierunkiem dyrektora Neużiła i przy współdziałaniu personalu nauczycielskiego, okazała postęp większy niż lat poprzednich. Ścieśniła ona wprawdzie zakres produkcyi swojej i wyjątkowo tylko wyrabia przedmioty na zapas do sprzedaży. Ale natomiast zwrócono większą uwagę na pracę wewnętrzną, na podniesienie kierunku artystycznego, oraz udoskonalenie pracy technicznej uczniów. Dawniejszy kierunek kosmopolityczny o tyle zaczyna się utrzymywać, o ile to jest niezbędnem dla dziejów sztuki i ogólnej zasadniczej wiedzy, a natomiast rozwijanie stylu miejscowego, tatrzańskiego coraz bardziej znajduje uwzględnienia — przy zwiększonej dokładności i czystości w wykonaniu. Dziś prace szkoły są celniejszemi i bardziej mają charakter właściwy niż dawniej. Toć jeśli przed kilku laty uważano ją jako jednę z pierwszych w kraju i w Austryi, to dziś niewątpliwie, mimo błąkających się niekiedy cieniów formalizmu i paragrafowości wstępuje na drogę stanowiska przodującego, co zapewne ujawni też Wystawa lwowska, która wywołała bardziej skwapliwą działalność szkoły i podnieciła ją do obesłania takowej licznemi wyrobami niepospolitej wartości stylowej.

Jeśli się mówi nietylko o szkole rzeźbiarskiej, ale wogóle o ruchu w przemyśle artystycznym w Tatrach, a więc i o pracach po za obrębem szkoły, to niepodobna nie zaznaczyć tego zbawiennego na ten ruch wpływu Witkiewicza, w kierunku podtrzymania rozwoju stylu tatrzańskiego, i uszlachetnienia wyrazistości i czystości jego motywów. Jak przedtem, tak i teraz, po rozwiązaniu się »Towarzystwa gospodarskiego dla przemysłu artystycznego«, (które było powstało za inicyatywą p. Neużila, a miało na celu ułatwianie zbytu wyrobów góralskich, zwłaszcza b. uczniów wyszłych z tutejszej szkoły fachowej) — daje on wzory (rysunki, modele) przez siebie uzdajane wielu rzeźbiarzom na sąsieczki (kasetki), czerpaki, noże zbojnickie w drzewie, kroksztynki, listewki i t. d.

Niektórzy z byłych uczniów tej szkoły, tak dalszą pracą własną, jak pod powyższym zbawiennym wpływem artystycznym

rozwinęli gust i technikę do znacznej doskonałości. Między nimi celuje Wojciech Brzega, z wybitną inteligencyą i rozwiniętą indywidualnością, którego prace tak wykonawcze jak samodzielne noszą znamiona uznanego artyzmu. Z prac samodzielnych, dał on w zeszłym roku rysunki do mebli p. Z., wykonane przez Wakulskiego, dalej meble staroście R., tudzież dla ks. Cz....

Po nim idzie Jędrzej Trzebunia, który również jak tamten przebywał czas jakiś w pracowniach i instytutach krajowych i zagranicznych, a celuje sumiennością wykonania — i wreszcie cały zastęp pracowników, wyszłych z tutejszej szkoły, a wykonywujących roboty przemysłu artystycznego o wiele lepsze i wykwintniejsze niż wyroby szwajcarskie. *E. n.*



Dom Chrostowskiego przy ulicy Chałubińskiego.

KRONIKA

z ROKU UBIEGŁEGO.

Jeśli życiem ludzkiem jest przędza przejrzysta utkana z łez i śmiechu, a rozpięta nad gościńcem róż i krzyżów, to od życia takiego nie odbiegają Tatry, nie odbiega też Zakopane. Zacznijmy od krzyżów, skoro cześć zmarłym jest cechą wykształcenia żyjących. Jużci tych godeł żałobnych śmierci nie może być wiele tam, gdzie życia ludzie szukają; ale z tych niewiela, dwa w roku minionym zaciężyły nad miłością ludzką: jeden wiosenny ks. Stolarczyka, drugi zimowy Bronisława Dembowskiego. Obadwaj należeli do tej plejady nowożytnych twórców Zakopanego, która pod wodzą Chałubińskiego tak dosadnie zaimprowizowała nową tradycyę dla Tatr i nową epokę dla górali. A jednak dziwna; mimo wspólności jednego przedmiotu ich uczuć, mimo jednako gorącego umiłowania Tatr i górali, mimo niekiedy jednych szlaków, którymi obadwaj zdążali do celu, zachodziła pewna różnica w działalności jednego i drugiego, jak ją wogóle dostrzedz można w obu odcieniach całej tej plejady, bez względu na zdolności i powołania indywidualne każdego z jej członków.

Ks. Stolarczyka ceniono przedewszystkiem jako kapłana, jabym go nazwał drugim apostołem Tatr w szerokiem znaczeniu tego wyrazu, a więc apostołem nietylko dla górali, ale i góralskim, pojętym przez nich i przez niego nawet samego w ich właściwem specyficznem znaczeniu. Ktoś jeszcze w przeszłym roku napisał, »że chociaż górale na swój sposób religijni, nie należeli właściwie do żadnego wyznania i dopiero od czasów działalności ś. p. ks. Stolarczyka zostali katolikami«. Jest wiele prawdy i trafności w tem orzeceniu tak w pierwszej jak i w drugiej jego połowie, zwłaszcza odnośnie do katolicyzmu obrzędowego, który oczywiście nie mógł pozostać bez wpływu na dogmatykę i etykę onego. Powiadają przecież, że ów mniejszy drewniany kościółek w Nowym Targu (pod wezwaniem św. Anny) stawiali zbójnicy tatrzańscy tak dla ekspijacyj dawniejszych

swych grzechów jak na intencyę i powodzenie nowych wypraw. Ojciec Mateja, zbójnik, skazany na karę, szedł do więzienia z różańcem w ręku. Wiadomo również, iż jeszcze za pierwszych lat kapłaństwa nieboszczyka, pierwszego proboszcza zakopańskiego, górale podczas nabożeństwa leżeli do koła ognisk i kurząc fajki wesołe sobie opowiadali dykteryjki na tem samem miejscu podwórza kościelnego, skąd teraz spieszą gromadami do ścian drewnianego kościółka i tam przytuliwszy głowy odsłonięte, z pewnym pietyzmem medytują lub słuchają rozlegających się we wnętrzu świątyni pięknych i melodyjnych pieśni góralek, wyuczonych przez ks. Stolarczyka. Czterdzieści sześć lat pasterstwa kapłańskiego na jednem miejscu, ta półwiekowa nieustanna styczność z tymi samymi ludźmi, to ciągłe w jednym kierunku działanie, musiało nawet w najtwardszych duszach wyżłobić nowe drogi ducha. Setki górali chrzcił, żenił i do wiecznego spoczynku prowadził, był ich doradzcą, ojcem, pogromcą, znał każdego nietylko najdrobniejsze stosunki życia codziennego, ale zdolności, potrzeby, pragnienia, najtajniejsze myśli i żądze.

Opowiadał mi jeden ze znajomych, jak przed dwudziestu laty zajechawszy do gospody góralskiej, do późnej nocy zabawiał się z kilkunastu góralami rozmową, i rozbierając się do spoczynku, zawiesił na ścianie złoty swój zegarek. Gdy nazajutrz przeniósł się do chaty prywatnej, spostrzegł, iż zegarka brakuje. Wszelkie poszukiwania na nic się nie przydały. Poszkodowanemu radzono udać się do ks. Stolarczyka. Ten wysłuchawszy opowiadania, odezwał się bez namysłu:

— A! wiem już, gdzie pański zegarek — a zwracając się do chłopaka służebnego, rozkazał: — Idź-no, zawołaj mi Szymka kulawego.

Zamiast Szymka, przychodzi po chwili Szymkowa z wiadomością, że mąż odjechał do lasu.

— No — odezwie ks. proboszcz — dawajcie Szymkowa zegarek, bo jak dłużej będzie u was, to się zepsuje.

— A dyć tak, prosę Jegomości — odrzecze Szymkowa i wsunąwszy rękę w zanadrze, wyciągnęła stamtąd przygotowany już i starannie zawinięty w szmatę zegarek. Za naszej pamięci przywłaszczenie mienia cudzego przez górala, a tem mniej kradzież pospolita jest rzeczą niesłychaną i należy do wyjątków, o wiele rzadszych, niż na całym innym obszarze kraju naszego. W tutejszych willach i zakładach zostawiają się

tworem drzwi w dzień i w nocy, a jeśli wypadkowo zdarzy się szkoda, to z pewnością dokonaną była przez przybyszów, nie przez górali.

Nie chcę ja przez to powiedzieć, że górale byli mniej poczciwymi przed ks. Stolarczykiem, ale pewna ich część lubowała się w pojmowaniu teoryi własności osobistej podług tradycyi opryszkowskiej: wziąć jednemu, którego się uważało za wroga, nienawistnego, lub posiadającego w ich mniemaniu nadmiar mienia, a podzielić je pomiędzy przyjaciół, lub posiadających mniej, podług tegoż mniemania, albo potrzebujących pomocy. A i takie nawet pojmowanie nie było powszechnem, czego dowodem właśnie ów przytoczony powyżej przykład z zegarkiem, któregoby był nie odszukał proboszcz, gdyby każdy był amatorem na niego. »Jegomość« więc znał swoich »Pappenheimerów« i to znakomicie mu ułatwiało jego zadanie. Ale ta właśnie znajomość nie zawsze mogła im być na rekę. Wyprawiano więc »Jegomości« niekiedy figle w ten między wielu innemi sposób, że gdy się niespodziewali rozgrzeszenia od niego, albo absolucyi pod zbyt twardemi dla niecierpiącej okiełznania natury góralskiej, udawali się gromadnie jako pątnicy na tamtą stronę Tatr i u takiej Starej Hory w górach liptowskich lub wogóle u nieznajomych kapłanów szukali ekspijacyi.

Jegomość oczywiście nie mógł takiemu pobożnemu pątnictwu przeszkodzić, ale gdy takowemu raz się zadość stało, udając, że ono było wynikiem zamiłowania ich do wędrówek w góry, sam podążał ku turniom i jeziorom tatrzańskim i ciągnął za sobą górali, pragnąc częściej obcować z nimi i akomodując się do ich nawyknień, na tle wspaniałych tworów bożych — żywem słowem roztaczać przed niemi prawdę i piękno słowa bożego. Sam pochodzenia góralskiego, olbrzymiej budowy, silny, skromnych potrzeb, zahartowany i wytrwały w znoszeniu trudów, posiadając, słowem, te zalety, które mogą się podobać i poniekąd imponować dzieciom gór — stał się nietylko wpływowym, ale i ulubieńcem ich. Prawda, niekiedy porwany czarem Tatr, nawyknieniami własnej natury i całego otoczenia góralskiego, zdawał się jakoby zapominać o swojem pierwotnem apostolstwie surowem, stawał się sam góralem jak jego towarzysze, pionierem nowych dróg i szlaków w Tatrach, lubownikiem zwyczajów góralskich, rad słuchającym ich baśni,

legend i jowialności, z zamiłowania śledzącym za ich tradycyą przeszłą lub objawami bujnej wesołej ich natury.

Ale chwile te musiały mijać: góral w miarę schodzenia z niedostępnych turni na regle i doliny, stawał się często znów »Jegomością«, surowo nawracającym do ortodoksalności, roztaczającym obrazy jaskrawe mąk wiecznych w piekle, w płomieniu którego jeśli nie zawsze mógł cisnąć czerwony zbójnicki kołpak harnasia, to tłukł lub rozbijał malowidła zbójnickie na szkle i niewątpliwie skazywał na zatracenie i zapomnienie wiele obyczajów i nawyknień, w mniemaniu jego sprzeciwiających się tej ortodoksalności.

Do nieco innej kategoryi należał Dembowski. Aby chciał przedtem nawrócić do zapadającej w przeszłość góralszczyzny staroświeckiej z całym jej aparatem opryszkowskim, wskrzesić i odżywić junactwo z tegoż antitezą ducha dzisiejszego społeczeństwa — to się nie da powiedzieć. Taka dążność nie leżała w naturze jego, dalekiej od junakierii, jak wogóle nie znalazła ona wyrazu nawet wśród ludzi może skłonnych ku temu. Mimo sporadycznych aspiracyj nie skonsolidowała się u nas nigdy oddzielna grupa ludzi pragnących takiej góralszczyzny jak analogicznej kozacczyzny ukraińskiej pragnie grupa ukrainofilów. Ale dla Dembowskiego tak jak dla Dra Matlakowskiego, jak dla Witkiewicza, Gnatowskiego i w. i. każdy zabytek, każdy ułamek tej góralszczyzny miał wartość nieocenioną. Fragment pieśni starej lub spółczesnej, bajka Sabały, dosadne wyrażenie zakopianina lub chochołowiaka, rysunek od drzwi z motywem tatrzańskim, czerpak juhaski lub haft kobiecy ważyły u niego tyle a może więcej niż wszystkie Schlimanowskie wykopaliska starej Hellady. — Za pewną dyalektyczną odmianą wyrazu lub łyżnikiem, czapką starą harnasia gotów był wyczekiwać miesiącami, byle zdobyć do swoich zbiorów, z których powstało z czasem piękne muzeum etnograficzne. Zbierał on każdą okruszynę i cackał się z nią, pieścił i ochraniał, jak relikwią zarówno z zamiłowania gorącego a żywego dla Tatr i górali, jako też w poczuciu sumiennego badacza, etnologa i etnografa, dla którego istniał przedewszystkiem wzgląd na pożytek społeczeństwa własnego, tudzież naukę i wiedzę, ale naukę rozpromienioną blaskiem zapału i wiedzę ogrzaną ciepłem serca dla tych, którzy byli jej przedmiotem i którym służyć miała.

Kiedy rozeszła się wieść o wystawieniu Zakopanego na

licytacyę i o możliwości dostania się onego w ręce obce, Dembowski zaczął jeździć po Tatrach i agitować wśród górali, aby zbiorowemi siłami zatrzymali tę perłę przy sobie. Za inicyatywą pp. Dembowskich, staraniem i kosztem ich powstała była w Zakopanem i w Chochołowie, pierwsza po za karczmą gospoda góralska i pierwsza czytelnia ludowa. Tam za dwa centy szklanka herbaty, lub za trzy — kawy, stawała się pożądaną ubogiemu człowiekowi strawą dla zziębłego lub zmożonego pracą ciała, tu czekała go gościnna strawa dla ducha — tak samo pożądaną, tak samo wyczekiwaną. Nie raz tłum górali i góralek docisnąć się nie mógł do wypożyczającej książki bibliotekarki, każdy chciał jak najspieszniej dostać druk i zasiąść do wspólnej z towarzyszami biesiady. Do tyla umiano zająć i za ciekawić lud do książki.

Dom państwa Dembowskich stał się był ogniskiem ciepła i życia tatrzańskiego. Skromna na Krupówkach chata Wojtka Roja, od wielu lat najmowana przez nich stale, jakże znaną się stała daleko poza Tatrami. Nieznajomi przechodzili obok niej z ciekawością i pietyzmem, a dla przyjaciół o ile stała zawsze otworem, o tyle bywała upragnioną przez nich gościną. Nieraz, gdy się spotkało Sabałę czy to nucącego wesoło pionskę, czy frasobliwie spieszącego w jedne drogę ze schowanemi w rękawie czuhy gęśliczkami, a chciało się go zatrzymać, lub rozpytać o co, miał najczęściej odpowiedź na ustach:

— Musim do państwa Dembowskich! Byłek u państwa Dembowskich! Jeszczem nie był dzisiak u państwa Dembowskich!

Tak samo niemal z innymi góralami, którzy spieszyli do nich, wiedząc, że znajdą tam otwarte dla nich serca, dobrą radę i najwięcej z tych ludzi, dla których miłemi i drogiemi stały się hasła tatrzańskie. Tu Witkiewicz z przyjacielskich pogadanek snuł przędzę do swojej »Przełęczy«, tu wielu innych bądź czerpali wątek do prac swoich naukowych, literackich i artystycznych, bądź składali na wymianę wrażenia i myśli zebrane w Tatrach. A tak rojowy dom Dembowskich stawał się często ogniskiem tatrzańskiem i jednym z ważnych etapów w rozwoju tatrzaństwa. Rozwoju tego nie można byłoby należycie zrozumieć i sumiennie ocenić bez uwzględnienia prac Dembowskich i ruchu w ich domu tatrzańskim. A ruch ten nietylko należy do przeszłości: tętno jego bić nie przestało i czuć drganie

dość wyraźnie w pulsacyi całego życia tatrzańskiego zarówno w aktualnych przejawach tego życia, jak np. wzięcie udziału przez panią Dembowską z jej zbiorami w wystawie lwowskiej, jako też w nieprzerwalności postępu i rozwoju idei tatrzańskich, do których przędzy sporo jeszcze idzie nici utkanych w domku Dembowskich.

* * *

Właściwy sezon uciech letnich pod Gewontem gwarny i hałaśliwy zapowiedział się był w roku ubiegłym rozgłośniej i bardziej burzliwie niż lat poprzednich, a nawet z pewną majestatycznością grozy — jak przystało na Tatry, bo dwoma pamiętnemi wylewami rzek górskich — dnia 6 czerwca i 12-go sierpnia. Kokietliwie szemrząca przed światem o swych zakładach leczniczych Bystra, snać zagniewana na flegmatyczność i spokój starej swej antagonistki Cichej wody, wystąpiła gwałtownie z łożyska i tocząc spienione wody ku Białemu Dunajcowi zdołała wzburzyć i wezbrać uśpione namiętności tego starca srebrnowłosego. Więc zaszumiały i zahuczały wzburzone bałwany wód naszych na terenie ziemicy tatrzańskiej (oczywiście stokroć donośniej w dziedzinie gazet i dzienników, zapewne ulegających prawom doniosłości ech górskich, unosząc na swych grzbietach wykroty drzew (całych chałup i domów dziennikarskich); podmywając tu i ówdzie łaknące czystości i kąpieli wille i zrywając trzy mosty między Zakopanem a Nowym Targiem (czyli mówiąc słowy kurjerów i dzienników naszych — zalewając całą krainę potopem wody i zrywając wszelką komunikacyę z resztą świata).

Mimo tu i ówdzie poczynionych szkód, wylew ten i przerwa komunikacyi przyniosły niepospolitą korzyść sztuce i nauce, pozwalając paniom podziwiać elastyczność kształtów u dzielnych strażaków pilnujących powodzi, oraz uczonym i artystom naszym spokojne (od reszty świata) prowadzenie badań antropologicznych i estetycznych nad arystokratycznością małych nóżek góralek, przenoszących w bród jagody i nabiał z Krupówek na Chramcówki i vice-versa.

Ponieważ najdogodniejszym terenem dla powyższych obserwacyj okazała się przestrzeń między 49^0 17', 2'' a 49^0 17' 3''

szerokości północnej i 37° 34', 5" a 37° 34', 7" długości wschodniej od Ferro, czyli parki nabrzeżne między mostem starej Polany i Modrzejowa, a od ciężaru stacyj obserwacyjnych poobrywała się ziemia, przeto gdy właściciele jej podejrzywając górali z przeciwległego brzegu rzeki o rozmyślne uszczuplanie terytoryum przez budowę jazów, zanieśli o to skargę do sądów, ostatecznie więc i skarb c. królewski zarobił na stęplach sądowych i wzmogła się finansowa potęga państwa.

Pomiędzy jednym a drugim wylewem, między pierwszą kwadrą i pełnią lipcową, kiedy księżyc począł się zbliżać ku ziemi i zgodnie z przepowiednią Falba niezwykłe opary wodne kazały się spodziewać niezwykłych też perturbacyj atmosferycznych nie bez wpływów deprymujących na organizm ludzki, ponowił się fakt pamiętny już raz światu z dziejów rzymskich po obaleniu królów, a zaprowadzeniu rządów republikańskich. Jak wówczas lud zagniewany na patrycyuszów, zerwał z nimi stosunki i pod wodzą trybunów usunął się na górę Awentyńską, tak też teraz w Zakopanem część gości idąc za wezwaniem także może trybunów z nad potoku Foluszowego, wypowiedziała walkę komisyi klimatycznej i cofnęła się na swój Awentyn jaszczurowiecki, na własne wiece — poza sferę działania jeśli nie c. k. żandarmeryi, to przynajmniej stróżów klimatyki. Ktoś rad był dopatrzyć w tem reminiscencyi owych gladyatorskich haseł ciskanych ongi cezaryzmowi. Ah, czy nie wysokie byłyby to koturny dla odtwarzanych postaci w świecie dzisiejszym! Gdyby do pewnej części śmietanki inteligencyi naszej godziło się zastosować miano mas łaknących, to chyba łaknących — wrażeń. Mój Boże, któż ich z nas nie łaknie, zwłaszcza pod działaniem tak podniecającego otoczenia, jak tatrzańskie! Nie o »panem« więc się chyba dopominano, ale że wołano o «circenses» — to dość głośno.

No, tych ostatnich, chwała Bogu, przecież nie brakowało, nawet z dodatkiem tej nieznośnej mamony do wstępnego, bez której coraz to ciężej ruszać się teraz u schyłku drugiego tysiącolecia, gdy na początku pierwszego jakoś się tam obchodziło w cyrkach i na igrzyskach. Bądź co bądź były i tu igrzyska, począwszy od onych wyłonionych z Tow. Tatrz. na pogodzenie z klimatyką, które jako wycieczki zbiorowe urządzane w krainę regli i kosodrzewiny może najbardziej licowały

z charakterem otoczenia miejscowego i jeśli nie dotrwały do końca sezonu, to może dla tego, że wbrew woli uczestników mogły nabrać charakteru archaicznego z czasów gladyatorskich, skoro od Magóry i Kasprowej poczęły się pojawiać niedźwiedzie, snać również spragnione igrzysk.

A cóż mówić o owych oświetlonych blaskiem kinkietów wieczorach, bądź z tańcami stałych i regularnych jak remontoir angielski — niedzielnych w Dworze Tatrzańskim i czwartkowych w Zakładzie Dra Chramca, bądź kapryśnych a głośnych swoją wyjątkowością koncertów Barcewicza, artystycznej biesiady grottgierowskiej, kwiecistych żywych obrazów składanych w pietetycznej ofierze na budowlę świątyni pańskiej, humorystycznych o'clocków Barącza i Skalskiego, oryentalno-tatrzańskiego rautu Grzegorzewskiego wraz z występem efektownym divy Stamary z paryskiego Parnasu itd., itd. „*Nulla dies sine linea*“ — ani jeden dzień nie mijał bez gwaru, pląsów i pieśni dzieci Apolina lub Dyonisiosa, a raczej dzieci boginek, skoro już jesteśmy pod niebem tatrzańskiem. A... iście też po tatrzańsku odbywały się te zabawy; przychodziło się na koncert lub raut wprost ze Swinnicy lub Rysów, a z białego mazura szło się zaraz na Łomnicę, lub co najmniej do Morskiego Oka, choćby nawet pod grozą nowego najścia potomków Arpada na kresy nasze. Tem lepiej. Pod działaniem podniecającem powietrza górskiego poczęła kipieć krew rycerska w żyłach naszych i bylibyśmy zmasakrowali Węgrów, lub co najmniej zbili ich na winne jabłko, choćby nawet za porwanie Dziadonia*) (jeśli nie za wtargnięcie na Morskie Oko) — gdyby nam na to w łaskawości swojej pozwolił c. i k. starosta. Ale pan Czarkowski choćby nawet nie szedł w ślady poprzednika swego, (który tak nie zazdrościł nowego blasku koronie św. Szczepana), był mężem miłującym pokój, a nawykły do obrad senatorskich (no — i sejmowych), zwołał *antiquo more* pokojowy wiec gości, woląc przelewać w protokole atrament, niż tak cenny płyn jak krew ludzka.

Na pierwotny odgłos zapowiedzianych walk, jenerał M. Beck, szef sztabu jeneralnego, pospieszył wraz z oficerami w Tatry, snać, aby się przypatrzyć teatrowi wojny tak z żywiołami natury i z klimatyką jako też międzynarodowej z Wę-

*) Leśnik z dóbr zakopańskich.

grami, a w ślad za nim podążył też i p. Jellinek, niezmienny nasz przyjaciel w szczęściu i kłopotach. Nad gmachami Zakładu Dr. Chramca wywieszono już krzyż genewski, oddając go pod opiekę praw międzynarodowych, a do legionu stałych klientów jego zaczęła się przyłączać ludność okoliczna, tudzież dziewice, wdowy i sieroty pod ochroną swych wojskich. Gdy wszakże pan starosta nowotarski wywiesił białą chorągiew pokoju, spokojna aura zapanowała w stosunkach międzynarodowych. Pierwsi Rakuszanie pod chorągwią klubu turystów wiedeńskich pospieszyli do nas, a za nimi poczęli się wychylać Węgrzy i pod sztandarem turystów peszteńskich zaglądać w naszą stronę i podziwiać budujące się drogi tatrzańskie, które wspaniałemi serpentynami wiją się wśród gór dotąd niedostępnych.

. . . .

Sezon jesienny rozpoczął się ciszą i pogodą tak majestatycznie błogą i piękną, że niech żałują ci, którzy jej nie mieli sposobności oglądać w Tatrach, jak my żałujemy i ubolewamy nad tymi, którzy poprzedni swój pobyt w nich opłakiwać musieli deszczem. Snać Pluton pozazdrościł nam tej pogody szczęśliwej, rzuciwszy gromy ognia, który w ciągu trzech godzin obrócił w perzynę najpiękniejszy hotel «Jadwinówkę», będący ozdobą Krupówek. Srodze szalał żywioł rozhukany, zalewając jednem morzem płomieni miejsce katastrofy i zamieniając bałwany jego w olbrzymi słup sięgający wysokości stropu nieba W płomieniach jego widać było tylko jak salamandry pławiące się pp. W. hr. Z. i Dr. Ch., kierujących akcyą ratunkową, w której bez wyjątku wzięła udział ludność góralska pospołu z gośćmi, a w liczbie tych ostatnich panie nasze. Dzięki temu ogień został zlokalizowany i Zakopane uratowane.

Przepych swój roztaczała pogoda z bardzo małemi przerwami przez całą jesień i zimę. Ta ostatnia wogóle bywa bez porównania piękniejszą i stalszą od lata i dziwić się wypada, że ściąga tu daleko mniej gości niż lato. W ostatnim sezonie zimowym bawiło w Zakopanem od stu do dwustu osób gości, przybyłych ze stron dalszych, urozmaicając pobyt swój wycieczkami w góry, vileggiaturą w dolinie zakopańskiej, zabawami publicznemi i stosunkami towarzyskimi, które bywają milsze i łatwiejsze zimą.

W wycieczkach dalszych, które głośniejszą wywoływały senzacyę zwróciła uwagę ogólną wyprawa p. P. na Czerwony Wierch i ku Krzyżnemu, oraz p. Jana G., który przeszedł Tatry w styczniu. Towarzyszyło mu grono kilkunastu osób, pań, panów i górali do Czarnego Stawu, skąd w towarzystwie panny S. P., p. J. D. i trzech górali, przeszedł Zawrat i Miedziane do Morskiego Oka, używszy na całą wyprawę trzy doby czasu.

Jesienne i zimowe zabawy i uroczystości publiczne rozpoczęły wieczorki humorystyczne komika S. w Zakładzie Dra Chramca, a dalej wieczór mickiewiczowski, urządzony przez młodzież szkoły rzeźbiarskiej w kasynie Dworu Tatrzańskiego, podniosły i rzewny ze względu na zabiegi gorliwe młodzieńcze w uczczeniu rocznicy wieszcza. Tamże w kasynie odbył się teatr amatorski na dochód kościoła za inicyatywą p. Dra Chw, pod reżyseryą utalentowanego komika p. B. — przez panie i panów S, P., Cz., K., N., celujący sumiennością w wykonaniu ról, oraz ten drugi za inicyatywą pni J., a staraniem komitetu pań — na dochód kościoła — urządzony w sali Zakładu Dr. Chramca — przy współudziale panny Stamari (monologisty p. B. i pianistki pni W. i panny J.) frapujący słuchaczy werwą, humorem i talentem wykonania. Prawdziwą biesiadą artystyczną wyróżnił się koncert panny Stamari w tejże sali, i tamże aranżowany (za inicyatywą Dr. Chramca), wieczór z tańcami i muzyką był kulminacyjnym punktem zabaw karnawałowych.

Niepospolitą atrakcyę zarówno dla gości jak mieszkańców stałych Zakopanego były zimowe wieczorki prywatne five o' Clok'i i rauty, podtrzymujące ruch i życie towarzyskie, w domach pani R., pani G., pani K., Dr. F., Dr. Chr. — u pani J. z pewną okrasą artystyczną. W zaprzeszłym roku w paru z tych domów bywała młodzież góralska, biorąc udział w tańcach i zabawie; ubiegłej zimy — nawzajem — w domach góralskich bywały na wieczornicach panowie i niekiedy panie.

* * *

Wśród zabaw nie zapominaliśmy o Panu Bogu, czci należnej zmarłym i tradycyjnych obchodach naszych. Czy to na nabożeństwie za dusze Mickiewicza w kościele parafialnym, czy za Augusta Cieszkowskiego w kaplicy Zakładu Dr. Chramca, czy przy jasełkach góralskich, lub na wilii, skupiającej bądź drobne koła rodzinne, bądź liczne z kilkudziesiąt osób grona (jak u Dr. Chr.), — wszędzie i zawsze tętno życia naszego, choć na oryginalnem tle kresów górskich, biło zgodnie i harmonijnie z tętnem całego kraju.

Najsilniej i najgłośniej uderzyło to tetno w stuletnią rocznicę Tadeuszową, przy powszechnym udziale ludności okolicznej i dzięki zabiegom pań, a przedewszystkiem komitetu z kilkunastu osób pod przewodnictwem Dr. Chramca. O jutrzence pięknego dnia wiosennego 8 kwietnia, zapowiedziały uroczystość wystrzały z moździeży, oraz pobudka miejscowej kapeli góralskiej, prowadzonej przez Bartka Obrochtę i Górskiego, która budziła mieszkańców dźwiękami marsza pieśni narodowych. Na wszystkich domach, ozdobionych zielenią, kobiercami, portretami bohatera i godłami narodowemi, powiewały flagi o kolorach narodowych i krakowskich. O 9-tej godzinie na Krupówkach powyżej Jordanówki i Podlasia, gromadzić się zaczęli goście, górale i różne miejscowe korporacye, nie wyłączając rękodzielników, szkół i Zboru izraelickiego w oczekiwaniu mieszkańców Kuźnic. Gdy ci nareszcie nadciągnęli wraz z «czepculami», strażą ogniową, zarządem dóbr, strzelcami i służbą leśną, — ruszył cały parutysięczny pochód z chorągwiami, muzyką i pieśnią ku ulicy Kościeliskiej.

Przy biciu z moździeży rozkołysane dzwony świątyni powitały wiernych i dźwiękami płynącemi ku reglom i turniom zwiastowały mszę polową pod otwartem niebem na dworze kościelnym, gdzie zarysowały się wdzięcznie ołtarz i kazalnica wśród kwiecia zniesionego rękami niewieściemi. Uroczystość chwili podnosił piękny śpiew choralny wychowanic Zakładu hr. Zamoyskiej, a następnie pełne namaszczenia natchnione słowa kaznodziei ks. R., który bohatera uroczystości przyrównał do Mojżesza, wiodącego lud swój ku ziemi obiecanej.

Po Mszy św., celebrowanej z wielkim pietyzmem i powagą przez ks. K., administratora miejscowej parafii, zgromadzony lud z pieśnią religijną i narodową na ustach, za poprzedzającemi go chorągwiami i sztandarami ruszył z podwórza ko-

ścielnego i spłynął falami wielkiemi na przeciwległą polankę, okoloną domami Cubernata i Sieczki, które odświętnie przystrojone wdzięcznie zarysowały się na tle zdala wznoszącego się w blaskach słonecznych Gewontu. W głębi podwórza wśród zieleni i kwiatów ustawione było na balkonie popiersie białe (naturalnej wielkości) nieśmiertelnego Naczelnika, a u dołu straż honorową trzymali dwaj kosynierzy góralscy. Po złożeniu wieńców hołdowniczych i choralnych pieśniach wykonanych przez młodzież-rzeźbiarzy, wszedł na trybunę p. Jan G., i od popiersia naczelnikowego wygłosił przemowę do ludu. U kolebki i u grobu Polski postawił mowca lud na jej straży; tam z jej łona wyszły Piast i piastowicze wypiastowali narodowość i państwowość naszą, tu z jej upadku wyłoniony Kościuszko, ów drugi Piast, powołuje lud do zmartwychwstania własnego i narodowego. Tamtego przyjście zwiastowały wyrocznie Radegastu, Lednicy i Arkony, oraz aniołowie ŚŚ. Cyryla i Metodego; tego — przepowiednia Wernyhory i księdza Marka — wola chłopska i szlachecka. Zaczem skreśliwszy przebieg życia Kościuszki i ówczesnych wypadków, zaznaczywszy doniosłość programu Naczelnika i jego manifestu połanieckiego, oraz przekonanie, że lud nawet dzisiejszy nie miałby wolności osobistej i uwłaszczenia, gdyby nie było Kościuszki, mowca zakończył mowę obrazem walki racławickiej i hołdem złożonym pamięci Bartosza Głowackiego i jego towarzyszy.

Wieczorem całe Zakopane było oświetlone; w każdej bodaj najuboższej chacie płonęły światła na cześć uroczystości. Ze szczytu Gubałówki jaśniał monogram Naczelnika wśród kos racławickich (niespodzianka F. St.) We wsi wielka ilość domów i willi ozdobiona była wśród wieńców zieleni transparentami.

O godzinie 9-tej parę tysięcy ludu z obu strażami ogniowymi i strażą obywatelską, mając na czele muzykę z licznemi pochodniami przeciągały po wszystkich ulicach Zakopanego z pieśniami narodowemi. Entuzyazm rosnął z każdą chwilą. Pochód kilka razy musiał się wstrzymywać, słuchając przemówień zastosowanych do okoliczności. Uroczystość ani na chwilę nie została zamąconą niewłaściwem zachowaniem się, cały jej przebieg odbył się z największą godnością.

B. B.



Obchód 100-letniej rocznicy Kościuszkowskiej w Zakopanem.

Kazanie ks. R. podczas mszy polowej.



Obchód 100-letniej rocznicy Kościuszkowskiej w Zakopanem.

Mowa Jana G.

DODATEK.

W SPRAWIE
SPOSTRZEŻEŃ NAUKOWYCH
Z WYCIECZKI ZIMOWEJ PRZEZ TATRY.

(Patrz str. 109 »Almanachu Tatrzańskiego«.

»W Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego« na rok bieżący, oprócz paru obrazów z mej zimowej wycieczki, zamieściłem wiązankę skromnych spostrzeżeń naukowych, zwłaszcza meteorologicznych, dokonanych przezemnie, tudzież wyniki z takowych. Między innemi, mierząc wszędzie głębokość śniegu, o ile takowa pod różnem ciśnieniem i odmienną ciepłotą może dać przybliżone pojęcie o sumie opadu atmosferycznego, — stwierdziłem hipotezę prof. E Dziewulskiego, o zawisłości opadu wilgoci od stosunku, w jakim zostaje kierunek wiatru północno-wschodniego i południowo-zachodniego do kierunku linii głównego trzonu tatrzańskiego.

W tablicy mojej w tymże »Pamiętniku« zamieszczonej ze spostrzeżeń anemometrycznych, ombrometrycznych itd. rubrykę cyfr ciśnienia powietrza zupełnie wyrzuciłem dla braku korekcyi aneroida. Natomiast przy podanych cyfrach ciepłoty (gdzie dla porównania wyników termometru mojego w górach, załączyłem też dla porównania stan spółczesny termometru w Zakopanem, obserwowany przez p. B. w Zakładzie Dra Chramca), komisya redakcyjna »Pamiętnika« zamieściła w dopisku cyfry z obserwacyi dokonanych (w tychże dniach wycieczki mojej) również w Zakopanem, ale w Muzeum Tatrzańskiem. Różnica między jednemi i drugiemi znaczna. I tak:

Na Hali Gąsienicowej	+ 3.
„ Chramcówkach	— 7.
W Muzeum Tatrzańskiem	— 12·3.

Na Zawracie »pod Zmarzłym«	+ 1.
Na Chramcówkach	+ 3.
W Muzeum Tatrzańskiem	— 4.4.

Na szczycie Przełęczy Zawratowej . . .	— 1 (0)
Na Chramcówkach	+ 1·25.
W Muzeum Tatrzańskiem	— 10·8.

Przy Wielkim Stawie	— 3.
Na Chramcówkach	— 3·5.
W Muzeum Tatrzańskiem	— 9·6.

Przedewszystkiem muszę zwrócić uwagę na to, że podczas mojej wycieczki zimowej w Tatry, a więc począwszy od dnia 20. stycznia wszędzie tak w górach, jak w Zakopanem panowała temperatura łagodna. O tym ogólnym jej charakterze zaświadcza nietylko zgodność moich cyfr i świadectwo uczestników moich z cyframi p. B. w Zakładzie Chramca, ale i pamięć wszystkich Zakopianów. O nas specyalnie mogę nadmienić, że gdybyśmy spotkali w górach zimno około — 12 stopni, to byśmy przy wietrze podówczas panującym poodmrażali uszy, ręce i nogi: wycieczka byłaby niemożliwą. Miałem więc słuszność zaznaczyć w sprawozdaniu umieszczonem w »Pamiętniku«, że podówczas ciepłota średnia z trzech dni okazała się prawie jednaką w Zakopanem i w górach, z małą bardzo różnicą, mianowicie: w górach wynosiła 0 (zero), w Zakopanem 0·33 poniżej zera.

Następnie różnica w cyfrach powyższych znacznie się zmniejszy, jeśli pamiętać będziemy najpierw o tem, że obserwacye moje w górach i p. B. na Chramcówkach czynione były z termometru Reaumura, a w Muzeum im. Chałubińskiego — z Celsiusza; a następnie różnicę godzin obserwacyi. Gdy moje i na Chramcówkach, czyniono prawie zawsze o tej samej godzinie (z małym wyjątkiem), w Muzeum o innej. I tak: na Przełęczy Zawratowej mierzyliśmy ciepłotę o godz. 4½ po południu, na Chramcówkach o godz. 6 po południu, a w Muzeum o godz. 10 wieczorem. Cóż dziwnego, że w tem ostatniem

wypadła — 10·8 C. rażąco (jak powiada komisya redakcyi Pamiętnika).

Nareszcie przyznając wszystkim obserwatorom dobrą wolę, a wszystkim spostrzeżeniom (tak naszym w górach, jak p. B. na Chramcówkach oraz w Muzeum Tatrzańskiem) sumienność, zechciejmy pamiętać o tem znanym powszechnie fakcie, że termometry umieszczone w różnych punktach Zakopanego (np. na Chramcówkach, na Krupówkach, na ulicy Chałubińskiego wykazywały i wykazują zawsze dotąd znaczne różnice. O ile one są wynikiem urządzenia samych termometrów, tudzież sposobu ułożenia onych, o ile zaś terenu i przyczyn klimatycznych, — to już rzecz dalszych badań, któremi się powinni zająć bezzwłocznie specyaliści.

Jan Grzegorzewski.

ZAKOPANE
NA
POWSZECHNEJ WYSTAWIE KRAJOWEJ
we Lwowie 1894-go roku.

Witkiewicz wysłał obrazy, o których piszemy w rubryce »Ruchu artystycznego«.

Jeden domek góralski o dwóch izbach i sieni.

Jedna szafka z wyrobami masy drzewnej, okazy masy w arkuszach i płynnej w słojach.

Jeden stół góralski z roku 1828, jaworowy z wykładanym wierzchem, drzewem cisowem.

Jedno rondo leśne, strefa VII. Tatry obsadzone sadzonkami: świerka, buka, jodły, modrzewia i limby, — słup geologiczny z granitu, dolomitu, górną warstwą ziemi i humusem, — dalej okazami przekroju drzew tatrzańskich jeden m. długości, wedle dołączonego wykazu.

W domku góralskim umieszczono cztery panorama Tatr, akwarela własności Wnego pana Walerego Eliasza, oraz portret Sabały, tegoż samego.

---

przekrojów drzew z lasów dóbr Zakopane J. W. Władysł. br. Zamoyskiego prze-

L. p.	Rodzaj drzewa	Ilość pierścieni w przybliżeniu obliczonych	Wysokość drzewa metr.	Drzewostan
1	Świerk	24	11.00	Świerk i jodła
2	„	41	14.00	„ „
3	„	56	18.00	„ „
4	„	76	20.00	„ „
5	„	124	23.00	„ „
6	„	155	29.00	„ „
7	„	90	4.00	Czysty świerk
8	„	132	3.20	„ „
9	„	125	7.60	„ „
10	„	—	—	„ „
11	Modrzew	13	8.00	Świerk z modrzewiem
12	„	32	25.20	„ „
13	„	58	24.50	„ „
14	„	94	9.00	w około czysty drzewostan świer.
15	Jodła	18	5.00	świerk z przymieszką
16	„	34	8.00	jodły i buki
17	„	55	10.00	„ „
18	„	77	16.00	„ „
19	„	108	26.00	„ „
20	„	160	17.00	„ „
21	„	206	18.00	„ „
22	„	115	27.00	„ „
23	Buk	21	7.00	„ „
24	„	45	8.00	„ „
25	„	68	14.00	„ „
26	„	104	15.00	„ „
27	„	118	16.00	„ „
28	Kosodrzewina	75	—	kosodrzewina z jarzębiną
29	„	95	—	„ „
30	Jarzębina	22	11.00	„ „
31	Jawor	78	8.00	w przetknięciu z świer.
32	„	62	6.80	„ „
33	„	75	14.00	„ „
34	Limba	32	6.00	między kosodrz. i św. karłowatym
35	„	115	6.40	„ „ „ „
36	„	85	10.00	„ „ „ „
37	„	85	„	„ „ „ „

k a z

słanych do ronda leśnego na Powszechnej Wystawie Krajowej we Lwowie 1894.

Gleba	Wysokość nad poziom morza	UWAGA
Stok półn.-zach., gleba wapien. z dolomitem, glin i humus	965—980	jako 20 letni
" " " " " " "	"	" 40 "
" " " " " " "	"	" 60 "
" " " " " " "	"	" 80 "
" " " " " " "	"	" 120 "
" " " " " " "	"	
Skały i żwir wapienny z cienką warstwą humusu	1893	Okaz nadliczb.
Skały wapienne i dolomitu z cienką warstwą humusu	1740	" "
" " " " " "	1493	" "
Stok północno-zachodni	960	przełupane jako okaz
Stok południowo-wschodni, skały wapienne z 50 cm. pokładem glinu i humusu	890	
" " " " " " " " "	890	
" " " " " " " " "	890	
Szczyt na wiatry i słońce wystawiony, skały wapienne z cienką warstwą humusu	1413	okaz nadzwyczajny
Stok północny, żwir wapienny	920—940	jako 20 letni
z pokładem glinu i humusu	"	" 40 "
od 30 do 40 cm. grub.	"	" 60 "
" " " " " "	"	" 80 "
" " " " " "	"	" 100 "
Stok tensam jednak glinu i humusu zaledwo 15 cm. grub.	1032	okazowe
" " " " " " " " "	1075	okazowe
jak pozycja 15, 16, 17, 18	960	jako 120 letni
Stok półn. dolomit zwietrz. pokład glinu z hum. około 40—60 cm. grub.	920	" 20 "
" " " " " " " " " " "	"	" 40 "
" " " " " " " " " " "	"	" 60 "
" " " " " " " " " " "	"	" 100 "
" " " " " " " " " " "	"	" 120 "
Głazy granitowe z odłamami wapiennymi	1812	okaz
" " " "	"	"
Z okolic Morskiego Oka, skały granitowe i wap. odłamy	1785	"
Stok połud.-zach., wap. i dolomit z szutrowiskiem pomiesz. z humusem	1120	"
" " " " " " "	"	"
" " " " " " "	"	"
Z okolic Morskiego Oka, skały granitowe z odłamami wap. z humusem	1794	"
między szczelinami skał	"	"
" " "	"	przekrój podłuż.
" " "	"	

W PAWILONIE ZDROJOWISK.

Od Dra A. Chramca:

1). Plan sytuacyjny Zakładu; — 2). Fotogram frontu; — 3). Fotogram wewnątrz łazienek tuszu; — 4). Wnętrze kuchni; — 5). Sala wielka; — 6). Weranda; — 7). Sala bilardowa; — 8). Widok na park i zakład; — 9). Kaplica; — 10). Strony południowe; — 11). Goście na werandzie; — 12). Wnętrze kancelaryi; — 13). Wnętrze sali z asystentem; — 14). Wnętrze sali z gośćmi.

Od Dra W. Piaseckiego: plan sytuacyjny zakładu.

ZE SZKOŁY PRZEMYSŁU DRZEWNEGO.

1. Kredens, w stylu tatrzańskim, z białego jaworu; ornamenta wykładane różą.
2. Stół do rozsuwania, w stylu tatrzańskim, z białego jaworu; ornamenta wykładane różą.
3. Sześć krzeseł, w stylu tatrzańskim, z białego jaworu; ornamenta wykładane różą.
4. Stół czarny salonowy, w stylu renaisansowym, bukowy.
5. Biust Najjaśniejszego Pana; wielkości naturalnej.
6. Gablot czarny dla powyższego biustu.
7. Matka Boska w naturalnej wielkości.
8. Statua św. Bartłomieja, 50 ctm. wysoka.
9. Chrystus na krzyżu, 50 ctm. wysoki.
10. Obraz św. Jana Chrzciciela (płaskorzeźba).
11. Obraz zdjęcia Chrystusa z krzyża z ramą.
12. Obraz Matki Boskiej.
13. Duża rama rzeźbiona, w stylu barocco.
14. Rama rzeźbiona, w stylu rococo.
15. Rama z liśćmi dębowymi.
16. Dwie półki średnie.
17. Jedna półka duża.
18. Jedna półka mała.
19. Dwie półki kątowe.

20. Etażerka, w stylu zakopańskim.
21. Medalion Adama Mickiewicza.
22 » księcia Czartoryskiego.
23. » J. U. Niemcewicza.
24 » Blondyny Potockiej.
25. » jenerała, Józefa Dwernickiego.
26. » Wincentego Pola.
27. » Wiktoryi.
28. Stolik bukowy, w stylu zakopiańskim.
29. Dwa taboreciki » »
30. Stolik okrągły, rzeźbiony, w stylu zakopiańskim.
31. Stołeczek okrągły, rzeźbiony, w stylu zakopiańskim.
32. Cztery krzesła, rzeźbione, w stylu renaisansowym.
33. Album, w stylu renaisansowym.
34. Zasłona (parawanik) na stół, trzyskrzydłowa, w stylu zakopiańskim.
35. Góralska półka ścienna z kratką.
36. Dwa krzesła, skórą obite, w stylu zakopiańskim.
37. Szafa potrójna na książki.
38. Rama z lustrem, stojąca, w stylu zakopiańskim.
39. Stół duży, rzeźbiony, w stylu renaisansowym.
40. Cztery krzesła rzeźbione, w stylu renaisansowym.
41. Szafa ścienna góralska, w której umieszczono następujące przedmioty: (17 sztuk).
42. Biust kobiety.
43. » dziecka.
44. » »
45. Kropielniczka z krucyfiksem, w stylu renaisansowym
46. Góral z torbą.
47. Góralka z obońką.
48. Góral z wazonikiem.
49. » z cukiernilą.
50. » z kapeluszem w ręce.
51. » tańczący.
52. » z kieliszkiem.
53. » siedzący.
54. » » ze strzelbą.
55. » z kłodą.
56. » kobziarz.
57. » stojący.

58. Chrystus (do krzyża) gotycki, 28 ctm. wysoki.
59. Szafa ścienna, w stylu zakopiańskim, w której umieszczono następujące przedmioty: (22 sztuk).
60. Jeleń.
61. Sowa.
62. Orzeł.
63. Podstawka do zegara.
64. Rama ze szarotkami.
65. Rama rzeźbiona, w stylu renaisansowym.
66. Rama podwójna (naśladowanie z natury).
67. Kubek góralski.
68. Trzy miseczki wypalane.
69. Krówka.
70. Konik.
71. Podstawka pod zapałki.
72. Kałamarz.
73. Podstawka do zegarka.
74. » » »
75. Rozcinacz do papieru (nóż góralski).
76. Dwa talerze wypalane.
77. Płaskorzeźba św. Barbary.
78. Szkatułka czarna, rzeźbiona, w stylu renaisansowym.
79. Biórko ze szafką.

Kolekcya rzeźb ornamentalnych.

Prace uczniów (na ścianę i stół).

Dwa liście kaliny; — Dwa liście jaworu; — Obraz »G.« — Grupa owoców; — Orzeł polski; — Nagłówki z podstawkami; — Zakończenia gotyckie; — Pustelnik (płaskorzeźba).

Kolekcya rzeźb z nauki modelowania.

Prace uczniów na (ściany).

Tok nauki początkowej; — Różne prace dalszej nauki.

Rysunki zawodowe (na ściany).

a) Uczniów nauki snycerstwa.
b) » » » stolarstwa meblowego.
c) » » » ciesielstwa i prostego stolarstwa.

Toki nauk rysunkowych w tekach.

1. Trzech uczniów rysunki geometryczne.
2. » » » odręczne elementarne.
3. » » » » według modeli
4. » » » » z nauki o rzutach i cieniach.
5. Kilku uczniów rysunki odręczne z nauki o formach architektonicznych.
6. Kilku uczniów rysunki zawodowe stolarstwa meblowego i tokarstwa.
7. Kilku uczniów rysunki zawodowe ciesielstwa i stolarstwa budowlanego.
8. Rysunki wypracowane przez uczniów IV-go kursu rocznego stolarstwa i snycerstwa.
9. Trzy tek z pracami piśmiennymi z nauki języka polskiego, korespondencyi przemysłowej, rachunków przemysłowych i prowadzenia ksiąg przemysłowych.
10. Fotografie różnych wyrobów szkolnych.
11. Kolekcya wzorów dla nauki o formach architektonicznych c. k. nauczyciela i architekty Fryderyka Kállaya.
12. Trzydzieści wzorów »Elementa ornamentyki«; dzieło c. k. dyrektora szkoły Franciszka Neužila.

ZE SZKOŁY KORONKARSKIEJ.

Wachlarz Duchesse; — Wachlarz Point l'aiguille; — Garnitur i tablier Relievo; — Kołnierz Relievo; — Wachlarz wenecki; — Dwie chusteczki Duchesse; — Dwie chusteczki weneckie. — Serdak z mankietami Reticello, kremowy, jedwabny; — Kołnierz i mankiety Duchesse; — Kapa na łóżko, w stylu zakopiańskim; — Kapa na łóżko gipiurowa; — Trzy ręczniki ze złotemi koronkami; — Poszewka i poszeweczka (motywa góralskie); Dwadzieścia gałązek szarotek; — Karczki do koszul damskich; — Garnitury do pościeli; — Koronki czeskie, węższe i szersze, na metry.

Z „MUZEUM TATRZAŃSKIEGO“.

Fauna:

Nr. 21 c. Świstak; — Nr. 37 b. Koza dzika; — Nr. 301 b. Kot dziki stary; — Nr. 297. Niedźwiedź brunatny; — Nr. 288. Ryś zwyczajny (z borsukiem) grupa.

Ptaki:

Nr. 56. Sowa biała; — Nr. 63 a. Puchacz wielki; — Nr. 39 a. Orzeł skalny, zyr; — Nr. 46 a. Sokół kopczyk; — Nr. 84 c. Orzechówka strzyszek; — Nr. 96 b. Pomurnik meutel; — Nr. 109 b. Pluszcz wodny (drozd wodny); — Nr. 106 b. Płochacz górny, wróbel halny; — Nr. 136. Drozd skalny; — Nr. 138 Szałaśnik górny, słowik pleszka; — Nr. 149 a. Świergotek siwarnik; — Nr. 178 b. Głuszec właściwy, samica; — Nr. 178 a. Głuszec właściwy, samiec; — Nr. 179 a. Głuszec cietrzew, samiec; — Nr. 180 a. Głuszec jarząbek; — Nr. 183 a. Kuropatwa właściwa; — Nr. 186 b. Siewka górna; — Nr. 207 a. Bekas słomka.

Etnografia.

Strój panny młodej.

Nr. 4. Trefianka, ubiór głowy; — Nr .23. Wist ślubny; — Nr. 33. Koszula ślubna; — Nr. 17. Kanafaska (Kidel); — Nr. 22. Fartuszek; — Nr. 16. Kanafaska.

Nr. 2. Tkanka (strój głowy); — Nr. 5. Rańtuch odświętny; — Nr. 6. Rańtuch; — Nr. 7. Rańtuch; — Nr. 27. Wist świąteczny; — Nr. 26. Wist świąteczny; — Nr. 21. Fartuch; — Nr. 13. Fartuch; — Nr. 12. Fartuch; — Nr. 11. Fartuch; — Nr. 14. Fartuch; — Nr. 20. Fartuch; — Nr. 10. Fartuch; — Nr. 8. Fartuch; — Nr. 28. Sukmana kobieca z Czorsztynu.

Nr. 1. Czepiec; — Nr. 24. Wist świąteczny; — Nr. 32. Koszula; — Nr. 15. Fartuch; — Nr. 19. Kanafaska.

Nr. 3. Czepiec; — Nr. 25. Wist codzienny; — Nr. 9. Fartuch; — Nr. 18. Kanafaska; — Nr. 34. Koszula od święta; — Nr. 59. Pas bacowski; — Nr. 31. Rękawice; — Nr. 29. Buty kobiece; — Nr. 37. Czerpak do wody; — Nr. 41. Moździerz; — Nr. 51. Kłodka; — Nr. 47. Kaganek; — Nr. 56. Kierpce

kobiece, zakopiańskie; — Nr. 46. Pisklak; — Nr. 49. Zamek drewniany; — Nr. 30. Kierpce kobiece; — Nr. 70. Gorset z okolicy Zakopanego; — Nr. 55. Fartuch z okolic Zakopanego.

Ze zbioru pani Dembowskiej:

Łyżniki (kilkanaście); — Obosiki (do wędlin); — Korzenice, Oszczepki (formy na sér); — Warzechy; — Kaganki żelazne; — Zapora ślepa; — Gęśle; — Gajdy; — Piscałki; — Fujara; — Pas; — Noże; — Łyżki; — Miski; — Talerze; — Dzbanki; — Kózki (do moczenia osełki do kosy); — Maglownice; — Kądziele; — Kapciuch; — Fajki; — Obroże na psy (z kolcami od wilka); — Spodnice; — Koszule; — Gorsety; — Ubrania na głowę; — Buty; — Zapaski; — Kłoskonicka; — Cyrkiel.

„Goniec tatrzański II"

w Zakopanem

Pismo góralskie illustrowane.

W sezonie letnim jako dwutygodnik — w innych porach roku jako miesięcznik.

Organ ludowy obok spraw życia codziennego, kulturalnych, dydaktyki, humoresek, opowieści dziejowych i t. d., zamieszcza teksta oryginalne baśni, legend, podań, utworów wierszowanych twórczości ludowej etc. wraz z dodatkiem dla spraw turystycznych, kronikarskich i listą gości.

»GONIEC TATRZAŃSKI II«.

